



JOANNA MARAT

Grzechy Joanny

...wszystkim się wydaje,
że jej palce dotykają tylko
starych pergaminów, że jej oczy
płyszczą tylko na widok średniowiecznych
malowideł. Jakże mocno ci wszyscy się myślą...

Kiedy niespełniona miłośniczka średniowiecza rozpoczyna internetową znajomość z mężczyzną z Nowego Jorku, oboje wiedzą, że to nie będzie normalna, bezpieczna relacja. Zbyt wiele w nich pragnień, zbyt wiele nienasycenia. Szkoda czasu na zbędne podchody i konwenanse.

Joanna wie, że w jej życiu czegoś brakuje. I niekoniecznie chodzi tu o miłość. Nawet największa miłośniczka kultury średniowiecza nie może żyć samą fascynacją do pergaminów. Choć Joanna stara się twardo stąpać po ziemi, ten jeden, jedyny raz daje się ponieść fantazji.

Początek internetowej znajomości niesie za sobą wiele wątpliwości i ryzyka, ale – gdy dochodzi do spotkania w rzeczywistym świecie – przeradza się ona w dziką namiętność.

Są jednak ludzie, którzy za wszelką cenę chcą usunąć Xawerego z życia Joanny, twierdząc, że mediewistce romans tego typu po prostu nie przystoi.

W tej opowieści nic nie jest takie, jakie mogłoby się wydawać na pierwszy rzut oka!

ISBN 978-83-7674-154-3



9 788376 741543

R wydawnictwo
eplika

Cena 25,90 zł

JOANNA MARAT

Grzechy Joanny

Replika

Rozdział pierwszy

MEDIEWISTKA

Niedziela, 15 sierpnia

Czy jesteś Joanną H. z Krakowa? Pytam, bo brzmisz znajomo. Jeśli nie, to bardzo chciałbym Cię poznać. Jestem o osiem godzin lotu stąd.

Pozdrowienia, Xawery Stadnicki

Długo czekała na kogoś takiego. Zmęczonego życiem na emigracji. Zmęczonego życiem w ogóle. „Niestety, nie jestem Joanną H., tą z Krakowa, i na szczęście, szanowny Njujorkerze, nie muszę napisać ci prawdy o sobie. Pewnie i tak nie chciałbyś ze mną rozmawiać” - pomyślała. Dla niego równie dobrze mogłaby nazywać się Juana la Loca. Postanowiła więc, że na potrzeby tej korespondencji wyciągnie z zakamarków swojego twardego dysku elegancki kostium ze słów i marzeń. Zaprojektowała go jakiś czas temu, na specjalną okazję. Teraz może go założyć i mieć nadzieję, że Njujorker jeszcze się do niej odezwie. Może odniesie wrażenie, że jest słodką blondynką o buzi

dziecka? Intuicyjnie wyczuła w nim kogoś, kto nie potrafi przejść obojętnie obok takiej dziewczyny. Długonogiej, nieco anorektycznej.

Joanna H., ta z Warszawy, jest posiadaczką nóg niezbyt długich, natomiast jej włosy wpadają w szlachetny odcień miedzi. Całości dopełniają okulary w grubych, rogowych oprawkach. Wybrała je z premedytacją, żeby postawić kropkę nad „i”. Żeby pograżyć siebie jako kobietę ostatecznie i nieodwołalnie. I żeby nie było żadnych wątpliwości, że ona nadaje się wyłącznie do celów naukowych. Bowiem Joanna H. oddała się mediewistyce z rozmysłem i po głębokim namyśle. Żeby na nic innego w jej życiu miejsca nie było. Wśród bibliotecznego kurzu przybywało jej lat i dioptrii. Pudełka z fiszkami z coraz większą pewnością siebie rozpychały się po asystenckim pokoju, gdzie mieszkała od momentu ukończenia studiów historycznych. Z wyróżnieniem i z nagrodą rektorską za rozprawę o królewskich itinerariach. W końcu sama we własnym pokoju musiała ustalić itineraria, jako że wszystko tam było nieporządkiem i nadmiarem.

Niewiele z tego nadmiaru wynikło. Zaledwie skończony pierwszy rozdział pracy doktorskiej i zarys dwóch następnych. Pół życia na to poświęciła. I pewnie za to wylali ją z uczelni. Tak po prostu, z dnia na dzień. Za te pół życia spędzone w bibliotekach. I za cztery dodatkowe dioptrie i za to, że już nigdy nie będzie młoda i obiecująca.

I wtedy umarł Stary H., jej ojciec. Z powodu niewydolności nerek. Całkowitej i nieodwracalnej. Podobno to u nich rodzinne, ta niewydolność. Niekoniecznie nerek.

Chociaż, któż może wiedzieć, co jest, a co nie jest dziedziczne w rodzinie H.? Joanna z całą pewnością była niewydolna. Nie rokująca żadnych nadziei na bycie przy nadziei. Za stara nawet na to. Bez żadnego dorobku naukowego. Nie licząc kilku artykułów po francusku. Nawet z akademika kazali jej się wynieść. Dobrze, że mogła zamieszkać w kawalerce Starego H. Dwadzieścia siedem metrów. Na osiedlu Za Żelazną Bramą. Od świtu jazgot śmieciarek i gonitwy karaluchów. I dzieci. Też jazgot, gonitwy, bluzgi. I tak do późnej nocy. Gdzieś tam został jej otwarty przewód doktorski o królewskich itinerariach i o snach. A ona zamiast dokończyć to, co zaczęła przed laty, wpatruje się w ekran komputera. Czatuje. Tylko nie wiadomo na co. Na kogo?

Ale tej nocy chyba jej się powiodło. Znalazła go. Ten mężczyzna brzmi ciekawiej, a w każdym razie inaczej niż całe to stado buraków cuchnących potem lub tanią wodą po goleniu, albo po prostu wódką. To może być ON. Ktoś, dla kogo można by oszaleć. A jeśli nie oszaleć, to przynajmniej poudawać, że jest się kimś innym. Nie Joanną H. z krótkimi nogami i bez doktoratu, lecz Joanną H., tą z Krakowa, która może stać się marzeniem każdego mężczyzny. Platynową blondynką. Drobnokościstą, dziewczęcą. Z buzią jak u anioła. I z anielskimi włosami. A on niech się tego wszystkiego domyśla, niech się gubi w przypuszczeniach. To znakomite zajęcie dla samotnego mężczyzny, który chyba nie jest już taki młody.

Joanna H. odchodzi od komputera. Zaraz pójdzie do łazienki umyć się. Gdy zapali światło, karaluchy rozbiegną

się po kątach. Obrzydlistwo. Blokowisko. Późny Gomułka, wczesny Gierek. A może jedno i drugie. Nie, nie pójdzie do łazienki. Jeszcze nie teraz. Za wcześnie. Najpierw napije się herbaty. Godzina zero dwadzieścia pięć. Ktoś wrzeszczy na korytarzu. To normalne. Wszak po to są korytarze, żeby tam wrzeszczeć i budzić niepokój samotnej kobiety. To pewnie jakieś małolaty narąbane. A może kogoś zarzynają? Pijany mąż pijaną żonę, na przykład. Trudno. Żelazną zasadą Za Żelazną Bramą jest niewtykanie nosa w nie swoje sprawy. Ojciec nawet czajnika elektrycznego sobie nie kupił. Pewnie ze skąpstwa. Postawiła wodę na gazie w starym, okopconym czajniku, który pamiętała z dzieciństwa. Woda oligoceńska. Podobno wcale nie lepsza od tej z kranu.

Jeszcze raz spojrzała na monitor. Chciałby ją poznać. Tak napisał. Wolne żarty! Imię arystokratyczne, albo pretenjonalne, albo jedno i drugie. Nazwisko dobrze jej znane. Arystokratyczne. W każdym razie znamienite. Szlachcic, arystokrata. Jak ci od itinerariów. Sztywni i wyniośli. Pełni pogardy dla motłochu. Właściciele latyfundiów i zamieszkujących tam ludzi. Panowie życia i śmierci. Moźnowładcy.

„I co z tego, że gdzieś tam jesteś, Njujorkerze? Możesz sobie być i o dwadzieścia godzin lotu stąd, na końcu świata możesz przebywać. Z Aborygenami w Australii tańczyć możesz. Ale imię masz ładne, pasuje do nazwiska. I brzmiś ciekawie” - pomyślała Joanna. Takiego brzmienia szukała od dawna, prawdę mówiąc. I chyba znalazła. U niego. Więc odpisze na tego maila. Chociaż nie jest pewna, czy powinna. Bo ona nie ma w zwyczaju rozmawiać

z nieznanymi. Ma zasady. I w zasadzie ich nie łamię. Zasady są potrzebne i wygodne. Życie bez nich nie sposób.

Może już pójdzie spać. Dochodzi druga. Miasto uśpione, cisza. I tak o szóstej rano obudzi ją sąsiad zza ściany, włączając radio na cały regulator. Przed snem powinna się umyć, a w łazience karaluchy. Zresztą wszędzie karaluchy. To normalne, że w tym bloku więcej jest karaluchów niż ludzi. Znacznie gorszych od karaluchów, trzeba przyznać.

Dość już tego, pora spać. Bez mycia. Żeby nie wchodzić do łazienki. Żeby nie widzieć karaluchów. Żeby nie psuć sobie smaku. Karaluchy pod poduchy. Już jej nie ma. Dobranoc, Księżo.

Poniedziałek, 16 sierpnia

Bardzo jesteś pełna zasad, widać, że lubisz sobie zadawać trochę bólu w życiu. Św. Bernard z Clairvaux powiedział tak: *ecce si vir cecidit per feminam, iam non erigitur nisi per feminam**. Szukasz rozmowy z innymi i uciekasz. Nie wszyscy na świecie są niebezpieczni, rozmowa nic nie znaczy, a czasem może pomóc.

Xawery

„Co chciałeś mi powiedzieć między wierszami, cytując św. Bernarda? Że wykształcony jesteś” - pomyślała

* Oto jeżeli mężczyzna upadł przez kobietę, nie powstanie inaczej niż dzięki kobiecie.

Joanna. A przecież to było dla niej oczywiste od początku. Podobnie jak to, że *zależało* mu na tym, żeby myślała, że on szuka pocieszenia. W jej słowach, a nawet - kto wie - w jej ramionach. W niej. Tak miała myśleć, choć przecież św. Bernardowi niezupełnie o ten rodzaj pocieszenia chodziło. Sentencja jest o czym innym, i tak się składa, że oboje wiedzieli o czym. Ale on chciał, żeby pomyślała, że to jakaś nieczuła kobieta go skrzywdziła, a teraz ona ma mu pomóc się podnieść. A przecież dobrze wiedział, że to jej potrzeba czułości. Męskiego ramienia. I że jest łatwą zdobyczą. Miała wrażenie, że Njujorker ma ochotę się zabawić, tylko nie wie czy warto. I dlatego prosi ją o zdjęcie. „Więc dość już tej durnowatej korespondencji!” - pomyślała. - „A zdjęcie możesz sobie obejrzeć, jeśli tak ci na tym zależy. Jest w Internecie, wystarczy dobrze poszukać. Ale odpowiadać na jego maile nie będę”.

Farewell, dear Xavier, farewell!

Tak, dość tego! Joanna nie będzie się uzależniać od jakiegoś podstarzałego amanta, który siedzi przy komputerze o osiem godzin lotu stąd w Nju Jorku i pozuje na intelektualistę, marząc o długonogiej blondynce, którą mógłby przelecieć, o ile jeszcze cokolwiek może w tej dziedzinie. Xawery, lat pięćdziesiąt z hakiem. No może nie z jakimś wielkim, ale ze średnim na pewno. Moźnowładca. Niech sobie popatrzy na jej zdjęcie. Zrobione w zeszłym roku, na dorocznym zjeździe mediewistów w Leeds, gdzie prowadziła jeden z warsztatów. W rogowych okularach, z włosami ostrzyżonymi krótko, na chłopaka. Niech

popatrzy w jej ciemne, inteligentne oczy. Niech się domyśli, że nie ma długich nóg, że jest raczej drobna, delikatna. Nie w jego typie. Niech to wreszcie zobaczy i przestanie odpisywać na jej maile.

Zamiast z nadzieją gapić się w monitor, pójdzie teraz do łazienki, stawi czoła karaluchom, wejdzie do pokrytej rdzą wanny, weźmie prysznic. A potem zrobi sobie kawę. I wreszcie popracuje nad CV. I zadzwoni do matki - wariatki. Może nawet się do niej wybierze, chociaż nie była w mieszkaniu swojej rodzicielki od lat. Ilu? Trudno powiedzieć. Wielu, zbyt wielu. Więc może jednak najpierw ulepszy CV, a potem w nagrodę za poświęcenie i trud sprawdzi pocztę. Pan Stadnicki pewnie jeszcze nie odebrał jej maila. I nie zobaczył zdjęcia w Internecie, jeszcze się łudzi, że kobieta, której właśnie zaczął zawracać głowę, ma na tej głowie burzę wspaniałych blond loków i najwyżej dwadzieścia cztery lata na liczniku. Jeśli jednak już się obudził i przeczytał jej ostatni pożegnalny komunikat, a co gorsza, zajrzał pod wskazany przez nią adres, wie już wszystko. Wie, że jego korespondentka nie jest godna uwagi. Bo nie ma już dwudziestu lat, blond czupryny i niebieskich oczu. Jej oczy są ciemne, pełne powagi i doświadczenia. To ostatnie najbardziej jej ciążyło. Doświadczenie. Ale także niedoświadczenie w sprawach wiadomych, na których się nie znała z powodów oczywistych. Login, hasło. I oto jest! Odpisał, mimo wszystko. Nie spodziewała się tego.

Wtorek, 17 sierpnia

Miła Joanno, dziękuję Ci za zaufanie i za zdjęcie - jesteś ładna, skupiona, podobasz mi się. I nie żegnaj się, bo chciałbym się z Tobą zobaczyć za kilka miesięcy, kiedy będę w Polsce. Odpisz proszę.

Ściskam, Xawery

Spotkanie za kilka miesięcy. Też coś! Żadnych spotkań z Njujorkerem Joanna nie przewiduje ani teraz, ani za kilka miesięcy. Zaletą ich znajomości jest dystans, owe osiem godzin lotu, które łatwo zmienić w sześć lub nawet siedem tysięcy kilometrów, jak w *Baśniach z tysiąca i jednej nocy*. Odległość nie do przebycia, nie do pokonania. I oto właśnie chodzi, żeby nigdy się nie spotkać! Żadnych marzeń, panie Xawery, żadnych marzeń. „A swoją drogą i ty mógłbyś jakieś zdjęcie nadesłać, żebym wreszcie mogła cię ujrzeć!” - pomyślała.

Popatrzyłem dzisiaj jeszcze raz na Twoje zdjęcie - trzymasz głowę jak *Primavera* Botticellego. Kiedyś znałem kogoś, kto tak przechylał głowę... Fajne zdjęcie.

Pa, Xawery

Bezsenny zza Oceanu. Pisze, że nie może spać od lat. I jak tu porzucić taką korespondencję? No jak? Po prostu się nie da. Nie da się i już. A przecież powinna! Z braku lepszego zajęcia napisze do niego kolejnego maila. Przecież i tak nie ma nic do roboty. Po co pisać jakieś bzdurne

CV? Po co starać się o pracę w archiwum, po co w ogóle pracować? Po co dzwonić do matki, która niczego od niej nie oczekuje? A tym bardziej ona od matki. Lepiej korespondować z bezsennym możnowładcą, który już chyba wyzbył się złudzeń co do jej wyglądu.

Tego dnia napisała trzy maile pod rząd. Nie otrzymała żadnej odpowiedzi. Ani słowa. Więc napisała po raz czwarty, pytając wprost i bez ogródek, czy aby jej korespondent nie jest trochę zmęczony odpowiadaniem na jej wołania o pomoc.

Nie jestem trochę zmęczony. Pierwszego dnia po bezsennej nocy zawsze jestem bardzo, bardzo zmęczony i to nie, do cholery, odpowiadaniem na Twoje maile! Jak będę tym zmęczony, to Ci to napiszę. Teraz jest dziesiąta rano, spokój w pracy, przestaje mnie łąpać w głowie i mogę trochę napisać. Przeuroczy chudeusz jesteś! Śliczny masz uśmiech. Bardziej podobałabyś mi się w długich włosach - nie wiem, to chyba taka atawistyczna macho preferencja. Mam problemy z bezsennością, dziś wieczorem wezmę tylko melatoninę i zobaczymy, co będzie. Jest też taki trick na problemy ze spaniem (sposób number 35a) - urwać się z roboty i wystawiać twarz na słońce aż do spalenia - u nas słońce jest b. ostre, wtedy wydzielanie melatoniny naturalnej cofa się b. mocno i organizm nie próbuje kompensować za niewydzieloną noc, a wieczorem jest lepiej. Zrobiły mi się od tych praktyk ciemne plamy na nosie. Muszę przerwać cdn. za dwadzieścia minut...

Pa, X.

Najważniejsze, że przysłał jej zdjęcie. Nie wygląda na swoje lata. Śliczny ma uśmiech, taki słoneczny, rozbrajający. Pewnie nieraz ratował go z opresji, ten uśmiech. A do tego włosy w kolorze starego srebra. I czoło takie wysokie. To przez te włosy, które uciekają coraz wyżej i wyżej. Tylko dlaczego on nie może się pogodzić z tym, że łysieje? Dlaczego to maskuje? Zaczesuje. Robi pożyczki. Przecież to śmieszne i nie w jego stylu! A jednak chyba się zauroczyła. Nie po raz pierwszy w życiu zresztą. Właśnie dlatego, że miał słabości, nie tylko te, o których mówił otwarcie, ale także te zaczesane. Bardzo jej kogoś przypominał. Kogoś ważnego...

Rozdział drugi

SŁODKA

- Jedno jest pewne, to już nie potrwa długo - banalne stwierdzenie profesora Jerzego Pączka, znanego nefrologa, zapadło Joannie w pamięć.

A przecież jeszcze tak niedawno grał w tenisa... Jednak widok małej poduszki w łososiowej powłoczce w czarny rzucik pod głową ojca - Starego H. (zawsze w myślach tak go nazywała) - był dla niej sygnałem, że to już naprawdę koniec. Ta powłoczka towarzyszyła mu przez całe życie, od momentu, gdy w nie do końca jasnych okolicznościach pojawił się w domu Bronisławy Szabli na Woli. Łososiowa powłoczka pochodziła z czasów, które mało kto pamiętał. Była pocerowana i wytarta, lecz ciągle trwała w rodzinie. Nikt nie ośmieliłby się jej wyrzucić, ani podrzeć na szmaty.

Bronisława Łągwa, *primo voto* Szabla, po drugim mężu H., zawsze kładła ją pod głowę chorym lub śmiertelnie przerażonym. Wtedy na początku 1943 roku, lub może raczej pod koniec roku 1942, też ją wyjęła z bieliźniarki, by powlec małą poduszkę, dla chłopca o wystraszonych

oczach, którego ktoś przyprowadził do jej mieszkania. Na przechowanie.

Czterdzieści lat później pozbawiona włosów, niemalże z mumifikowaną głową Bronisławy H. spoczywała na poduszce obleczonej w tę samą łososiową powłoczkę. Ale to jeszcze nie koniec historii. Całkiem niedawno, będąc w szpitalu, Stary H. poprosił swoją jedyną córkę Joannę o przysługę:

- Przynieś mi z domu małą poduszkę, w tej powłoczce, no wiesz...

- W której?

- Jak to w której, w tej różowej. Co za pytanie!

Teraz Joanna trzyma ją w szafie. Na specjalną okazję.

Wtorek, 24 sierpnia

Dość tego mailowania! Przecież to już jest uzależnienie od humorów i nastrojów Njujorkera, który nie wiadomo dlaczego wciąż odpowiada na jej coraz bardziej niecierpliwie wezwania. Ciągłe jednak w jej skrzynce pojawiały się wiadomości opatrzone prowokacyjnymi tytułami.

Przytulam Cię czy tego chcesz, czy nie albo *dziewczyna paryska* (to o niej!), albo *Joanno, nie uciekaj czasem* (znowu do niej, ponieważ co jakiś czas zegnała się z nim raz na zawsze, ostatecznie i nieodwołalnie), albo *Joanna trafia w sedno po raz pierwszy* (to o seksie), albo *trzecie poważne pożegnanie* (po tym, jak po raz nie wiadomo który ogłosiła definitywne zerwanie, raz na zawsze).

Do tej pory rzadko zdarzało się, żeby ją ktoś przytulił. W jej rodzinie nie było takiego zwyczaju. Żadnych czułości. Co innego sprać dzieciaka po tyłku. Pasem. Albo po pysku, za pyskowanie. I jeszcze nawrzeszczeć. Trzasnąć drzwiami. To zdarzało się często. Ale żeby przytulać, całować, głaskać po głowie?! Na takie dziwactwa i nie-dorzeczności nie było zapotrzebowania. Piekło, Czyściec, Sąd Ostateczny. Raju na ziemi, jak wiadomo, nie ma od dość dawna. O ile w ogóle kiedykolwiek był. Zdaniem matki Joanny nie było. Bo życie to piekło. Stary H. miał w tej kwestii nieco inne zdanie, ale kto by go tam słuchał. Na pewno nie matka.

I chudacie miły przestań w kółko przepraszać, że żyjesz - dzięki za zaufanie (mail o przytulaniu). Przytulałam Cię, bo mam dla Ciebie taki wirtualny rodzaj czułości. Dziś nie spałem - zaczyna się kolejna trzydniówka, jak u alkoholika. Będzie dobrze, ale jestem na razie tak zmęczony, że nie mam siły pisać. Nap. więcej jutro.

Całuję, X.

Bezsenny zauroczył ją. Słowa tego internetowego mężczyzny miały niezwykłą moc. Posmarowane były miodem, pachniały lawendą i macierzanką. I były skierowane do niej. Tylko do niej. Ciągłe sprawdzała pocztę. Ale on w końcu zamilkł. Pewnie znudziły go te pożegnania, które domagały się czułości. A ona przestała jeść i ze spaniem było coraz gorzej. Trzydniówka jak u alkoholika. A może on jest alkoholikiem? Bezsennym alkoholikiem. Uzależniła

się od się od bezsennego alkoholika, który gdzieś przepadł. Trzeba się wreszcie wybrać do matki. Stawić czoła problemom, wrócić do rzeczywistości, skoro on już nie wróci. Bo przecież nie wróci na pewno.

* * *

Matka otwiera drzwi niepewnie, powoli. Jest przestraszona. Z trudem poznaje Joannę. W mieszkaniu cuchnie matczyną starością. Bałagan. Matka zaczyna się skarżyć. Znowu coś jej podrzucili. Dokumenty jakieś. W sprawie emerytury. Nie emerytury, tylko renty. Bo przecież emeryturę już dawno jej zabrali. Rentę też zabrali. Jeśli jeszcze nie zabrali, to wkrótce zabiorą. Zabiorą wszystko. Z pewnością. Bo to jest zbrodnia doskonała. Włamują się do mieszkania, gdy matka wychodzi po zakupy do sklepu, tego naprzeciwno. I wtedy oni wchodzi i dokumenty podrzucają i fałszują. Dopisują różne rzeczy. Całe matki życie fałszują. Zmieniają fakty i daty. Chcą zabrać mieszkanie. Już zabrali stare recenzje wycięte z gazet, które zbierała od początku swojej kariery aktorskiej. Chcą ją pozbawić nawet wspomnień. Przeszłości. Żeby zapomniała wszystko. To najnowsze pismo ze spółdzielni też jest sfałszowane. W spółdzielni zawsze fałszowali. Rachunki zawyżone przysyłali. I podsłuch założyli, w łazience, podczas wymiany rur. To dlatego te rury tak często wymieniali, żeby zakładać podsłuchy, a potem zabrać się do fałszowania dokumentów. Bardzo ważnych dokumentów. Ale tak naprawdę to oni mają zupełnie inny cel. Chcą mianowicie pozbawić matkę życia. Zabić, bez żadnych skrpułów.

I bez rozlewu krwi. Bez żadnych śladów. W białych rękawiczkach. Zbrodnia doskonała. Nic dziwnego, że przestała wychodzić z domu. Nie robi już zakupów w sklepie naprzeciwko, nie mówiąc o chodzeniu do „Kwiryny”. Nie wychodzi z domu, żeby nie mogli fałszować i podrzucać. Ale oni i tak ciągle jej coś podrzucają, jakieś nowe dokumenty. I czają się pod drzwiami. Teraz pewnie też tam stoją. Tylko czekają, żeby wzięła leki i poszła spać. Wtedy wejdą. I znowu się zaczną. Będą wynosić różne ważne rzeczy. Pamiątkowe zdjęcia na przykład. Zabrali nawet zdjęcie z pierwszego roku PWST, to z Zelwerem. I zdjęcie babki Amalii, które wisiało zawsze nad łóżkiem matki. Ramkę zostawili, a zdjęcie zabrali. Indeks Amalii Lewickiej też pewnie ukradli, bo już od dawna nigdzie go znaleźć nie można. Za to podrzucają matce mnóstwo niepotrzebnych ulotek reklamowych. Z różnych banków. Kiedyś podrzucili jej w kopercie kartę kredytową. Chciała od razu wyrzucić tę kopertę, razem z kartą. Ale karta nagle zaczęła mrugać do matki takim ciepłym, pomarańczowym światłem. I poprosiła przymilnym, dziecięcym głosem: Weź mnie. Trudno się oprzeć prośbie dziecka, nieprawdaż? Przecież matka też miała kiedyś dziecko. Córeczkę. Taką małą. Odprowadzała ją do szkoły. Za rączkę. Taką drobną, dziecięcą. Więc cóż miała począć? Wzięła kartę. Zawsze nosi ją przy sobie, w torebce, a w nocy wkłada pod poduszkę. Czasem nawet rozmawiają. Matka z tą kartą, co ma cienki, dziecięcy głosik. Rozmawiają po cichu, żeby nikt nie usłyszał. W nocy, gdy mieszkanie wypełniają szmery, szelesty i szepty fałszerzy, matka zagląda pod

poduszkę. I wtedy karta mruga do niej przyjaźnie. Dzięki temu matka może zasnąć. Stracić na chwilę przytomność. Ale gdy zaśnie, znowu ten hałas. To pewnie oni już się włamali do mieszkania i znowu czegoś szukają w jej papierach.

- Mamo, dlaczego jeszcze się nie ubrałaś?

- Kto to?

- Mamo, to ja, mówię do ciebie. Czy jesteś już gotowa?

- Niby na co mam być gotowa?

- Miałam cię zawieźć do lekarza.

- Do jakiego lekarza? Tu żaden lekarz nie pomoże, bo ja już żywy trup jestem.

Nikt matce nie wierzy. Mają ją za wariatkę. Pod byle pretekstem próbują wywabić ją z domu. Wiadomo czy-ja to robota! Przecież oni tylko na to czekają, żeby mieć swobodny dostęp do mieszkania matki. Jeśli teraz stąd wyjdzie, to oni zabiorą całą resztę zdjęć. I nie wiadomo co w zamian podrzuca, co jeszcze sfałszują. I już nie będzie do czego wrócić. Jeśli Joanna jest dobrą córką, powinna zrozumieć, że nie można zostawić pustego mieszkania. Matka zostanie tu do końca. Może coś uda jej się ocalić.

- Mamo zabiorę cię do siebie, nie możesz mieszkać sama.

- Nigdzie nie pójde. Nie ruszę się stąd.

- A kiedy ostatnio jadłaś?

Po co ułatwiać im robotę? Przecież jeśli matka zacznie gotować, będzie musiała wychodzić po zakupy. A oni tylko na to czekają. Teraz się gdzieś pochowali, bo przyszła Joanna, ale jak tylko wyjdzie, znowu będą się czaić pod drzwiami. I czekać, aż matka zaśnie, żeby wejść do mieszkania. Tego nie da się uniknąć. Oni już zawsze tu będą. Dopiero jak matka umrze, to może sobie pójść. A i to nie wiadomo. Teraz z pewnością nie zostawią jej w spokoju. Będą ją dręczyć do śmierci.

- Mamo, kim są oni?
- Po co zadawać takie pytania?
- Czy mają twarze, nazwiska?
- Nie wiem.
- Jak to nie wiesz! Przecież ciągle o nich mówisz.

Piątek, 27 sierpnia

Jestem z powrotem. Wirtualny rodzaj czułości to jest rodzaj czułości wyrażany za pomocą komputera, a nie dotyku czy głosu. Jest takie angielskie powiedzenie dla głodnych i niecierpliwych: *ALL GOOD THINGS TO THOSE WHO WAIT...* a więc wait... X.

Joanna zawsze myślała, że Stary H. miał zielone oczy, a włosy w kolorze miedzi.

- Jakiej tam miedzi, rudy był i tyle! - matka sprzeciwiała się mitologizowaniu wszystkiego, co dotyczyło rodziny H. Na uwagi na ten temat odpowiadała:

- Bo tu nie ma czego, a tym bardziej kogo mitologizować! Egoistą był i nieudacznikiem. Niewydolnym życiowo wyrzutkiem.

Zdaniem matki członkowie rodziny H. byli naznaczeni. Chorobą św. Wita, albo jeszcze czymś gorszym, a to przecież nie zaszczyt. Stara Słodka WSZYSTKO wiedziała. Nawet o ojcu Joanny, o Starym H., wiedziała. Skąd się wziął. I kiedyś wygadała się, po paru kieliszeczkach naleweczki zaczęła śpiewać jak z nut. Całą prawdę... Tylko nie dokończyła, bo do pokoju weszła ciotka Bronka. Zabrała butelkę ze stołu, przewróciła kieliszki. Nalewka się rozlała, a Słodka dostała czkawki. I to był koniec rozmowy.

- Twój ojciec był ryży i piegowaty - Joanna słyszała to nieraz.

Ryży i piegowaty znaczyło tyle, co godny pogardy.

- To dlaczego, droga rodzicielko, dałaś się uwieść temu ryżemu i piegowatemu?

- Bo on wyprzystojniał. Tak ni z tego, ni z owego. Za późno i tak naprawdę to nie wiadomo po co. Ni w pięć, ni w dziewięć. I tak garnitury - wszystkie te piękne garnitury z Mody Polskiej, Eleganta, a nawet te szyte na miarę - źle na nim leżały. Bo nie umiał ich nosić. Klasy nie miał, fasonu. A oczy to miał zielone, jak kot. I wcale nie był przystojny. Właściwie to nie podobał się kobietom.

- To dlaczego wyszłaś za niego za męża, mamusiu?

* * *

Gdy Stary H. łypnął na swoją córkę ze szpitalnego łóżka, okazało się, że te oczy wcale nie były zielone, tylko niebieskie. Właściwie błękitne. Błękit paryski. I wtedy Joanna H. zrozumiała, że nic nie wie o swoim ojcu.

Stary H. trzymał w zabytkowym sekretarzyku rodzinne papiery i sygnet. Wszystko, co pozostało po Józefie H., drugim mężu Bronisławy Szabli. Oczywiście nie licząc klubowego angielskiego fotela, który obecnie zajmował niemal pół pokoju w ciasnej kawalerce Joanny. Popękana, barwiona na zielono skóra tego fotela pamiętała dawne czasy. Jeszcze grubo sprzed wojny, może nawet sprzed tej pierwszej. Bo fotel był pozostałością rodowej spuścizny. Zanim znalazł się w mieszkaniu Bronisławy Szabli na Woli, a potem na osiedlu Za Żelazną Bramą u Starego H., przebył naprawdę długą drogę - bojowy szlak garsonier Józefa H. Pamiętał czasy prosperity młodego dandysa, który na wieczór zakładał lakierki i wcierał brylantynę w swoje ciemne włosy, zaczesując je gładko a la Eugeniusz Bodo. Tak jest, w tamtych złotych czasach Józef H. był Eugeniuszem Bodo na miarę Zduńskiej Woli. Kobiety widziały w nim tajemniczego kochanka, pełnego seksapilu, w dodatku obdarzonego nadzwyczaj pięknym uzębieniem. W tej odległej przeszłości pierwszy właściciel skórzanego fotela często się uśmiechał, spoglądając z zadowoleniem na swoje odbicie w każdym napotkanym lustrze. Wielką przyjemność sprawiało mu przycinanie wąsika. Bardzo uwodzicielskiego, trzeba to przyznać.

Józef H. doskonale wiedział, że ma nieodparty urok, który przekładał się na szalone powodzenie u kobiet, zarówno tych młodszych, jak i starszych. Brunetki, blondynki, nawet całkiem małe dziewczynki! Nie wspominając o matronach. Wszystkie, bez wyjątku, mu ulegały. Przychodziły do jego garsoniery, błagając o odrobinę czułości.

Najczęściej to one same zdejmowały szeleszczące, jedwabne suknie, bardzo eleganckie i drogie, które za ciężkie pieniądze kupowali dla nich mężowie lub ojcowie. Brał te kobiety bezceremonialnie, niemal w pośpiechu. Czasem na fotelu obitym zieloną skórą. Od tyłu, bo tak najbardziej lubił. Zawsze go podniecały kobiece pośladki, kształtne i jędrne. Miał ich bez liku, przez całe życie. Nawet w czasach, gdy nie był już ani młody, ani przystojny, zdołał posiadać kilkanaście całkiem niebrzydkich kobiet o zgrabnych tyłkach. Ale przecież w czasach swojej największej prosperity liczył Józef H. na coś więcej niż to, co go później spotkało. Nie mógł wówczas przypuszczać, że jego rodzina straci wszystko z powodu wielkiego kryzysu, a on będzie musiał objąć marną posadę urzędnika w banku spółdzielczym.

Po wojnie spędzonej w niemieckiej niewoli, w przypływie bezradności i rozpacz, ożenił się z energiczną wdową o tyłku chudym i kościstym (zupełnie nie w jego guście!) i zamieszkał w skromnym mieszkaniu na warszawskiej Woli. W owej powojennej epoce ubóstwa, prostactwa i mroku spędzał długie ciemne wieczory, siedząc w starym skórzanym fotelu, i do późnej nocy słuchał radia albo opowiadał pewnemu chłopcu, jak dzielnie stawał do boju w bitwie nad Bzurą. Pod generałem Kutrzebą, a jakże!

I jeszcze o tym, jak podczas kolejnych pięciu lat spędzonych w oflagu stracił bujną czuprynę i połowę uzębienia. Słuchając nocnych wynurzeń o przewagach bojowych Józefa H. (i nie tylko o tym, bo czasem po jarzębiaczku lub śliwownicy stary gawędziarz zbaczał na inne, nieco mniej heroiczne tematy), milczący chłopiec starał się wyrzucić z pamięci to wszystko, co mu się przydarzyło zanim ktoś, kogo zupełnie nie pamiętał, przyprowadził go do cichego i spokojnego mieszkania na Woli.

Na pogrzebie Starego H. Joanna spotkała swojego kuzyna-niekuzyna Ignaca. Ignac H. był stryjczym wnukiem Józefa H. Nosili z Joanną to samo nazwisko i to jedno łączyło ich z całą pewnością. Spotkali się w tych smutnych okolicznościach po raz pierwszy od czasów, gdy byli dziećmi i razem siadali u stóp fotela, w którym Józef H. spędzał długie zimowe wieczory.

Na stypie w kawalerce Starego H. zebrali się wszyscy, rodzina i przyjaciele zmarłego. Pili czerwone wino, oglądali rysunki gospodarza i stare zdjęcia. Ignac należał do tych, co lubią popić, ale nie wino, lecz wódkę. Więc była i wódka, specjalnie dla niego. Po paru kieliszkach język mu się nieco rozsznurował. Mogli wreszcie pogadać.

- Bierz ten sygnet, Ignac. Jest twój i papiery też sobie weź. Całą tę sławę i chwałę zabierz. Mnie to niepotrzebne.

Ignac trochę się zdziwił niespodziewaną szczodrością dawno niewdzianej kuzynki. Sygnet wziął. Może da się go spieniężyć. Ale listy to przecież makulatura. Niech się

lepiej Joaśka tym całym śmietnikiem zajmie. Może ktoś to kupi na Allegro, a jak nie, można je oddać do archiwum. Przecież mają ze dwieście lat, jeśli nie więcej.

„Oj Ignac, Ignac. Nie ma dla ciebie nic świętego” - pomyślała Joanna. - „Nie dociera do ciebie głupi, spasiony osiłek, że jesteś ostatnim z rodu? Bierz sygnet, a papiery przeczytaj, zanim się ich pozbędziesz. I weź się za siebie chłopie, bo już czas coś zrobić w życiu. Zajmij się swoim drzewem genealogicznym i ciesz się tym, że je masz. Bo niektórzy mają tylko cudze nazwisko i cudze listy”.

„Ta nudziara w rogowych okularach najwyraźniej chciała ubić ze mną jakiś interes. O co jej mogło chodzić? Tej starej pannie, tej niewydarzonej historyczce? A może raczej histeryczce” - zastanawiał się Ignac. Oczywiście słyszał od swojego ojca, że stary H., ojciec Joanny, nie był wcale synem Józefa H. I że go przygarnęła pod swój dach ciotka Bronka, jeszcze za okupacji. I że nie wiadomo skąd się wziął. Bronka nigdy nie chciała o tym opowiadać. Strasznie się denerwowała, gdy ją pytano o pochodzenie jej wychowanka. „To mój syn! Nasz!” - krzyczała.

Józef H., potakiwał, bo się bał żony. Zresztą wszyscy się jej bali. Groźna była. Ignac słabo ją pamięta, ponieważ rzadko bywał u stryjostwa. Nie lubił tam przychodzić. Nie lubił opowieści o koniu Marszałka Piłsudskiego i o zębach, które Józef H. stracił podczas pobytu w oflagu. Nie lubił też ciasta drożdżowego pieczonego przez Bronię na niedzielę, ani kompotu z gruszek, który podawała na specjalne okazje. Zawsze oddawał swoją porcję kuzynce, bo ona wprost przepadała za gruszkowym kompotem. Ale

najbardziej upodobał sobie te kompoty Stary H., rzekomy syn stryjostwa.

Pokręcone to wszystko i nudne. Ignac miał za nic rodzinne pamiątki i tajemnice. Kto z kim i dlaczego. To dobre dla jego kuzynki, rozmiłowanej w przeszłości histeryczki, której po prostu chłopu brakuje. Ot co! Dość już tego wspomniania kompotów ciotki Bronki i jej wypieków! Dość gadania o trupach, starych fotelach i rodzinnych sekretach. Podobno Słodka jeszcze żyje. Więc niech ją Joaśka odszuka i sama się dowie, jak to naprawdę było z jej ojcem. I nie tylko. Jeśli koniecznie musi to wiedzieć. Jeśli to takie ważne. Dla niej. Bo dla Ignaca tego typu sprawy nie mają najmniejszego znaczenia.

- Nie pamiętasz Słodkiej? Nie gadaj! Musisz ją pamiętać! Przychodziła do ciotki na telewizję albo radia posłuchać. Podwieczorek przy mikrofonie, koncert życzeń. Takie tam! Violetta Villas z długim blond włosom i olbrzymimi cycami albo Zdzisława Sośnicka. Naprawdę nie pamiętasz Słodkiej? Nosiła złote kolczyki, jak cyganka. I nie miała przednich zębów. Już wtedy wyglądała na sto lat, z małym okładem. Nie udawaj, że sobie nie przypominasz. Bo i tak ci nie uwierzę!

„Ignac ma rację, że tylko ta starucha może coś pamiętać. Jeśli naprawdę jeszcze żyje, to już przekroczyła dziewięćdziesiątkę. Trudno liczyć na to, że ona jeszcze coś pamięta. I gdzie taka może mieszkać? Chyba na cmentarzu, w domu starców albo u czubków, gdzie, tak nawiasem mówiąc, jak najszybciej powinna trafić matka, bo w przeciwnym razie może zdarzyć się nieszczęście” - zastanawiała się Joanna.

Ignac, chcąc się uwolnić od natrętnej kuzynki, zapisał adres na kartce.

- Przecież to żadna filozofia tam trafić. To bardzo blisko. Byłaś tam ze sto razy. Albo i sto pięćdziesiąt.

Są takie miejsca w mieście, niby zwyczajne, niby dobrze znane, a jednak boimy się tam chodzić. Ciekawe czy Njujorker też ma takie miejsca, których się boi. Joanna postanowiła przyznać mu się, że boi się Warszawy, że zawsze się tu czegoś obawiała. Nie wiadomo czego. Najbardziej nie lubi chodzić do matki na Anielewicza i wszędzie tam, gdzie kiedyś mieszkali jej rodzice. U siebie przy ulicy Żelaznej też czuje się nieswojo. Nie zaciąga na noc zasłon, bo boi się ciemności. Nikomu o tym nie mówi. Ale tak właśnie jest. Nieswojo się czuje w tych wszystkich mieszkaniach. Nie wiadomo dlaczego, prawdę mówiąc. Przecież nie jest wariatką. Jest zupełnie normalna, ale ten lęk nie jest normalny. Więc wstydzi się tego.

Sama nie wie, dlaczego właśnie Njujorkerowi o tym mówi. Widocznie komuś musi się zwierzyć. A on mieszka daleko i nie do końca jest realny. Więc nadaje się do zwierzeń. Nie dlatego, że mu ufa. Po prostu wydawało jej się, że ją zrozumie. Bo jest emigrantem i wie, co to znaczy czuć się gdzieś obco. Joanna cały czas czuje się obco. I ma wrażenie, że ten świat jakoś ją odrzuca. Że jest tu intruzem. Wszędzie. A najbardziej w miejscach dobrze jej znanych, gdzie powinna czuć się jak w domu. Czy on też ma takie poczucie wyobcowania?

Piątek, 10 września

Joanna nie zaglądała do swojej elektronicznej skrzynki od dwóch tygodni. *Farewell*, Panie Możliwościodo! *Bye, bye* Njujorkerze! Dość tych wirtualnych czułości. Tym razem Joanna nawet nie napisze, że to już koniec. Nie da mu tej satysfakcji. I to będzie naprawdę znaczyło, że *GAME IS OVER*. Gra między nimi. A raczej jego zabawa jej kosztem. Bo ona nie ma już ochoty słuchać tych kąśliwych uwag o tym, że jej odbija, że to hormony i zwyczajna babska histeria. Nawet jeśli to prawda, to i tak nie daje mu to prawa, żeby z niej drwił. I żeby jej wypominał, że jest kobietą i czeka ją jeszcze menopauza i różne dziwne przeżycia, na które, rzecz jasna, trudno mieć ochotę.

Joanno! Naprawdę nie wiem, co Ci napisać, niepokoję się o Ciebie. Ty oprócz bólu, o którym nie chcesz mówić, masz w sobie za dużo samotności. Jeżeli świat, powiedźmy, jakoś cię tam odrzuca, to nie należy go w odpowiedzi kopać po tyłku, a raczej czołgać się do niego - tak robię ja.

Xawery

„Czołgać się, też mi pomysł na życie! W sam raz dla ciebie, Njujorkerze. Sam się czołgaj” - pomyślała Joanna. - „I nie musisz się o mnie niepokoić. Lepiej już wpadnij w wir swojej kolejnej trzydniówki, jak u alkoholika. Nawet nie zamierzam czytać twoich maili. Już mnie nie obchodzi. Nic a nic!”.

Postanowiła, że nie będzie wpatrywać się w jego fotografię - zaraz podrze to paskudne zdjęcie, które wydrukowała i o mało co nie oprawiła go w ramki i nie ustawiła na sekretarzyku. Njujorker nie zasługuje na to, żeby jego podobizna stała na sekretarzyku Starego H.! Boże, dlaczego odbierasz ludziom rozum, nawet wtedy, gdy już nie są zdolni do tego, żeby się rozmnażać! Co ją zauroczyło w tym narcystycznym, męskim szowiniście? To lekko zmarszczone czołko, maleńkie ciemne okulary na zgrabnym nosku? Te historie z włosami, zdradzające próżność? CIAŁOKSZTAŁT po prostu. Biedacek nie może się pogodzić z tym, że łysieje, prawda? Maskuje to, używając starych sprawdzonych sposobów. Czy on nie zdaje sobie sprawy z tego, że właśnie te zabiegi „fryzjerskie” go ośmieszają? W jego wieku interesujące miesza się w mężczyźnie ze śmiesznym. Może właśnie dlatego zakochała się jak nastolatka w facecie, którego nawet nie widziała na oczy? Bo przecież zdjęcie się nie liczy. Podrze i wyrzuci tę cholerną fotografię, żeby już więcej na niego nie patrzeć.

A jednak trudno nie odpisać, skoro tak bardzo się o nią niepokoi. Już prawie spakował walizki, jeszcze tylko osiem godzin lotu i zaraz tu będzie, wśród karaluchów. Prosi ją o numer telefonu. Chce do niej zadzwonić. Boi się, że ona zrobi głupstwo, że już zrobiła. Kto wie, może warto spróbować?

Więc niech się dowie, że cała jest i zdrowa, tylko ma inne, ważniejsze sprawy do załatwienia. Bo niedawno ojca swojego pochowała i w żałobie jest. Zdarza się każdemu, prawda? O matce mu nie napisze, bo już na samą myśl

o niej czuje głębokie zażenowanie i upokorzenie. Ale jeśli on tak bardzo chce, to poda mu swój numer telefonu, tylko niech się pospieszy, bo nie zapłaciła rachunku i pewnie wkrótce jej go wyłącza.

Długo odkładała tę wyprawę. Rodzinne historie zmarłego niedawno ojca nie mogły jej donikąd zaprowadzić. Ważniejsze było znalezienie jakiejś pracy, bo już nie miała z czego płacić rachunków. Dzielenie mieszkania z karaluchami okazało się nadspodziewanie kosztowne. Miała wprawdzie pewne widoki na posadę w archiwum, ale to jeszcze nie było nic pewnego, a i robota raczej z tych brudnych i źle płatnych. Jednak w końcu złożyła swoje CV i cierpliwie czekała na jakąś wiadomość, choć wyobrażenia nasuwała jej najgorsze wizje związane z tą posadą. Szczury, myszy, Niewiadomska, czyli praca w dziale naukowym archiwum. Swoją drogą to musi być straszne - chodzić na ósmą do biura i wysiadywać tam cały dzień, aż do szesnastej. Brr!

W końcu jednak postanowiła znaleźć tę ulicę i ten dom, gdzie przed laty mieszkała ciotka Bronka. Zdecydowała, że pójdzie pieszo. Przecież to tylko jakieś dwadzieścia minut marszu z Żelaznej. No może trochę więcej. Pogoda była nienajgorsza. Taka bardziej skandynawska. Słońce i wiatr. Chłodno. Po drodze próbowała przypomnieć sobie krajobraz zapamiętany z dzieciństwa. U ojca znalazła kilka zdjęć z dawnych czasów. Zdjęcie numer jeden: ciotka Bronka w ortalionowym płaszczu, z parasolem, stoi na

ulicy Wolskiej; z wyglądu i postawy bardzo przypomina królową brytyjską Elżbietę II. Zdjęcie numer dwa, zrobione prawdopodobnie w Parku Sowińskiego, przedstawia Joannę H. jako tłuście niemowlę przypięte szelkami do wózka. Na trzecim zdjęciu jakaś wysuszona, koścista ręka trzyma małą Joannę za ramię. Może to ręka Słodkiej, a może jednak ciotki Bronki?

Ulica Bema, Wola, Czyste. Wiele się tu nie zmieniło. Niebo też czyste, wysokie. Bez trudu poznała starą kamienicę z czerwonej cegły i znajomy wizg przejeżdżającego pociągu. Wspomnienia wróciły. Były jak nieproszeni goście. Tamten potężny tapczan, na którym spali razem - ciotka Bronka i jej drugi mąż, Józef H. I jeszcze purpurowe, aksamitne zasłony i tamten strumień światła wdzierający się do pokoju. I oczywiście powłóczka - łososiowa, w czarny rzucik - wtedy w czasach swojej świetności zawsze wykrochmalona, pachnąca lawendą. I spokojny, niczym niezakłócony sen dziecka.

Weszła na klatkę schodową, na której nadal unosił się zapach naftaliny i pasty do podłóg. Odruchowo zerknęła na dół, w stronę małych drzwiczek prowadzących do piwnicy przerobionej zaraz po wojnie na wózkarnię. Bo przecież wózkarnia była niezbędna w czasach, gdy na potęgę zaczęły rodzić się dzieci. Baby boom. Sześć milionów nowych obywateli w dziesięć lat! Rekord Europy. A potem szkoły musiały pracować na trzy zmiany. I tak pękały w szwach. Xawery Stadnicki, przyszedł Njujorker - przedstawiciel jednego z najliczniejszych powojennych roczników - chodził do klasy „i”, na trzecią zmianę. Mały

chłopczyk z grzechoczącym, kartonowym tornistrem na plecach. Wracał do domu po ciemku, upajając się wonią gnijących liści. Dobrze, że nic mu się nie stało po drodze. A może właśnie się stało i dlatego dorosły Xawery po nocach spać nie może?

Na liście lokatorów, pożółkłej i częściowo nieczytelnej ze starości, pod numerem czwartym widniało znajome nazwisko: SŁODKI Waldemar. A więc to tak! W mieszkaniu ciotki Bronki zamieszkał Waldi Słodki. Synalek Słodkiej. Jeden z tych sześciu milionów, co się urodziły, żeby zrekompensować tamtych sześć, co przepadły, spopielone - z woli, albo wbrew woli, Wielkiego Poruszyciela.

Zawsze źle patrzyło z oczu temu Waldkowi. Zamarzył się Słodkiej Ordynat Michorowski. Pomarzyć każdy może. Nawet Łódzia Słodka z ulicy Bema w Warszawie. Ale to jeszcze nie znaczy, że owoc takich marzeń będzie dojrzały. Kiedykolwiek. Waldek Słodki nawet nie zdążył skończyć podstawówki, a już poszedł siedzieć. W poprawczaku. A jeśli potem wychodził, to na krótko.

Gdy na drzwiach pod numerem czwartym zobaczyła dobrze znaną, mosiężną tabliczkę, na której widniał napis: ROMAN SZABLA, nogi się pod nią ugięły. Zupełnie jak za dawnych czasów! Wszystko zostało na swoim miejscu! Roman był pierwszym mężem ciotki Bronki, umarł jeszcze przed wojną, na suchoty - tak przynajmniej twierdziła ciotka. Bronce zawsze oczy wilgotniały, jak go wspominała. Głos jej się łamał, gdy rozpoczynała zdanie od:

Jak Roman żył..."

„Dopóki żył Roman..."

"Jak mi się Roman oświadczył..."

„Gdy zamieszkaliśmy z Romanem na Lesznie..."

„W czasie choroby Romana..."

Już po śmierci Romana..."

„Gdyby Roman żył..."

Joanna zapamiętała z dzieciństwa, jak na Wszystkich Świętych chodzili na Powązki, na grób Romana. Zapalić mu znicz. Chodzili tam wszyscy razem: i Bronka, i Józef H., i Stary H., i Joanna. Nawet matka Joanny była tam ze dwa razy. Zdaje się, że Ignaca też ktoś przyprowadził na grób Romana Szabli, bo od razu się zorientował na pogrzebie Starego H., dokąd podąży kondukt.

- U Romana go chowasz? Dlaczego?

- Bo tu chciał. Prosił, żeby właśnie tu.

Józef H., weteran oflagowych udręk, które ogołociły mu szczękę i pozbawiły całej przedwojennej urody, zawsze się ożywiał, gdy rozmowa schodziła na tematy związane z jego poprzednikiem. Mówiło się o nim: „Pierwsza Szabla Rzeczypospolitej”. Na grobie Romana Szabli widniały tylko daty graniczne: 1896-1936, i jeszcze: ROMAN SZABLA - LEGJONISTA. „Roman - Pierwsza Szabla Rzeczypospolitej. A ja jestem ta druga!” - mawiał Józef H. po wypiciu drugiego kieliszka wódki - czystej Wyborowej albo Żubrówki, albo jarzębiaczku, albo śliwownicy. Ciotka Bronka miała wyraźną słabość do polskiego munduru. Obaj jej mężowie świetnie prezentowali się w swoich uniformach. Roman dosłużył się kapitana, Józef podporucznika. Bronia z obu mundurów była dumna. I z obu mężów. Dumna była jak paw. Za mundurem panny

sznurem! A ona była na pewno pierwszą spośród tych pańien. Zdjęcie Romana Szabli w legionowym uniformie wisiało nad małżeńskim łóżem Broni. I kazała sobie to zdjęcie włożyć do trumny, razem ze starym scyzorykiem należącym do jej drugiego męża.

Roman Szabla miał jasne włosy i jasny, słoneczny uśmiech - zupełnie taki sam jak pewien tajemniczy mężczyzna, z którym od pewnego czasu korespondowała Joanna H. Ale przecież nie można porównywać wirtualnego zauroczenia niespełnionej mediewistki z prawdziwą wielką miłością dwojga ludzi, takich z krwi i kości, a nie ze słów, masek i internetowych kostiumów. Bronia kochała swojego Romana w sposób jak najbardziej rzeczywisty. I w dodatku do szaleństwa. Był jej pierwszą miłością, najgorętszą i najśodsza. Jej pierwszym mężczyzną. Mało nie oszalała z rozpacz, gdy umarł. Podobno chciała być pochowana obok niego. Ostatecznie jednak wylądowała na Bródnie, u boku drugiego męża.

Za to ojciec Joanny kazał się pochować na Powązkach, w grobie Romana Szabli. Niełatwo było udowodnić pokrewieństwo, ale w końcu się udało. Przecież wszystko jest tylko kwestią ceny, nawet więzy rodzinne można wykreować za odpowiednią sumkę.

Stary H. nieraz robił aluzje, że to może właśnie dzielny legionista był jego ojcem, że go spłodził z jakąś inną kobietą. Kto wie? Mogło tak być. Przecież ta opowieść o chłopcu, którego ktoś oddał Broni na przechowanie, zupełnie nie trzyma się kupy. Na jakie przechowanie, skoro został na zawsze? I dlaczego Bronia mówiła do niego

„synku”, a on do niej ciociu, a nie mamó? Może naprawdę był nieślubnym synem Romana i dlatego Bronia go przygarnęła?

A teraz ta tabliczka na drzwiach i znowu Roman Szabla, skąd tu się wziął? Czyżby Waldemar Słodki, złodziejasek i łobuz, uszanował pamięć legionisty? Mało to prawdopodobne. Mimo wahania nacisnęła na dzwonek. Nie działał. Zastukała do drzwi. Po dobrych kilku minutach oczekiwania, gdy już chciała odejść, coś skrzypnęło. W uchylonych drzwiach pojawiła się postać mężczyzny w wieku nieokreślonym. Był niechlujnie ubrany, nieogolony, czuć było od niego potem i nadtrawionym alkoholem. Tego było za wiele dla Joanny. Chciała natychmiast odejść. Uciec jak najdalej.

Ale Słodki nie dawał za wygraną. Zgiął się dwornie w pół i, siłąc się na niebywałą elegancję, wymamrotał:

- Sie pani nie boi, Słodki jestem. Pamiętam paniusię, jak taka malusia była. O, taka!

Jaka znowu „paniusia”? Zaraz, przecież to naprawdę Walduś. Ten sam, o którym zawsze mówiło się ściszym głosem, że rozrabia, albo że sprawę w sądzie ma i że adwokat by się przydał. A potem, że siedzi, ale może wyjdzie, jak będzie amnestia z okazji 22 lipca. Waldemar Słodki - bandyta. W takim razie najlepiej będzie uciec stąd, bo jeszcze ją ten słodki bandzior obrabuje. Zabierze portfel, a wraz z nim ostatnie pieniądze na chleb i na czynsz.

- No niech tak nie stoi. Niech wejdzie do środka.

Weszła do sieni. Niewiele się w tym mieszkaniu zmieniło od czasów ciotki Bronki. Wszystko zostało po

staremu, jak wtedy, gdy spędzała tu niedziele jako mała dziewczynka. Pewnie w jedną z takich niedziel zobaczył ją Waldemar Słodki i tak ją zapamiętał. Tylko jakim sposobem rozpoznał w dojrzałej kobiecie małą dziewczynkę? Złodziejskim zapewne.

- Pani do mamusi, co nie? Mówił mi pan Ignac, że paniusia z mamusią do pogadania ma.

W sypialni, dokąd poprowadził ją Walduś, dominowała woń odchodów, potu i starości. To pewnie śmierć tak cuchnie. Nieznośnie. *Venit mors velociter, rapit nos atrociter*. Gdy śpiewała te słowa w chórze akademickim jako świeżo upieczona studentka wydziału historii Uniwersytetu Jagiellońskiego, nie zdawała sobie sprawy, że to nie tylko brzmi jak wyrok, ale wyrokiem po prostu jest. Tyle, że odroczonym.

Porażona zapachem umierania, nie zwróciła w pierwszej chwili uwagi na to, że na starym dwuosobowym tapczanie, który kiedyś stał w sypialni małżonków H., coś leżało. Nie coś, tylko ktoś. Człowiek leżał. Jakaś kobieta. Ciągle żywa jeszcze. Świadczył o tym świszczący oddech, dochodzący spod pierzyny.

Wyblakłe purpurowe story przepuszczały snop światła, zupełnie jak kiedyś. To światło wpadające do pokoju było jednym z pierwszych wspomnień Joanny. Rekwizyty przeszłości. Historia. Brakowało tylko czarno-białego telewizora o nazwie „Koral” lub „Ametyst”, a może „Szafir”. Nazwa nieważna, ważne, że ciągle się psuł i trzeba było wzywać technika. A nawet jak działał bez zarzutu, to raz po raz zamiast programu pojawiała się plansza

z komunikatem: „Przepraszamy za usterki” albo „Prosimy nie regulować odbiorników”. Tylko zapach był zupełnie inny. Za czasów ciotki Bronki pachniało tu lawendą. A teraz uryną. I jeszcze czymś nieznanym, jeszcze bardziej odstręczającym. Trudno uwierzyć, że to dziwne coś zwinięte w kłębek było kiedyś Lodzią Słodką, mamusią Waldemara S., zbira, który przecież w każdej chwili mógł obrabować Joannę, ba, nawet ją zgwałcić i zamordować.

Po chwili spod kołdry zaczęło wydobywać się bulgotanie, jakieś nieartykułowane dźwięki, jakby Lodzia chciała coś powiedzieć. Swoje ostatnie słowa. Bo przecież czekała na tę wizytę, od lat czekała. Chciała się poskarżyć i opowiedzieć komuś ważnemu, jak to naprawdę było. Z nią i nie tylko. Z całą rodziną. Ktoś powinien poznać prawdę. Bo dotąd tylko ona ją знаła, no i Walduś. Ale on się nie liczy. I nie liczył się nigdy. Jeszcze zanim się urodził, chciała, żeby na zmarnowanie poszedł. Z pieca skakała, ale i tak w końcu przyszedł na świat. W szpitalu na Kasprzaka. Tu niedaleko. Bękart przekłęty. Bo taki to tylko na zmarnowanie pójść powinien. No i poszedł. Ale niestety wrócił i teraz z nią mieszka, i gorzałkę kupuje z matczynej renty, a sam nic nie zarabia.

- Matka, dość już tego! - wrzasnął Waldemar Słodki, który wślizgnął się niepostrzeżenie do pokoju, gdy jego matka już, już była gotowa wydobyć z siebie pierwsze artykułowane dźwięki i wyrzucić to, co nie pozwalało jej spokojnie odejść. Poskarżyć się na swoje życie, oskarżyć kogo trzeba i domagać się sprawiedliwości. Za swój los wykoślawiony jak stare buty. Staruszka drżała z oburzenia

na samo wspomnienie niecnych czynów Józefa H. Jednak Waldemar uciszył matkę, a potem zdecydowanym gestem wziął Joannę pod rękę i wyprowadził z sypialni.

- Mamusia stara i chora jest. Długo już nie pociągnie, sama widzi. Bo ona chora jest i zwyczajnie pomieszania dostała, ze starości. Co to się z ludziskami wyrabia na stare lata.

Joanna potulnie przytaknęła, gdyż nie miała ochoty wdawać się w dyskusję z Waldusiem. Założyła podany jej przez Słodkiego płaszcz i z ulgą opuściła ponure mieszkanie. Szybkim krokiem ruszyła w kierunku ulicy Kasprzaka, na przystanek tramwajowy. Cały czas rozmyślała o tym, czego nie zdołała opowiedzieć jej Słodka, a co ona sama próbowała posklejać ze strzępków rozmowy, którą udało jej się podsłuchać kiedyś, dawno temu, gdy była jeszcze całkiem małą dziewczynką i nie mogła zasnąć w ciemnym pokoju z purpurowymi, aksamitnymi storami, przepełnionym zapachem lawendy, podrywając się na dźwięk dobiegającego z zewnątrz znajomego wizgu przejeżdżających pociągów. Gdy cichutko podeszła do kuchni, zobaczyła, że przy stole siedziała jej matka ze Słodką i rozmawiały o czymś ściszonymi głosami, a potem przyszła ciotka Bronka i kazała Słodkiej wyjść, bo już późno, i tak się zamachnęła, że przewróciła kieliszek, który stał na stole, i czerwone wino się rozlało, i obrus trzeba było solą posypać i na drugi dzień uprać go w misce. A może jednak to nie było wino, ale jakaś nalewka ciotki Bronki. Tak twierdziła matka, ale Joanna wolałaby, żeby to było wino czerwone, Egri Bikawer na przykład.

Rozdział trzeci

MIEĆ ZAWSZE PEŁNY BAK

W samotnym mieszkaniu samotnej kobiety, na osiedlu Za Żelazną Bramą, było ciemno i coraz zimniej, ponieważ Joanna postanowiła oszczędzać na czym się da. Na pierwszy ogień poszło ciepło. Bo ciepło to luksus dla bogatych. Biednym pozostaje trząść się z zimna i tracić wzrok przy słabym świetle. A wszystko po to, żeby nie płacić takich horrendalnych rachunków i nie zbankrutować. Gdy po powrocie z ulicy Bema, zmęczona i zmarznięta weszła do swego mieszkania, poczuła dojmujący chłód. Zdawało się, że temperatura w jej kawalerce było niższa niż na zewnątrz. Zrezygnowana, chciała położyć się na tapczanie, żeby odpocząć, a może nawet zasnąć po męczącym dniu. I już się nie obudzić, przynajmniej do rana. Zauważyła jednak migotanie czerwonego światełka diody w telefonie. Ktoś nagrał się na sekretarkę. To pewnie znowu matka z kolejną opowieścią o podrzuconych dokumentach. Nic z tego, droga rodzicielko. Nawet nie odsłucha wiadomości. Skasuje ją od razu. I nie pójdzie na Anielewicza. W każdym razie nie dziś. Nie w tym stuleciu. W następnym też nie.

Ale to nie była matka, tylko on. To znaczy nie on, tylko tamten z Krakowa. Tunio. A przecież mówiła mu, żeby sobie dał na wstrzymanie. A najlepiej, żeby dał sobie spokój raz na zawsze i przestał ją niepokoić. Bo nic z tego nie będzie. Bo Joanna do Krakowa nie wróci, a on przecież nie zostawi swojej matki. Tej starej rozhisteryzowanej hetery. Nieznośnej hipochondryczki, pani Zuni.

Poniedziałek, 11 października

Rozmowa kwalifikacyjna. Lawina pytań, które mają zdyskwalifikować. „Dlaczego pani odeszła z uczelni?“, „Co panią skłoniło do ubiegania się o pracę w naszym archiwum?“, „Czy prowadzi pani jeszcze jakieś badania naukowe?“, „Czy zamierza pani pracować dalej nad swoją rozprawą doktorską?“, „Dlaczego nie?“.

I co można na to wszystko odpowiedzieć? A raczej: o czym mówić nie należy? Z całą pewnością nie należy wspominać o tym, że ją wylali. Mniejsza o to, jakie były powody. Może poszło o mężczyznę... Kto wie. Jeśli nawet tak było, to Katarzyna Niewiadomska - wścibski, stary babon, tak na oko dobrze już po pięćdziesiątce - niczego się nie dowie. Nieważne, co się wydarzyło. Wydarzyło się i już. A przez to Joannie życie się zawaliło. Odeszła honorowo. Spaliła za sobą mosty. I wszystkie notatki do pracy doktorskiej, gromadzone przez lata w pudełkach po butach, wylądowały na śmietniku. Więc już nie wróci do tamtego tematu o itinerariach. Nie dokończy doktoratu. Nie obroni go. Nie usłyszysz magicznej formułki: *Clarissimi doctores!*

A jednak została przyjęta do pracy i zaczyna od zaraz. To znaczy od jutra. Hurra! Będzie na rachunki za ogrzewanie i za prąd! Może nawet na bilet miesięczny wystarczy. Cudowna perspektywa w każdym razie. Odtąd codziennie, z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt, osiem godzin dziennie, a może i więcej, będzie Joanna spędzała za biurkiem, wykonując nieważną i niepotrzebną nikomu pracę. Koniec lenistwa, surfowania po necie i prowadzenia korespondencji z Njujorkerem. Jako pracownica działu naukowego archiwum będzie miała pełne ręce roboty. Wreszcie będzie pracować. Naprawdę. Po raz pierwszy w życiu. Bo przecież prowadzenie badań naukowych, a nawet zajęć z leniwymi studentami, to nie była żadna praca.

Wtorek, 12 października

Joanna dostała biurko z komputerem w pokoju trzyosobowym. Po skosie siedziała Marzena Myk. Trzydzieści dwa lata. Mąż żołnierz zawodowy przed czterdziestką, ale już na emeryturze, dwóch synów. Naprzeciwko - Żaneta Boska. Główny specjalista. Od wielu różnych spraw. Prawa ręka szefowej, a czasem nawet jej lewa noga. Zwłaszcza gdy Niewiadomska wstaje z łóżka w ten sposób, co się jej niestety często zdarza, bo ma już klimę. Klimę totalną. Natomiast Boska jest kobietą spełnioną i zapewne dzięki temu spełniająca oczekiwania kierownictwa. Jest też mężatką i matką. Siedzi naprzeciwko Joanny i jest jej przeciwieństwem. Chodzącym i mówiącym. A do tego

czuje się odpowiedzialna za nową koleżankę, która uparcie milczy i nic o sobie nie chce powiedzieć.

- Nie masz dzieci? Naprawdę? Bidulko. To straszne. Tak samej być na świecie. Ja sobie tego nie wyobrażam. Bardzo jesteś nieszczęśliwa. Ale przecież bez męża też można...

Jasne, że można. Różne rzeczy można robić bez męża. Nawet bardziej niż z mężem. Bez męża można szwendać się i włóczyć. Po knajpach. Można szukać kochanka w Internecie. I nawet można go znaleźć. Można robić to i owo, jednym słowem.

- I oczywiście trzeba mieć dzieci. A najlepiej dwoje. Nie więcej, ale i nie mniej. Dzieci powinno być dwoje. Wszystko jedno jakiej płci. Dwójka być musi. Tak jest najlepiej i najzdrowiej. Dla wszystkich. Więc, droga Joanno, jeszcze wszystko przed tobą. Nie wolno tracić nadziei. Może kogoś poznasz. Jakiś materiał na męża i ojca, a przynajmniej na ojca. Zestaw genów. Genetyczny garnitur, z którego warto skorzystać. Wszak właśnie od tego są banki spermy. Bardzo nowoczesne instytucje to są, i bardzo potrzebne. Pewnie słyszałaś o czymś takim, co? No tak, ale to przecież ostateczność. Bo ty przecież nie jesteś jeszcze taka strasznie stara. Ale oczywiście powinnaś na szkła kontaktowe się przerzucić, bo w okularach to w ogóle nie masz szans, żeby kogoś sobą zainteresować. Z takim wizerunkiem za życia pogrzebana jesteś. Nikt na ciebie nawet nie spojrzy. Pewnie dlatego jesteś sama, przez te okulary. Zdecydowanie rekomenduję ci zmianę wizerunku. Musisz się postarać w każdym razie. Mój mąż uważa, że nawet

z mało atrakcyjnej kobiety zawsze da się coś zrobić. Więc sama widzisz, że bez szans nie jesteś!

Dzwoni sekretarka. Niewiadomska chce widzieć nową pracownicę. Ma dla niej ważne zadanie. Bardzo pilne. Ktoś musi przetłumaczyć na angielski prezentację szefowej.

Niewiadomska była osobą doskonale znaną w światku archiwistów, zarówno tych rodzimych - odzianych w stare marynarki, pamiętające siermiężne czasy PRL-u, i także koszule - jak i tych zagranicznych, których znakiem firmowym były flauszowe marynarki, eleganckie spodnie oraz drogie koszule i krawaty od Versace. Nowa szefowa Joanny znana była bardziej pod zdrobnieniem Kasia niż jako Katarzyna. Nie wiadomo dlaczego tak niechętnie używała pełnego imienia. Może po prostu wstydziła się tego nadmiaru trudnych do wymówienia spółgłosek i na dodatek dwuznaków? Tej koszarnej, szeleszczącej polszczyzny. I ciągle czuła się jak mała dziewczynka, córeczka tatusia. Większość maili podpisywała zdrobnieniem „Kasia”. Kasia lat pięć plus pięćdziesiąt. A trzeba przyznać, że drobinką nie była. Dzięki słabości do służbowych lanczyków i późnych kolacyjek, wyhodowała sobie okazałe brzuszysko. Potrójną oponkę, która z pewnością uroku jej nie dodawała, najwyżej lat. Miała pięćdziesiąt pięć lat, ale wyglądała na więcej. Na dużo więcej.

Niewiadomska była wprawdzie osobą dość majątną, ale też nad wyraz oszczędną. Oszczędzała na czym się dało. Trudno się więc dziwić, że kupowała najtańszą farbę i sama farbowała włosy. W ten sposób udało jej się oszczędzić całkiem sporą sumkę, gdyby to podliczyć oczywiście. I nie było ważne, że paskudnie wyglądała w swoim hełmie

z włosów w kolorze jajecznicy, najczęściej z odrostami, bo przecież włosy też należało oszczędzać. Najważniejsze, że cały czas udawało jej się ciąć koszty, dzięki czemu kwota na jej koncie rosła systematycznie. Przecież nawet z potrójną oponą na brzuchu i w starym podkoszulku była duszą towarzystwa. A panowie - zarówno ci starsi, jak i młodszy - ochoczo pisali do niej miłosne niemal maile zaczynające się od słów: „dear Kasha” albo „hi Kasja”.

Natomiast podwładni - a właściwie podwładne - mówiły o niej „starsza pani”, żeby podkreślić dystans i znaczącą różnicę wieku, która dzieliła je od szefowej. I choć Niewiadomska nie była ani młoda, ani ładna, ani dobrze ubrana, podobała się mężczyznom. Robiła na nich wrażenie. Widocznie jej urok osobisty działał pomimo braku urody i figury.

- Pani Joanno, proszę usiąść. Mam dla pani zadanie. Pojutrze wyjeżdżam na kongres historyków i nie mam czasu, zupełnie nie mam czasu, żeby przygotować prezentację. Proszę, oto moje notatki, pozostałe materiały są u pani Żanety. Siedzicie przecież w tym samym pokoju. Więc niech się pani pospieszy. Bo ja muszę mieć tę prezentację jutro po południu najpóźniej.

Ależ oczywiście, oczywiście. Prezentacja. Proszę bardzo. Po angielsku? Po francusku? A na jaki temat? Ach tak, kultura miejska i piśmiennictwo w późnym średniowieczu. Dokument pisany.

- Przecież pani jest specjalistką, pani Joanno. Pani się na tym zna najlepiej. Ja przeczytałam pani *dossier* uważnie. I wiem, jaki ma pani potencjał. Więc proszę, do dzieła.

Oczywiście do dzieła. A jakże. Będzie to dzieło wiekopomne. Prezentacja.

- No i jak ci poszło u szefowej? - Boska uśmiechnęła się fałszywie, szczerząc swoje krzywe, żółtawe zęby.

Ciekawe, dlaczego nie nosiła aparatu? Przecież teraz wyprostować zęby można za całkiem rozsądne pieniądze. Pewnie Boska jest taką samą sknerą jak Niewiadomska. Ot co.

- Jakie znowu materiały do prezentacji? Ależ ja nie mam żadnych materiałów!

„No jasne, że nie masz materiałów. Przecież od tego jesteś, Żaneto Boska, prawą ręką szefowej, żeby nic nie wiedzieć, nie mieć żadnych materiałów i nikomu w niczym nie pomagać. Bo ten ktoś mógłby się okazać lepszy, bardziej niezawodny i użyteczny od Żanety Boskiej” - pomyślała Joanna. Zresztą Boska nie ma czasu. Musi pilnie wyjść. Sprawy do załatwienia ma. Na mieście. A jakże! Dla szefowej musi coś załatwić i dlatego teraz wychodzi i nie wie, kiedy wróci, i czy w ogóle zdaży wrócić.

Marzena Myk, która dotąd siedziała cicho w swoim kącie, ożywiła się, gdy tylko drzwi zamknęły się za Boską.

- Bo wiesz, ta nasza szefowa też by chciała poszukać sobie faceta, ale nie może, bo ma już jednego! I jeszcze kochankę ma, z którą mieszka. Bo ona jest bi i ty uważaj na nią, bo wpadłaś jej w oko. Mój mąż mówi: Jak to? Ona z tą kochanką pojechały do Amsterdamu, do tego jej Holendra?”. A ja mówię: Ja nie wiem. Kochanka jest w Polsce, a Holender w Amsterdamie”. Bo to jakaś komedia jest. Niewiadomska wszystkim się chwaliła, że wyjeżdża ze swoją kochanką do tego swojego niby-faceta,

tego Holendra. I tylko się martwiła, że jak ta chmura przyleci, to nic nie będzie latać i ona też nie polecą. Tylko to ją martwiło, ta chmura, co się nad Europą unosiła, pamiętasz przecież... W maju to było. Fakt, ona chciałaby sobie poszukać faceta, ale na tym wyjeździe to się nie dało. Bo przecież dobrze jest mieć fajnego faceta!

Ale co to znaczy fajnego? Joanna nie zna żadnego fajnego. Wszyscy jacyś tacy wybrakowani. Tylko ten wirtualny wydaje się być fajny, ale to nie facet, lecz fatamorgana. Nie można mieć pewności, że on naprawdę istnieje. Przecież zdjęcia niczego nie dowodzą. Ktoś ją może wkręcać. Jakaś kobieta na przykład.

- W każdym razie nasza Niewiadomska potrzebuje tej swojej kochanki do sprząwania, krojenia i obierania, i pewnie nie tylko do tego, a tego Holendra, żeby fundował jej różne rzeczy, i jeszcze jeden facet by jej się przydał, młody najlepiej - do seksu. Ale właśnie tego do seksu ciężko znaleźć. Mój mąż powiedział, że on widział tę kochankę Niewiadomskiej. I że jej nie cierpi, bo ta babka ma takie rozbiegane oczy ubeczki, i że jest z Niewiadomską tylko dla kasy i dla wygody. Jeździ sobie po Holandjach, Francjach, Szkocjach. Ale nie sądzę, żeby ona rozumiała cokolwiek po angielsku. Niewiadomska jej cały czas tłumaczy. No chyba, że piją razem z Holendrem, i ta ubeczka mówi: „na zdrowie”, i dzięki temu wszyscy wiedzą, kiedy przechylić kieliszek. Niewiadomska twierdzi, że jej kochanka po angielsku umie, i na dodatek, że wszystko rozumie. Tere-fere! Ona na taką nie wygląda. Wygląda na betona, taką, co to ani me, ani be! Chociaż cwana jest

cholernie. Słyszałam, jak Niewiadomska ostatnio powiedziała: Ja nie chcę, żeby ona ode mnie odeszła!".

„Dlaczego ona mi opowiada to wszystko?” - Joanna uśmiechnęła się pod nosem, sama sobie się dziwiąc, że tak cierpliwie słucha tego potoku słów płynących z ust Marzeny Myk. To musi być rytuał w tym archiwum - panie siedzą i popijają kawę, plotkując na temat szefowej. Pracy właściwie nie ma. Szefowa cały dzień rozmawia przez telefon, albo jest na spotkaniach, albo za granicą. Więc jej podwładne nie mają zbyt wiele do roboty, wystarczy, że siedzą i piją kawę.

- A jak ciebie jeszcze nie było u nas, przychodzę do pracy, a Niewiadomska mówi: „Podoba mi się facet, twój kolega”. Bo była u nas na grillu i zobaczyła takiego jednego mojego znajomego. On jest murarz, prosty chłop, ale ma własną firmę i przystojny jest. A Niewiadomska potrafi co prawda intelektualnie ująć, ale nie takiego faceta jak ten nasz znajomy. On potrzebuje jeszcze laskę „do tego”. Bo widzisz, to cała Niewiadomska jest. Po prostu szuka faceta. Do seksu. Taki błysk w oczach miała, mówię ci. Ona może i potrafi zagadać, ale nie ma seksapilu. Ona za bardzo w intelekt swój uwierzyła. Czy seks z tą kochanką się skończył? Myślę, że nie, ale jest jak w małżeństwie - raz na miesiąc. Dla dobrego samopoczucia. Ale częściej nie mają na siebie ochoty. Zresztą myślę, że ona, ta kochanka znaczy się, nigdy nie miała ochoty. Ona jest sam fałsz! A Niewiadomska przestała o siebie dbać przez nią, bo ona jest syfiarą totalną. Ta jej kochanka to chodzi w jednych spodniach dżinsowych na dupie i w katanie brudnej.

Ale Niewiadomska też przez całą zimę chodziła w jednej kurtce. No bo ona ma taką filozofię - jeżeli kurteczkę drogą wypierze w pralce, to się zniszczy. No i nie pierze. I w brudnej chodzi. A w ogóle Niewiadomska się coraz gorsza robi, bo ona ma klimę. Klimę totalną ma! Wszyscy po trzydziestym piątym roku życia mają klimę. Nie tylko kobiety, mężczyźni też klimę mają. U Niewiadomskiej to się uwidocznilo, jak zaczęła się tak zachowywać, jakby nie miała kompleksów, a ma straszne. Wszyscy mają. Wszyscy, wszyscy. No nie, ale wtedy u mnie na grillu to Niewiadomska poczuła chemię. Takiej oczy zabłyśły, mówię ci.

- Ale jeżeli Niewiadomska jest taka inteligentna, to chyba nie wierzy tej swojej kochance, co? - Joanna postanowiła przerwać barwną opowieść Marzeny Myk.

- Niewiadomska jest KOBIEȚĄ. I sama się oszukuje. Ja też w różnych sprawach sama siebie oszukuję. Ale potem patrzę w lustro i mówię sobie, jak jest. I dlaczego ona się mnie pytała, co ja sędę o tej jej kochance?! Przecież nie dlatego, że się czegoś chciała dowiedzieć, tylko pragnęła usłyszeć ode mnie coś pozytywnego na jej temat. Żeby się w tym kłamstwie dobrze poczuć. A w tym Amsterdamie to alkohol pewnie lał się strumieniami. A Holender za wszystko płacił. Jeżeli on byłby niewypłacalny, to sama wiesz. Słyszałam, jak Niewiadomska powiedziała to wprost przez telefon w rozmowie z przyjaciółką: Jeżeli skończyłyby się wycieczki, to byłby koniec naszej znajomości". Ona jest bezwzględna jak cholera. A ta jej kochanka też. Dlaczego ona z nimi jest? Z kochanką i z tym Holendrem? Ona przecież przed wszystkimi znajomymi chwali się, że

ma Holendra, który za nią biega. Holender stawia wycieczki, wszyscy wiedzą, gdzie ją wozi. Niewiadomska się nie wstydzi swojego wyrachowania. Myślisz, że oni, ci znajomi Niewiadomskiej, tak do końca ją szanują? Owszem przyjdą, za friko się napiją, jak Holender stawia. Ona bardzo instrumentalnie traktuje Holendra. Wszystkich tak traktuje. Ale przede wszystkim ona jest żadna seksu. Żebyś widziała tę jej rozanieloną twarz, jak powiedziała, że jej się mój znajomy murarz podoba! Bo kochance nie chce się nawet seksu uprawiać. Tylko chleje i na wycieczki jeździ z Niewiadomską. Nasza szefowa nauczyła się pewnej rzeczy od Wałęsy. A wiesz czego? "JA to zrobiłam, wymyśliłam! JA! JA! JA!". Normalnie Wałęsa! Mój mąż się zastanawia, na co ona zbiera? Na pogrzeb? Będzie miała królewski. Na Wawelu, jak Kaczka, tyle że trumnę będzie miała diamentową. Ciekawe, czy kochanka będzie na tym pogrzebie?

Dzień się skończył - pierwszy dzień Joanny w nowej pracy. Niezwykle zajmującej, trzeba przyznać. Od dawna nie miała okazji tak długo słuchać ludzi i tego, co mają do powiedzenia. Właściwie od dawna nikogo nie słuchała. Odzwyczaiła się od mówienia i od słuchania. Poza tym nigdy nie była specjalnie rozmowna. A ostatnio jej jedynym rozmówcą był Njujorker. Ale przecież pisanie maili trudno nazwać rozmową.

Środa, 13 października

Autobus 155. Joanna stoi w tłoku i nawet nie marzy o miejscu siedzącym. Unosi się nieznośny zapach potu

i tanich wód po goleniu, którymi namiętnie skrapiali się mężczyźni - zarówno młodzi, jak i ci nieco starsi. Czy już codziennie będzie musiała to znosić? Najpierw wdychanie tych obrzydliwych wyziewów, a potem osiem godzin spędzane w towarzystwie plotkujących koleżanek?

W pokoju numer 29 już ktoś włączył ekspres do kawy. To Żaneta Boska. Zwykle jest pierwsza w biurze, ponieważ mieszka najdalej. Pod Warszawą. Boska jest zawsze pierwsza i nigdy się nie spóźnia. Bo w przeciwieństwie do Joanny nie musi dojeżdżać do pracy autobusem. I nie musi martwić się niczym, nawet rosnącymi cenami ropy.

- A co ty, nigdy w życiu tego nie robiłaś? Przecież każda kobieta to robi, smarując ręce kremem.

- Co robi?

- Łokcie smaruje, bo nie można zapominać o łokciach!

Krem do rąk? Joanna oszczędza na tym produkcie, który co prawda niewiele kosztuje, ale jej zdaniem nie jest artykułem pierwszej potrzeby. Jej dłonie są zaczerwienione i szorstkie. A skóra na łokciach spękana.

- Bo słuchaj, do takiej sałatki musisz ugotować sobie jajeczko na twardo i dodać, albo serek pokroić i też możesz dodać, o, i jeszcze kurczaczka wędzonego najlepiej. Bo wtedy będziesz taka wypełniona.

Joanna nie pamiętała, kiedy ostatnio jadła jakąś sałatkę z kurczakiem albo z jajkiem. A o wypełnieniu żołądka, bo chyba to ma na myśli Żaneta Boska, to już lepiej nie wspominać. Brzuch Joanny był wklęsły od zawsze. Ostatnio z braku pieniędzy, a dawniej z braku czasu na tak przyziemne czynności jak robienie zakupów i gotowanie.

Zresztą jej matka też nie umiała gotować. Więc to było pewnie jakieś dziedziczne obciążenie. Ale Boska to co innego, ona pewnie cały dzień spędza przy kuchni.

- Ja? Ja tego nie robię. U mnie wszystko robi mój mąż. Ja nie jestem do tych rzeczy stworzona. Mirek mi rano przygotowuje śniadanie, te sałatki. Mirek jeździ do hipermarketu i kupuje na tydzień.

- Teraz cicho, ciicho, proszę was, bo ja mam tyle roboty! Niewiadomska sobie wymyśliła coś pilnego na jutro i teraz muszę mieć spokój.

W pokoju 29 zapanowała cisza. Joanna pochyliła się nad prezentacją dla szefowej, a Marzena Myk zapewne surfowała po Internecie. Jednak Boska nie potrafiła dłużej się skupić nad tym, co robiła, o ile oczywiście naprawdę dostała jakieś zadanie od szefowej, w co Joanna powoli zaczęła wątpić, ponieważ jej koleżanka z pokoju co chwila odrywała się od pracy, żeby opowiadać o niezwykłych osiągnięciach swego męża.

- Bo trzeba mieć taki dom jak ja. Mój mąż zaprojektował go tak, że nie trzeba śniegu odgarniać. Moi rodzice to mają FATALNIE, jak tylko spadnie trochę śniegu, to ojciec z łopata biegać musi.

- Moja Zosia, która ma tylko trzy latka, to już włada dwoma językami, może jeszcze tak dużo słów nie używa, ale dosyć biegle włada, a Julii to musiałam kupić kimono, ale moje dziecko oświeciło mnie, że nie jest to kimono, tylko dżudoka. Widzisz, nawet od dziecka można się czegoś nauczyć.

- Przestańcie, cicho bądźcie. Ja nic nie słyszę. Rozmawiam teraz przez telefon.

„Kto ma przestać?” - pomyślała z irytacją Joanna. - Ja, choć od rana usiłuję przygotować jakiś sensowny materiał dla szefowej, czy Marzena Myk, która już dawno zapomniała o bożym świecie, tak ją wciągnęła rzeczywistość internetowa?”.

- A moja mama to jest zwariowana. Ona się nie nadaje do normalnego życia. Ja u mojej mamy to nigdy w życiu nic nie zjem, chociaż ona codziennie gotuje i ma mnóstwo produktów, a tatuś poluje, więc zawsze jest dzicyzna. Moja mama bierze książkę kucharską, otwiera na obojętnie jakiej stronie i mówi: „O, co tutaj dzisiaj mamy?” i pokazuje palcem na nazwę potrawy - Kaczka z jabłkami. Nie czytając przepisu, zamyka książkę i robi po swojemu. Ona wszystko tam wrzuca, wszystko, wszystko. Dlatego to jest takie niedobre.

Zwariowana to jest matka Joanny, która słyszy głosy i jest przekonana, że jacyś okrutni prześladowcy czyhają pod jej drzwiami, żeby włamać się do mieszkania i wykraść jakieś niebywale cenne archiwalia i pamiątki. Ale Joanna nie powie tego głośno, choć jest coraz bardziej poirytowana.

- Cicho, teraz ja mówię!

„Ależ tu nikt inny poza tobą, Żaneta Boska, nawet nie śmie zabrać głosu” - pomyślała Joanna. Ona sama po prostu odzwyczaiła się od mówienia i czuje się nieswojo, gdy słyszy własny głos. Taki niski i zachrypnięty Zupełnie niepasujący do biurowej atmosfery, ploteczek oraz kolejnych porcji kawy z ekspresu i znakomitej sałatki z jajczkiem i kurczaczkiem, którą Żaneta Boska nie częstuje koleżanek.

- Znowu okazało się, że rodzice mają do dupy zbudowany dom, bo mają wysokie schody do wejścia, i jak trochę napada śniegu i zejdzie temperatura do minus, to wszystko pokrywa się lodem. A ja nie mam schodów i nie mam tego problemu. Przez te schody moja mama, szukając w nocy różańca, zrąbała się i pękły jej żebra. Jak pękły jej te żebra, to ona nikomu nic nie powiedziała, i chodziła i stękała i tatuś ją za wszarz wziął i zawiózł ją na pogotowie. Dlatego trzeba umieć projektować dom, jak mój mąż. Bo, zauważ, różnica wieku jest bardzo ważna. Spójrzmy na amerykańskich pilotów. Stary żołnierz ma mniejszy o wiele refleks. Stary już nie umie latać tak szybko jak młody. No chyba zasłużyłam już na jedzenie, prawda?

„Znowu? Znowu będziesz jeść? Kolejny pojemniczek z pysznościami do odgrzania w mikrofalach? A potem po pokoju będzie rozchodził się zapach mięsa w jarzynach” - irytowała się Joanna, zwłaszcza że jej samej żołądek znacznie przyrastać do kręgosłupa. A co do amerykańskich pilotów, to Joanna nie ma zdania. Wprawdzie od pewnego czasu otrzymuje maile od amerykańskiego konserwatora zabytków cierpiącego na bezsenność, ale to jej przecież nie upoważnia do zabierania głosu na temat amerykańskich pilotów i na temat Amerykanów w ogóle.

- Czy wiecie, że znowu szykują się podwyżki cen benzyny? - nagle odezwała się Marzena Myk.

- Mnie to nie interesuje. Ja rano wstaję i mam zawsze pełny bak!

Rozdział czwarty

SPOSOBY

Piątek, 15 października

Joanna usiadła przy komputerze i zaczęła pisać. Kolejny list do wirtualnego mężczyzny. Równie dobrze mogłaby pisać w zaświaty. Do ojca i do tych wszystkich, którzy ją na tym świecie samą zostawili. Nawet nie samą, tylko z matką-wariatką, tą kulą u nogi!

Okropnie się czuję. Jestem krańcowo zmęczona i najchętniej poddałabym się eutanazji, a potem kremacji. To pierwsze jest niestety nielegalne (pewnie myślisz, że kompletnie mi odbiło). W każdym razie mam dość, a muszę robić dobrą minę i okłamywać samą siebie, że wszystko jest w porządku. Nie wiem, jak długo tak pociągnę, i nie wiem, dlaczego Tobie o tym piszę - pewnie dlatego, że nie możesz spać, jesteś bardzo daleko i raczej nigdy się nie spotkamy - to mi dodaje śmiałości. Czasem dobrze jest wyrzyczeć swój ból. Ja nie potrafię - jestem spokojna, to taki lodowaty spokój, nawet płakać nie

potrafię. Wydaje mi się, że potrafię to z siebie „wypisać” i wtedy trochę mi lżej. Mam nadzieję, że skasujesz tego maila.

Joanna

Teraz pora spać. Jeszcze tylko wizyta w łazience (najlepiej po ciemku), a potem już tylko karaluchy pod poduchy. Trochę jej ulżyło. Może rzeczywiście ból można jakoś z siebie wypisać? Wypłakać wirtualnie, bez łez i szlochu, wirtualnemu mężczyźnie, który siedzi przy komputerze gdzieś tam po drugiej stronie Wielkiej Wody. I w dodatku nie ma gwarancji, że on naprawdę istnieje. Zaraz, zaraz, Bezsenny z Nju Jorku przysłał kolejną wiadomość. Z wykrzyknikiem, czyli że to coś pilnego.

Łąduję w Dreźnie 4-tego listopada, 7-go jestem na sympozjum - może będziesz w okolicy? W Dreźnie śpię u znajomych, załatwiłoby Ci się jakieś niekrępujące lokum - co Ty na to? Będę na sympozjum na uczelni, co oznacza, że przedpołudnia są *out of business*... Najfajniej byłoby, jakbyś wypuściła się 5-go do Drezna - byłby czas połączyć, pogadać itd. Teraz lecę na kilka dni do Detroit, też służbowo. Jak wrócę, to się odezwę w sprawie Drezna. Przemyśl moją propozycję.

Twój wiwisektor amator - Xawery

Jest połowa października. Za dwa tygodnie Njujorker będzie naprawdę blisko, prawie w jej zasięgu. Prawie. Bo przecież nie stać jej nawet na bilet kolejowy drugiej klasy

Jej miesięczna pensja - wynagrodzenie netto za długie godziny spędzone w archiwum - starczy zaledwie na opłaty i bardzo, ale to bardzo skromne życie. Żadnych szaleństw. A poza tym z pewnością nie dostałaby urlopu. Zamiast zwiedzać Drezno, będziesz Joanno siedziała w archiwum wśród zapomnianych dokumentów i ludzi. Jak zwykle nikomu niepotrzebna.

Wtorek, 19 października

Jestem z powrotem! Miły chudasie, przyjechałem właśnie ze śmierdzącego lotniska, rozpakowuję się i karmię kota. W każdym razie pospałem niekiepsko w Detroit, o czym Ci z radością donoszę. Zastanawiam się, co Ci właściwie napisać na temat niespania - czy o mechanizmach, które to powodują, czy o psychologii tegoż (jak zmieniasz się, nie śpiąc) i dawaniu sobie z tym rady - ja daję sobie z tym radę niekonwencjonalnymi sposobami, stosuję rzeczy, o jakich pewnie za dużo się nie czyta. Nie jest to dla mnie czymś życiowo inspirującym - uważam to za przypadłość, która mnie zaatakowała i której nienawidzę. Nie poświęcam jej też swojej energii, ani nie gloryfikuję. A myśli o tym, żeby odejść, wynikają ze zmęczenia czysto fizycznego - w życiu jestem raczej człowiekiem przeciętnego sukcesu, osiągniętego dość lekko. Młodość miałem dość toksyczną i samotną, wiek męski jest zmianą o sto osiemdziesiąt stopni w kontaktach z ludźmi - jest on łatwy i przynosi mi dużo korzyści. Chcesz usłyszeć więcej o sposobach walki z niespaniem?

Na tym ostatnim zdjęciu wydajesz się być niezwykle wysoka. Ile Ty masz wzrostu? Przyznam się, że mam kompleksy w stosunku do kobiet wyższych od siebie. Zawsze byłem wąły i mniejszy (teraz już nie jestem, tak a propos).

Ciao X.

Miło dostać taką wiadomość od mężczyzny, zwłaszcza jak się nie ma co na siebie włożyć, ponieważ wszystkie ubrania wiszące w szafie są stare i znoszone. Do niczego się nie nadają. Może na śmietnik. Więc niech się szanowny Njujorker nie dziwi, że dotąd jeszcze nie zaprosiła go do siebie. Jak mogłaby przyjmować w swojej obskurnej kawalerce kogoś takiego jak on - eleganckiego światowca o wyrafinowanych gustach i potrzebach? Lepiej już niech jej napisze o tych swoich sposobach. O walce z niespaniem. Bo ona ma podobne kłopoty, odkąd ją życie wyautowało.

Tak więc, mój towarzyszu nieśpiaku, sposoby są następujące, zwłaszcza dla kobiet: przykryj się, zaciemnij pokój (dobrze), myśl o czym chcesz, podciągnij do góry spodnie od piżamy, majtki, czy w czym tam sypiasz, tak aby tkanina nie rolowała ci się pod palcami. Ułóż ręce w pachwinach, by ich potem nie zmęczyć, końcami palców masuj lekko w punkcie/środku pachwiny na wysokości łona, nie niżej i nie dotykaj okolic wiadomych, ani łona (bo wtedy niepotrzebnie możesz się pobudzić), lekko uciskając. Nie myśl o tym masowaniu, ani nie ciśnij za mocno, masuj ten jeden środkowy punkt, nie suwaj

rękami. Poczujesz senność, i kiedy naprawdę zachce Ci się spać, daj dłoniom odpoczywać, prawą położy na żołądku, lewą wyżej, pod lewą piersią, bliżej środka - nie myśl o tym, co robisz. Zasypiasz. Sposób drugi dla kobiet (nie działa u mężczyzn): generalnie (z góry przepraszam, jeżeli Cię to urazi) masturbacja, czyli kochanie się ze sobą, a więc stymulujesz się tak, jak lubisz, masz orgazm lub coś obok tego, męczysz się i łatwiej zasypiasz - ale działa to niestety w dwie strony. Mały błąd lub nieudana rzecz, brak nastroju, brak Twojego wewnętrznego ustawienia hormonalnego i skutek jest odwrotny - rozdrażnienie, ból, obtarcie etc, melancholia trwająca parę dni. U mężczyzny prawie reguła.

Coś obok tego! Całe jej życie było „obok tego”. Ich korespondencja też jest „obok tego”. Czai się za nią niespełnienie dwojga ludzi szukających środka zastępczego, czegoś w zamian. Jak wyrób czekoladopodobny, który dawano jej w dzieciństwie zamiast czekolady. Była to cenna zdobycz, więc należało okazać radość i zdziwienie, że oto udało się zakupić na kartki ów wyrób i będzie go można zjeść ze smakiem, bo przecież smakował prawie jak czekolada. Joannie jednak nie smakował. Odkładała więc czekoladopodobną tabliczkę na półkę. I zapominała o niej jak najszybciej. A potem matka pracowicie zjadała tę ni-by-czekoladę o smaku zleżałego, szarego mydła, kawałek po kawałku, zamiast ciastek do kawy. Żeby nie zmarnować niczego, trzeba było dojadać stary gliniasty chleb i popijać go herbatą gruzińską, którą Stary H. przynosił w teczce

z biura. Tę gruzińską w małych paczuszkach rozdawała pracownikom personalna - pani Todzia.

Herbata przysługiwała wszystkim pracownikom, nie wyłączając Starego H., więc rodzina H. - w czasach gdy jeszcze była pełną rodziną - musiała pić herbatę gruzińską. Z oszczędności. A jak zostawały im przydzielone wczasy w ośrodku FWP nad morzem, to trzeba było tam jechać, żeby wykorzystać skierowania. Żeby uniknąć marnowania różnych cennych rzeczy, marnowano sobie smak, urodę, zdrowie i życie. Marnowano najlepsze lata i okazje. Szanse marnowano, jak tylko się nadarzały. Gdy już wszystkie te rzeczy zostały zaprzepaszczone, umarł Stary H., przedstawiciel zmarnowanego pokolenia, urodzonego nie w porę i doświadczonego ponad miarę.

A teraz, w zupełnie innej epoce, mężczyzna internetowy, zdobywca cywilizacji opartej na mikroprocesorze, produkt najwyższej klasy, namawia Joannę do uprawiania samogwałtu jako substytutu pigułki nasennej. Taką radę można oczywiście zignorować. Pogodzić się z faktem, że jej zmysłowe przeżycia prawie zawsze były, i zapewne nadal będą, czymś obok, zamiast. Jak to nieszczęsne miasto, zbudowane zamiast tamtego, które było tu kiedyś, a teraz wypełnione jest betonowymi klockami zamiast domów, i zaludnione golemami zamiast ludzi.

Szanowny korespondencie,

we mnie samogwałt, jak każdy gwałt, czyni spustoszenia podobne to tych, których Twoim zdaniem doświadczają mężczyźni podczas masturbacji. Pozostawia to niesmak

i melancholię na długie miesiące, a nawet lata. Nie wspomnę tu o urazach fizycznych, by nie popadać w nadmierny naturalizm. Dlatego samogwałtu nie uprawiam i uprawiać nie zamierzam. Jedno wiem na pewno: MĘŻCZYNA, KTÓRY NIE MOŻE SPAĆ, NIE JEST ANI SILNY, ANI SZCZĘŚLIWY! Więc nic nie może mi ofiarować.

Joanna

Nie mogła sobie darować tego emocjonalnego komentarza. Musiała odpowiedzieć od razu, na gorąco i bez zastanowienia, nie doczytawszy maila do końca, tak ją zirytował tymi dobrymi radami. Dopiero po napisaniu tego, co myśli, przeczytała dalszy ciąg wiadomości od Njorkera.

Sposób trzeci: historie ziołowe - znowu różne reakcje mężczyzn i kobiet. Waleriana - dla kobiet niewskazana, skutek może być odwrotny, zwłaszcza przy zwiększonej dawce. Stary indiański sposób przewidywał tylko intensywne wężanie (*catnip*), a nie picie alkoholowego ekstraktu, jak to się teraz robi. Działa dobrze pod warunkiem, że jest podana we właściwym momencie przed snem. Wciągaj jak kokainę (tak jak to widzisz na filmach). Sposób drugi: marihuana dobrej jakości, skręt z odrobiną alkoholu - początkowy przyływ zadowolenia, przejście w fazę snu po długim czasie, ale trzeba uważać, bo niestety uzależnia - nie od samego narkotyku, a od marihuany jako jedynej możliwości na zasypianie (patrz: uzależnienie od lewatywy w problemach gastrycznych) - unikać.

Melatonina - syntetyczny hormon wydzielany przy zmianie cyklu światła - pomagają tylko w małej dawce, powoduje czasem obudzenie się po trzech godzinach od dobrego zaśnięcia i wtedy kicha, bo w zasadzie wg organizmu jesteś już wyspana. Ale jak mawiają psychiatrzy, jest to nader osobnicze. Dopuszczalna maksymalna dawka 3 mg. U mężczyzn działa lepiej niż u kobiet. Patrząc na Twoje zdjęcie - krótki wniosek, nie wchodząc w szczegóły - unikaj wszelkich kombinacji z melisą. Przy twojej przemianie materii skutek jest odwrotny.

No i prochy, czyli coś najgorszego na świecie - barbiturany lub nasenne - nie chcę się nawet rozwodzić. Odstaw na zawsze, nawet gdybyś miała się powiesić (jeszcze nie teraz - potrzebuje Cię). Pamiętaj też, że np. aviomarin etc. to tylko inna wersja nasennych - ten sam skład.

Jest też sposób ezoteryczny - o dziwo działa, zwłaszcza u ludzi starszych. Uciążliwy: gruby drut z czystej miedzi owijasz (nie śmiej się, do cholery!) dookoła lewego nadgarstka luźno, drugi koniec do systemu uziemiającego, np. kaloryfera etc, zapominasz o tym i zasypiasz.

Sposób psychologiczny - pamiętasz miejsca, w których Ci się dobrze spało, szukasz ich, imitujesz to otoczenie, myślisz o nim. Żeby ten sposób odniósł skutek, w domu, mieszkaniu czy pokoju musisz mieć alternatywne, czyli zawsze przygotowane miejsce do przenoszenia się w ciągu nocy - chłodniejsze lub cieplejsze. Jeżeli śpisz z partnerem, przenosisz się sama i nie pozwalasz do siebie przyjść, zamykasz drzwi - dotyczy też kota i psa,

znakomici pożeracze sennej energii. Czasem następnej nocy wracasz i tak w koło Macieju - działa.

„Co ci do tego, z kim śpię? A raczej z kim spótkuję, bo przecież bynajmniej nie o spanie tu chodzi. Bardziej o sapanie i udawanie rozkoszy, zamiast której przychodzi zażenowanie i obrzydzenie” - pomyślała. Nie ma potrzeby wracać myślą do tamtych czasów, kiedy na siłę i wbrew sobie starała się żyć jak inni. Bez miłości całe to „kochanie się” nie ma sensu. To jedno wie na pewno!

Możesz w końcu być szczerą! Tych rozmów - i oczywiście obecności mężczyzny - potrzebujesz dla siebie, żeby odżyć, a przede wszystkim żeby się rozbudzić. Wstań od komputera, rozbierz się, usiądź przed lustrem i obejrzyj swoje nogi, rozchyl je i obejrzyj swoją V, rozchyl delikatnie wargi, popatrz na swoje wnętrze, tak jak mógłby patrzeć Twój mąż (kochanek). Napisz mi, co widzisz, co czujesz - zupełnie spontanicznie, nie zgrywaj się ani nie podniecaj - nie uprawiamy tu wirtualnego seksu.

Jeżeli nie umiesz nic powiedzieć, ani nawet pomyśleć na ten temat, ubierz się, idź do księgarni i kup sobie książkę Natalie Angier, *Kobieta. Geografia intymna*. Lubię rozmawiać, lubię się kochać i lubię być czyjś przyjacielem -jestem normalnym facetem (oprócz tego, że czasem chcę umrzeć - no to chyba jednak nie jestem normalny). Boże, czuję się jak Twój ojciec, no ale jest okej.

X.

I wtedy tamto wróciło. Wyraziste, zmysłowe. Sprzed wielu lat. Tamten zapach i szept zupełnie innego mężczyzny. Jego gorący oddech. Język, który rozchyłał jej wargi, delikatnie, niespiesznie, najpierw jedno, a potem drugie. I nie czuła zażenowania, wstydu...

Też była jesień, listopad chyba. Za oknem deszcz ze śniegiem, a może śnieg z deszczem. Trudno było ocenić proporcje wody i lodu, przynajmniej na pierwszy rzut oka. Leżała samotna i zziębnięta w swoim pokoju, gdy nagle rozległ się dzwonek do drzwi. Pomyślała, że to pewnie sąsiadka, ktoś zupełnie nieważny. Przewróciła się na drugi bok i wtedy w drzwiach jej pokoju stanął Ka. W śnieżno-białej koszuli. Jak zwykle. Nikt w całym Krakowie, a tym bardziej w Warszawie, nie miał koszuli w tym odcieniu bieli.

Ta biel była dziełem Marianny, pięknej, wspaniałej kobiety, którą Ka notorycznie zdradzał ze studentkami. Wybierał zawsze te najbardziej dziewczęce, eteryczne i nadwrażliwe. Studiował je przez jakiś czas, z właściwą sobie wnikliwością i uwagą, szukając czegoś, co zapewne kiedyś utracił. Gdy usilne penetracje nie przynosiły spodziewanego rezultatu, Ka wyruszał na kolejną wyprawę na Wschód, gdzie zajmował się odczytywaniem ważnych lub mniej ważnych informacji zapisanych na glinianych tabliczkach.

Potem wracał radosny, opalony na czerwono, by spędzić kilka miesięcy w domu u boku swej żony, gdzie mógł

swobodnie delectować się nieskazitelną otoczenia i ciałem tej białej kobiety, gładkim i czystym, co stanowiło miłą odmianę po wielomiesięcznym używaniu ciał smagłych i nie zawsze starannie domytych. Porzucone studentki najczęściej trafiały do psychiatry albo popadały w rozmaite nałogi, albo po prostu znikwały. Mimo to elitarne seminarium najpierw doktora, a potem docenta Ka zawsze cieszyło się popularnością, zwłaszcza wśród ambitnych dziewcząt. A władze uczelni, jak każda dobra władza, nie ingerowały zanadto w tę materię delikatną i grząską.

Na widok opalonej twarzy Ka Joanna z wrażenia aż usiadła na tapczanie. Za jego plecami stała matka, mierząc córkę swoim scenicznym spojrzeniem - jak zwykle surowym i znaczącym. Nie mogąc znieść wzroku matki i wyrazu jej twarzy, Joanna zerwała się z tapczanu, wciągnęła swojego gościa do środka i zatrzasnęła drzwi tuż przed nosem rodzicielki. Ka, udając, że niczego nie zauważył, poprosił o coś do picia.

Joanna musiała więc wstać z tapczanu, na którym rozsiadł się jej gość i pójść do kuchni, gdzie jak słusznie podejrzewała, czatowała na nią rodzicielka. Nie pomyliła się. Rzeczywiście matka siedziała przy stole i swoim zwyczajem paliła papierosa, jednego za drugim. Na widok Joanny matka rzuciła w jej kierunku wrogie spojrzenie.

- Kto to jest? - wycedziła przez zęby.
- A jak myślisz?
- Chyba twój profesor. Ten archeolog, w którym jesteś zakochana.
- Palec boży, mamusiu, po prostu palec boży!

- Nie drwij!

- A ty mi nie zadawaj niedyskretnych pytań.

Mimo napiętej atmosfery Joanna zdołała zaparzyć herbatę i przygotować kilka grzanek. Jeszcze tylko nałoży konfitury, które właśnie nadeszły w świątecznej paczce z Niemiec, na swój ulubiony spodeczek w kolorze fioletowym i będzie gotowa do wyjścia. Matka w milczeniu otworzyła drzwi do pokoju, w którym Ka zdążył już na dobre się rozgościć. Stał właśnie przy starym sekretarzyku będącym jedyną ozdobą tego nader ascetycznie urządzonego wnętrza.

Postawiła tacę na stoliku pod oknem. Dzień był mroczny. Chciała mu o sobie opowiedzieć. Ale on nie chciał tego słuchać, nie wyrażał zainteresowania tym, co mówiła. I już wiedziała, że nie był jej bratnią duszą. Nie był nią z całą pewnością. Nie będzie z nim popijać herbaty długimi popołudniami ani dzielić się myślami. Nie ma na to szans. Zamiast uważnie słuchać, rozumieć i współodczuwać, Ka spokojnie popijał kawę i chrupał grzanki z dżemem. Chyba po prostu spać mu się chciało, ponieważ ziewał raz po raz. Na jego twarzy malowało się znużenie i zniecierpliwienie.

I wtedy zdjął okulary. Okazało się, że ma zielone oczy. Widziała je po raz pierwszy. Bez okularów wyglądał znacznie poważniej, żeby nie powiedzieć wprost - starzej. Był chyba zmęczony, oczy miał podkrążone. Zamiast coś odpowiedzieć, przynajmniej tak kurtuazyjnie, z grzeczności, bezceremonialnie się do niej przysunął. Objął ją. Nie wrywała się. Może tak należało, może czasem trzeba ulec

mężczyźnie? Przynajmniej troszeczkę. Drugą ręką zaczął rozpinać jej bluzkę. Robił to z dużą wprawą. Szeptał jej coś do ucha. Już całą dłoń trzymał pod jej bluzką. Głaskał, macał, ugniatał. Sprawiało mu to wyraźną przyjemność. Jej też, niestety.

- Usiądź mi na kolanach, będzie nam wygodniej. Ale nie tak, tylko twarzą do mnie. No dobrze, jak wolisz. Ale odwrotnie byłoby lepiej. Obojgu nam byłoby lepiej. Teraz dobrze, właśnie tak. No nie trzęś się jak galareta. Nic złego się nie dzieje. Jest dobrze. Bardzo dobrze.

Siedziała twarzą do niego, patrzyła mu prosto w oczy, mrużył je z zadowoleniem, jak kot. Cały czas się do niej uśmiechał. Ten uśmiech był zniewalający.

- Ale ty jesteś wstydliva. Tylko nie płacz.

Obie dłonie trzymał pod jej bluzką.

- Daj, rozepnę tę bluzkę do końca... Muszę trochę na ciebie popatrzeć. Śliczna jesteś, tylko strasznie chuda. Musimy coś z tym zrobić. Nie martw się, coś na to poradzimy.

Pewnie, że poradzimy. Wystarczy, że księżę pocałuje w usta, albo w inne bolesne miejsce, i zły czar pryśnie. Kawałek zatrutego jabłka sam wypadnie z gardła i dziewczyna się obudzi. Nie ma to jak mądrość ludowa! Baśnie, legendy. W nich tkwi prawda, cała prawda dostępna ludziom.

- W takim razie trzeba będzie pocałować wszędzie tam, gdzie boli.

Wszystko co potem z nią robił, powinno wydawać jej się obrzydliwe. Ale się nie wydawało. Wręcz przeciwnie. Ani obrzydliwe, ani upokarzające. Przecież popołudniami

niekoniecznie trzeba popijać herbatę i dzielić się spostrzeżeniami. Zamiast tego można robić inne rzeczy. Relaks dla duszy i ciała jest nieodzowny dla zachowania równowagi psychicznej.

To mogło być bardzo miłe, a w dodatku owocne popołudnie, niestety matka nie zamierzała pozostawić spraw ich własnemu biegowi. Niepokoiła ją cisza, jaka od dłuższego czasu panowała w pokoju jej córki. Co oni tam robią? Tak nie może być, nie pod jej dachem, nie w jej domu! Przyjeżdża taki nie wiadomo kto, nie wiadomo skąd, ale od razu wiadomo, czego chce. Zamiast się oświadczyć, zamiast z matką porozmawiać, poważnie porozmawiać... Dać na zapowiedzi, poprowadzić do ołtarza. Chociażby kwiaty przynieść i złoty pierścionek z brylantem... Taki paskudny podstarzały rudzielec, pewnie żonaty i dzieciaty, a w najlepszym wypadku rozwodnik, pozbawiał właśnie niewinności jej córkę. Jedyne dziecko. Jej małą Joasię.

Jeszcze uda się zapobiec najgorszemu! Trzeba coś przedsięwziąć, jakieś działanie. Nie będzie przecież tak stała pod drzwiami i nasłuchiwała, co się w środku dzieje, czy są przed, po, czy w trakcie. Najlepszym rozwiązaniem będzie wtargnięcie z zupą pomidorową. Wspaniałą, przepyszną zupą pomidorową, którą matka właśnie ugotowała dla swojej córki, choć ta miała w zwyczaju nic nie jeść. Zamiast jeść, wylewała zupy do klozetu, a kotlety wyrzucała do kosza, żeby nie jeść, żeby zniknąć. Jednak matka, wiedzona nieomylną rodzicielską intuicją, wiedziała, co robi, gotując tę pomidorową! Teraz tylko nalać do talerzy i już można załomotać w te zamknięte drzwi.

- Otwieraj, zupa pomidorowa. Trzymam gorący talerz, zaraz go upuszczę, jak mi nie otworzysz! No otwieraj wreszcie!

- Nie chcę żadnej pomidorowej, idź stąd!

- Nie odejdę, dopóki mi nie otworzysz! W tej chwili otwieraj te przeklęte drzwi, bo zawołam dozorcę, żeby je wyważył!

W tym momencie Joanna usłyszała trzask tłuczonego talerza, a potem zupa pomidorowa zaczęła wdzierać się do jej pokoju. Koniec, koniec, koniec. Koniec wszystkiego.

- Jak ona mogła, no powiedz sam, jak mogła mi to zrobić?! Tak mnie potraktować. Mam już dosyć tego życia, dosyć. Rozumiesz? Już mnie nie głaszcz, nie przytulaj. Nie chcę. Niczego od nikogo nie chcę!

Rozdział piąty

CYNGIEL

Sobota, 23 października

Zawsze o marzeniach piszę w czasie przeszłym. Nie wiem dlaczego. Marzyłem np. żeby mieć córkę (na razie się nie spełniło, nie mam dzieci, o ile wiem) - trochę tak traktuję wszystkie kobiety. Marzyłem, żeby pracować w ogromnych kościołach (się spełniło), marzyłem, żeby mieć w swoim ogrodzie białą kozę (nie wolno), marzyłem o przyjacielu na wieki (raczej nie mam), o przyjaciółce i kochance na długie lata (mam krótkotrwałe). Marzę o tym, by nigdy nie być starym mężczyzną - kiedy to nadejdzie, strzelę sobie w głowę. Aha i jeszcze dobrze spać, spać, spać... I to by było na tyle...

Całuję, Xawery.

„Strzelę sobie w głowę"! No jasne, Njujorkerze, tak najłatwiej. Czysto, higienicznie (no może nie do końca), ale przynajmniej skutecznie (w większości przypadków) i z fasonem (ułańskim). Zawsze lepiej być trupem mężczyzny

w sile wieku, z przestrzeloną po hemingwayowsku czaszką, niż starym mężczyzną, który już nic nie może. Więc strzelaj. Joanna pomyślała, że może w takim razie ona też sobie strzeli. Na poprawę humoru.

Dzisiaj nic groźnego się nie wydarzy, ale jak przyjdzie czas, ułoży te swoje różowe pastylki w szeregu, żeby ją poprowadziły w ostatnią podróż. Kiedyś mu o tym opowie, ale nie dziś. Nie jest w nastroju. Njujorker przestrzelił sobie czaszkę, a ona rozprawi się ze sobą za pomocą pigułek szczęścia. Na sposób kobiecy. Przyjadą potem z noszami, zakryją jej głowę prześcieradłem. Karetka odjedzie po cichu, bez pośpiechu, niemal niezauważona. W każdym razie obejdzie się bez rozlewu krwi i materii szarej, myślącej. Warto ją oszczędzić, prawda? Dla przyszłych pokoleń, które po niej nie nastąpią, bo się do tego nie przyczyniła.

Njujorker też się nie przyczynił, w każdym razie nic mu na ten temat nie wiadomo. Musi się lepiej postarać. Latka lecą, siwych włosów przybywa tu i tam. Pewnego dnia obudzi się, podejdzie do lustra i zobaczy w nim twarz starego mężczyzny. Obłeśnego dziada, którego żadna kobieta już nie zechce. Nawet ona. „Fajna perspektywa, co?” - pomyślała Joanna, uśmiechając się ironicznie.

Joanna w lustro nie patrzy, więc nie ma tego problemu. Zasłoniła secesyjne tremo ciotki Bronki starą kapą, a to łazienkowe po prostu zbiła (siedem lat nieszczęścia). Ale za to jest wolna. Nie patrzy na siebie. Nawet nie wie, jak wygląda. Czy to jest takie ważne? Przecież i tak zaraz jej nie będzie. A teraz to niby jest? Ktoś ją dostrzeże? Nikt. Bo ci wszyscy ludzie dookoła się nie liczą. Hołota.

Ojciec ziemię gryzie, matka oszalała. Nie ma na świecie nikogo. On też jesteś nikim. Tak na dobrą sprawę wcale go nie ma. Dlatego znakomicie się nadaje do wynurzeń. Można się tak wynurzać, a potem chować jak łódź podwodna. Peryskop w górę, peryskop w dół. Można też odpłynąć, kiedy przestanie się jej podobać.

Czy mu ufa? Nie ufa nikomu. A zwłaszcza internetowym intruzom, którzy nie mogą spać w nocy (tak jak ona) i myśli samobójcze mają (znowu tak jak ona), i najwyraźniej bardzo są samotni przez wszystkie te bezsenne noce i nikomu niepotrzebne dni (też o niej mowa, jak najbardziej). Kościoły, powiada Njujorker, wielkie katedry, te francuskie. No może jeszcze hiszpańskie. Bo włoskie to zupełnie inny styl. Wpływy Bizancjum. Też wspaniałe, ale nie ma tej surowości.

Pracować w wielkich kościołach. *Ad maiorem dei gloriam*. Żeby ślad po sobie pozostawić. Piękny, szlachetny ślad. Coś trwałego. Zegar astronomiczny wyłocić. Żeby oko cieszył. Albo freski gotyckie spod protestanckiej po białości wydobyć. Nagiego Chrystusa ludziom pokazać. Tym, co się modlą i do spowiedzi chodzą. I niewiernym też. Zatwardziałym feministkom. Czułym na piękno, wrażliwym kobietom. I pewnej samotnej mediewistce, która w nic nie wierzy. Może też powinna wsiąść w pociąg, pojechać do Gdańska albo do Elbląga, gdzie są gotyckie kościoły z czerwonej cegły, w których on kiedyś pracował, i poczuć ten ból w dłoniach od dłuta trzymanego przez wiele tygodni. Popatrzeć w górę i wyobrazić sobie, jak czuje się człowiek wiszący na szelkach, na wietrze, trzydzieści

metrów nad ziemią, albo i więcej. Nieziemska radocha!
Radość bycia młodym i silnym.

Więc jak on już stanie przed tym lustrem i zerknie, i zobaczy, że to już nie jest on, Njujorker, tylko jakiś starzec, wtedy pójdzie do sklepu kupić pistolet (a może już go ma i w ten sposób oszczędzi czas i pieniądze, chociaż te ostatnie na wiele się nie przydadzą), potem jeszcze będzie musiał załadować i pociągnąć za spust (z pewnością nie będzie to łatwe pociągnięcie). Jeśli stchórzy za pierwszym razem, odłoży pistolet do szuflady i pójdzie czegoś się napić - wódki albo jakiegoś koniaku paskudnego - i nie będzie wiedział, co dalej ze sobą począć, bo przecież nie położy się do łóżka, no chyba że z kobietą, żeby odreagować, ale jeśli żadnej nie będzie pod ręką, może zawsze włączyć komputer i napisać do niej.

Njujorker lubi bawić się ludźmi, więc będzie mógł pobawić się nią. Ten ostatni raz. Jeśli będzie akurat po drugiej stronie oceanu - a może raczej po drugiej stronie lustra, które im obojgu nie daje spokoju - wtedy będą mogli porozmawiać, patrząc sobie w oczy. O twarzach, które starzeją się i rozpadają nie wiadomo po co. Albo o pogodzie. Najlepiej będzie o pogodzie pogadać, lepiej niż o życiu i nadciągającej starości.

Jeśli jednak on nie będzie w stanie wymieniać uwag na temat pogody, spróbują porozmawiać o czymś, co ich oboje naprawdę zajmuje. O tym mianowicie, jak pociągnąć za spust (lepiej używać słowa cyngiel, może wtedy się uda). Joanna opowie mu długą historię o uniwersalnych pastylkach, które trzyma na wszelki wypadek w sekretarzyku.

Niepokoi się, że z czasem utracą swoją moc. Więc musi się spieszyć. Żeby zdążyć. Mogą też urządzić zawody: kto pierwszy na mecie, zgarnia całą pulę. Czego? Potępienia. Na wieki wieków amen.

Niedziela, 24 października

Huczy mi znowu w głowie od niespania, do tego Twój mail z wtrętami o rychłym umieraniu, Twoim zresztą. Czy jesteś nieuleczalnie chora? Czy masz myśli samobójcze, że tak piszesz? Nie chcesz normalnie na ten temat porozmawiać z internetowym intruzem? Też szkoda, że ciągle się upierasz przy tym, że nie masz do mnie zaufania. Nasza korespondencja urwie się teraz na krótko - znajomi odstępują mi tygodniowy turnus w - jak to my tu nazywamy - *Konzentrationslager Varadero*. Wyrzygać się można na ten turystyczny grajdoł, ale za darmo skorzystam, może to mi pomoże - biorę od jutra urlop i lecę pojutrze rano przez Toronto. Muszę się bronić wszelkimi sposobami przed braniem prochów i wyjazd jest jednym z nich.

W Polsce właściwie jest takie miejsce, gdzie się super śpi - podziemia kredowe w Chełmie lubelskim - załatwiasz z cieciami pozostanie na noc, mówisz, że jesteś filmowcem ze Stanów i szukasz lokalizacji. Dwie stowy, ale warto.

Opowieść konserwatorską dostaniesz z samolotu pojutrze, potem różnie z Internetem bywa (*communist Cuba*), generalnie cudzoziemcy nie mają kłopotu - jest tylko

kwestia dostępu, bo nie używam laptopa na urlopach. Na szczęście polski paszport mam ważny. Stanąłem rano przed lustrem i postanowiłem, że zostanę w miarę młody na zawsze. W samolocie będę spał - ciężko będzie wsiąść. NASZA KORESPONDENCJA SIĘ NIE KOŃCZY, Jesteś ładną, wrażliwą kobietą - nikt się tobą nie bawi! Chcę się z tobą zobaczyć.

Całuję - Xawery

Rozdział szósty

SINGIELKA

Poniedziałek, 25 października

- Matkę koniecznie trzeba umieścić na jakiś czas w szpitalu. Nie udawaj, że o tym nie myślałaś. Musisz z nią porozmawiać, przekonać ją. Jeśli tego nie zrobisz, może stać się najgorsze. Któregoś dnia ten blok przy Anielewicza wyleci w powietrze. Rano albo wieczorem. W południe też może się to zdarzyć. I to będzie twoja wina, Joanno, tylko twoja. Matka włączy gaz, płomień zgaśnie, bo palniki już dawno zostały zalane wykipiałym mlekiem. I stanie się. Jeśli nie wybuch gazu, to pożar. Matka-wariatka wznieci ogień papierosem „Mocnym”, kupionym w kiosku przy Jana Pawła, dawniej Marchlewskiego. Ona jest jak bomba zegarowa, która cały czas tyka złowrogo i nie wiadomo, kiedy wybuchnie, siejąc zniszczenie i zgorzenie.

Monika z pewnością wie, co mówi. Właściwie to Szwagierka Monika, bo tak ją zawsze w myślach nazywała Joanna, choć tak naprawdę była to powinowata jej matki. Monika jest świadoma zagrożeń i pojąć nie może, dlaczego

Joanna nie wkroczyła jeszcze do akcji, dlatego nie podjęła żadnych działań. Ta dziewczyna cały czas chowa głowę w piasek, zupełnie jak jej ojciec! A przecież nie da się całe życie uciekać przed odpowiedzialnością. Powinnością kobiety jest brać odpowiedzialność na siebie. Za dzieci z porażeniem mózgowym, za męża pijaka, łajdaka i nieudacznika, za zniedołężniałego ojca i za teścia w ostatnim stadium Alzheimerera. A tym bardziej za matkę-wariatkę, bo matka jest najważniejsza, jak Maryja, Matka Kościoła. Nawet dla kogoś takiego jak Joanna, co się na Pana Boga obraziła i do kościoła nie chodzi.

Że co? Że taka rola jaśnie panience nie odpowiada?! A co to kogo obchodzi! Kobieta od tego jest, by służyć innym. Wsparcia udzielać, opiekować się. Tego wymaga od niej rodzina, naród polski i Matka Kościół. Co z tego, że ojciec Joanny był wątpiacy, a właściwie niewierzący. Trzeba słuchać, co podpowiada zza grobu Ojciec Święty, już wkrótce Santo Subito. Wszak to on niestrudzenie przypomina wszystkim zabłąkanym owieczkom o ich prawdziwym powołaniu. O powołaniu kobiety i o jej godności.

I to właśnie Kościół - ustami Szwagierki Moniki - wzywa Joannę do opamiętania się. Polska kobieta nie może lekceważyć swoich najświętszych obowiązków. Więc Joanna powinna zabrać matkę do siebie, albo jeszcze lepiej - przeprowadzić się do matki. Właśnie tak, zamieszkać w matki mieszkaniu. Odszorować je i upiększyć. Gotować dla matki obiady, zmywać, prac, prasować. Robić zakupy w „Kwirynie” albo w tym bezimiennym sklepie

naprzeciwko matki bloku. Przynosić ciężkie siaty z owocami i z warzywami. I przynajmniej raz w tygodniu ciasto upiec, żeby po mieszkaniu, a także po klatce schodowej rozchodził się piękny zapach domowego wypieku. Jeśli Joanna nie potrafi upiec ciasta, bo nie nauczyła się tego od matki, to zawsze może wziąć kilka lekcji u Moniki, która wie wszystko na temat technik pieczenia domowego ciasta i bardzo chętnie się swoją wiedzą i doświadczeniem podzieli.

Nic dziwnego, że Joanna jest starą panną. Nie żadną tam singielką, srelką, duperelką, tylko starym bezdzietnym panniskiem, co nie umie ugotować domowego rosółu ani zrobić schabowych obtoczonych w bułce i w jajku, ani żurku staropolskiego z białą kiełbasą i skwareczkami. W ogóle nic nie wie o życiu i nic nie potrafi. Pasożytuje tylko na innych, zupełnie jak jej ojciec. I nie chodzi do kościoła. Bo to się wszystko z niechodzenia do kościoła bierze. I z nieprzystępowania do spowiedzi i do komunii świętej i nieprzyjmowania księdza po kolędzie. Co z tego, że się ochrzczonym nawet nie jest. Jak można drzwi przed księdzem zatrząskiwać? Jak można nie wyznawać grzechów swoich przed kapłanem w każdy pierwszy piątek miesiąca? Nie spowiadać się z nieczystych myśli i nieprzyzwoitych czynów? Z tego, że się prezerwatywy używa na co dzień, i że się je mięso od święta, w Wielki Piątek na przykład.

Po śmierci Subito Santo Szwagierka Monika przeszła tak wielkie nawrócenie, że się nawet ze spirali domacicznej wyspowiadała. Prawdę księdzu powiedziała, że głupia

była i nie wiedziała, jak to działa, i dlatego pozwoliła tę spiralę sobie do macicy włożyć chciwemu, bezbożnemu ginekologowi. Z głupoty i z niewiedzy, a nie dlatego, żeby nie mieć więcej dzieci. Cała ta historia ze spiralą to jeszcze za komuny wydarzyła się. I prawdę mówiąc to komuna wszystkiemu winna była i lekarze, którzy wkładali nieświadomym Matkom Polkom te spirale do macic. Ale jak tylko Monika się dowiedziała, jak wielkim złem jest ta spirala śmierci tkwiąca w jej trzewiach, kazała ją sobie natychmiast wyjąć. I wkrótce potem zaszła.

I urodziła drugiego syna, już w wolnej Polsce, ku chwale Ojczyzny i Ojcu Świętemu na pociechę. Dali mu na chrzcie Karol Józef, żeby nie było wątpliwości, komu życie zawdzięcza. Jeśli on teraz pójdzie na księdza, to się Monika nawet ze skrobanki wypowiada. Powie na spowiedzi świętej nawet o tym, co się zdarzyło przed wielu laty. W czasie wakacji, jak zdała do dziewiątej klasy, pojechała na obóz harcerski i po powrocie wyszło na jaw, że jest w trzecim miesiącu ciąży, i w dodatku nie pamiętała, kto jej tego dzieciaka zmajstrował, czy któryś z harcerzy, czy może sam komendant obozu, taki przystojny brunet. Nic nie pamiętała, bo zamroczyli ją alkoholem. A potem trzeba było się spieszyć, bo to był koniec trzeciego miesiąca, a może nawet początek czwartego. Rodzona matka ją na zabieg zaprowadziła i bardzo bolało. A krew się z niej lała jak ze świni, bez najmniejszego opamiętania. Kobieta musi w życiu wiele wycierpieć! Więc nie wszystko da się księdzu na spowiedzi opowiedzieć. Przynajmniej nie od razu.

Ale żeby tak wcale do kościoła nie chodzić, jak Joanna, i jeszcze na dodatek własną matką nie chcieć się opiekować, to już musi być grzech ciężki. Najcięższy. Takiego grzechu nie da się zmazać w żaden sposób. I niczym usprawiedliwić. Jak córka może własnej matki nie kochać i nie szanować i zostawić w potrzebie? Jeśli Joanna nic nie zrobi, Monika zacznie działać na własną rękę. Matka pójdzie do szpitala, a Joanna do piekła. Jak wszyscy, co w Pana Jezusa i w Matkę Boską nie wierzą. Wszyscy ci niewierzący single i singielki, wyznawcy Adama Michnika i „Wysokich Obcasów”, będą się smażyć w piekle i tam dopiero gorzko swoich win pożałują. Ale wtedy będzie już za późno.

Za to Monika ma jeszcze czas, żeby się z tej aborcji wypowiedzieć. A potem czeka ją w najgorszym wypadku czyściec, może nawet niezbyt długi. A z czyścica, jak wiadomo, droga do nieba pewna. Joanna powinna się nad tym, co jej szwagierka Monika mówi, głęboko zastanowić i zmienić swoje życie, wyprostować ścieżki swoje i podążyć tą jedyną właściwą, wskazaną przez Subito Santo.

Monika właśnie z Rzymu wróciła. Z pielgrzymki kobiet, którą zorganizował ksiądz wikary. Młody i przystojny. Ksiądz Maciej. Wszystkie pielgrzymkowiczki do niego wzdychały i modliły się żarliwie u grobu Papieża, żeby wyjednał dla nich grzechów odpuszczenie, a ich przywędłym ciałom zmartwychpowstanie, w glorii młodości i czystości. Amen.

Joanna, wbrew oczekiwaniom nawróconej po raz nie wiadomo której Moniki, nie zamierzała w swoim życiu ani niczego zmieniać, ani prostować. A już z całą pewnością nie myślała o tym, by poświęcać się dla matki. Wszak to właśnie matka niemal zaraz po urodzeniu Joanny oddała ją do żłobka, potem do przedszkola, a następnie powierzyła wychowanie swej jedynej córki szkolnej świetlicy.

Joanna zawsze była pod opieką obcych - w żłobku, w przedszkolu, w świetlicy, na koloniach lub przynajmniej na półkoloniach, w pałacu młodzieży, na obozach sportowych. Tam jadła posiłki, uczyła się, dorastała. Problem pojawiał się w soboty i w niedziele, które jej rówieśnicy spędzali nad talerzem domowego rosołu lub wdychając zapach drożdżowego ciasta. Joanna w najlepszym wypadku gotowała sobie pyzy mrożone z torebki albo zadowalała się suchym zleżałym chlebem. Lodówka w mieszkaniu matki przeważnie była pusta. Mieszkanie też było puste i zimne.

Gdy pojawiała się matka, pustą przestrzeń wypełniał wrzask. Dziki klangor. Jazgot. Krzyk. Towarzyszyły mu groteskowe miny i emocje. Gryzący dym najtańszych papierosów, wypalanych jeden po drugim, raz za razem. Popiół spadający na podłogę. Okruchy chleba. Stosy niepozmywanych filiżanek w zlewie. Stosy ubrań walające się po fotelach i krzesłach. Monologi, fragmenty nigdy niezagranych ról teatralnych. Podarte rajstopy, zaschnięty tusz do rzęs, skamieniały puder. Skamieniała twarz, maska.

Zasmarkana ryżawa dziewczynka, całkiem podobna do swojego ojca, nie mogła nie działać matce na nerwy.

- Nie garb się, wypnij pierś do przodu. O tak jak ja. Masz ładne piersi, po mnie masz takie ładne, a chowasz je.

A na studiach Joanna głodem przymierała. Nigdy żadnego dobrego słowa nie usłyszała od swojej matki. Do dziś śni jej się po nocach ten wrzask i obłąd w oczach. Całe jej życie było ucieczką od tego obrazu. Uciekała jak najdalej, w mroki średniowiecza, w czeluści akademików, a nawet w objęcia miłości niemożliwej. Żeby zapomnieć, żeby mieć nadzieję, że przeszłość nie wróci, że koszmar minął bezpowrotnie, że już nigdy do matki nie wróci, że nie będzie musiała...

Jednak zły los nie dał za wygraną. Wbrew swojej woli musiała wrócić do Warszawy i zamieszkać na osiedlu Za Żelazną Bramą. Nie miała już dokąd uciec. Była pod ręką. Matka za sprawą swojego szaleństwa w każdej chwili mogła ją pozbawić resztek wolności. Rozmowy z wirtualnym mężczyzną były ostatnią jej ucieczką. Przez ekran komputera wchodziła w świat cierpiącego na bezsenność samotnego mężczyzny, który stał się dla niej guru w sprawach wirtualnego seksu, choć przecież nigdy go nie uprawiała i - mimo licznych sugestii swego korespondenta - nie zamierzała praktykować. Podobnie jak pozostałych, nieco mniej wyrafinowanych technik samozaspokajania mieszczących się, rzec by można, obok głównego nurtu.

Rozdział siódmy

TWARZE W LUSTRZE MARYSI WICHURY

Co się stało z jej twarzą? To choroba jakaś. Otruli ją, czy co? Jasne. To oni ją otruli. Oni, oni. I dlatego teraz jej twarz jest tym pokryta. No właśnie, czym? Trudno powiedzieć, nie da się nazwać tego. W żaden sposób. Na twarzy coś wyrasta. A właściwie pod twarzą. Coś straszego. Czerwonego. I trzeba to codziennie usuwać. Starannie i dokładnie, żeby nie odrosło. Ale odrasta i tak. Chociaż matka się stara. Nie daje za wygraną. Szkoda, że stłukła wszystkie lusterka, jakie były w domu. To duże, co wisiało w przedpokoju też. Tylko rama została. Lustro Marysi Wichury. A właściwie Wichurzanki.

Marysia kupiła to lustro wraz z toaletką zaraz po wojnie, jak tylko wróciły na Pańską. Pewnie z szabru jakiegoś było. Więc może dobrze, że zostało zbite. A zbite zostało niedawno. Całkiem niedawno. Bo w tym lustrze wyszabrowanym twarze się ukazywały. Żyjących i umarłych. Pewnej rozczochranej kobiety w sukience w kwiaty. I dziewczynki w podartych pończochach i w za krótkiej kiecuszce, spod której majtki wystawały. Takie poszarzałe,

niedoprane. I wiele jeszcze innych twarzy można było dostrzec w tym lustrze, zanim zostało zbite.

Ale po zбиiciu lustra już się żadne twarze nie ukazują. Jak ręką odjął. Bo to ręka boska prowadziła matki rękę. I wypełniło się dzieło zniszczenia lustra Marysi, która przed wojną używała nazwiska Wichurzanka, a po wojnie Wichura. Żeby było krócej i bardziej po proletariacku.

Marysia nie wyszła za mąż, ale miewała kochanków i wychowywała dziecko. I chociaż dziecko nie było jej, tylko cudze, wszyscy uważali Marysię za pannę z dzieckiem, która w dodatku źle się prowadzi.

Dziewczynka, którą Marysia wzięła na wychowanie, przez wiele lat szukała grobu swojej matki, ale go nie znalazła. Bo tego grobu nie było. Ale na szczęście zostało jej po matce zdjęcie oraz indeks. Na zdjęciu matka dziewczynki miała na głowie studencką czapkę i drucianie okulary i prawie nie było widać jej twarzy. Ale dziewczynka potrafiła wpatrywać się w to zdjęcie całymi godzinami. Więc Marysia zamykała zdjęcie w kredensie. Na klucz.

Kredens też był kupiony po wojnie i pewnie pochodził z szabru, jak wszystkie meble, które pojawiły się w domu Marysi w tamtych czasach. Nic dziwnego, że chciała jakoś urządzić swoje skromne jednopokojowe mieszkanie. A w kredensie zwykle była nalewka domowej roboty, którą Marysia wyciągała, gdy odwiedzał ją pan Marian, a potem pan Stefan. Gdy Marysia miała gości, dziewczynka musiała wychodzić na podwórko. „Idź pobaw się z dziećmi, bo mam gości. Sama rozumiesz. Musisz iść. No idźże wreszcie”.

Pan Stefan nic sobie nie robił z obecności dziecka. Najpierw zjadał odsmażaną kaszanekę albo pochłaniał wielkimi kęsami bułkę posmarowaną pasztetową, zależy co było w spizarce. Bezceremonialnie zdejmował marynarkę, a potem spodnie i zostawał w samych tylko slipach, a zimą w kalesonach i wołał Marysię. „Marysiu ja czekam. Pośpiesz się, Marysiu. Przecież wiesz”.

Marysia miała wielką słabość do pana Stefana i zawsze się do niego spieszyła. Mógł do niej przychodzić, kiedy tylko chciał i zawsze dostawał to, po co przychodził. Kaszanekę, a nawet kiełbasę z czosnkiem albo przepierkę. Zawsze czegoś od Marysi potrzebował. Przeważnie był w nagłej potrzebie. Bywało, że przychodził tylko porozmawiać.

Czasem jednak zjawiał się w nocy i wtedy Marysia robiła posłanie dla małej w kuchni. I szeptała do niego: „Tylko po cichutku, Stefanku, po cichutku”. Ale pan Stefan po cichutku nie umiał. I nie chciał. Więc mała zatykała uszy watą, a potem woskiem. I rosła w niej nienawiść do pana Stefana, do jego poszarzałych z niedoprania kalesonów i slipów. A także do podkoszulków, które Marysia prała w miednicy. Z wielkim upodobaniem. Ale najpierw zanurzała w nich twarz i napawała się ich zapachem.

- Dlaczego tak robisz? - pytała dziewczynka.

- Jak dorośniesz, to zrozumiesz - odpowiadała Marysia. Ale dziewczynka nie zrozumiała nigdy, jak można było napawać się zapachem przepoconej bielizny pana Stefana.

Ale najgorzej było na podwórku, gdzie były same biedne dzieci. Rozwrzeszczane i zasmarkane. Nie pasowała do nich wyrosnięta dziewczynka, która zawsze miała we

włosach kokardy. Białe, granatowe albo czarne. Właśnie te czarne najbardziej lubiła. Więc zamiast chodzić na podwórko, spędzała czas na strychu, gdzie była stara żeliwna balia. Dziurawa i zardzewiała. Dziewczynka próbowała chować się pod tą balią, ale miała za długie nogi. Nie mieściły się. Ona tak, a nogi nie. Niestety pan Stefan ciągle przychodził i coraz częściej zostawał na noc.

A Marysia bardzo się cieszyła, chociaż czasami płakała. I zwierzała się dozorczyńni Grzegorzowej. Tej spod jedynki. Bo się znały jeszcze sprzed okupacji. Marysia lubiła Grzegorzową i do niej chodziła na zwierzenia. Właśnie Grzegorzowej powiedziała, że tym razem to już nie pozbędzie się. Chociaż Stefan prosi. Prosi, bo żona przecież nie da mu rozwodu. Ale Marysia ma już swoje lata i w lustrze widzi, że się starzeje. Więc tym razem to już dzieciaka nie zmarnuje. Jak będzie chłopak, to mu Stefan da na imię. Po ojcu.

Marysia często przeglądała się w lustrze. I wciągała brzuch. A jak już się wciągnąć nie dawało, sznurowała gorset. Żeby nie było widać. Jak najdłużej. Do samego końca. A smutna dziewczynka w przykrótkiej sukience musiała pomagać w tym sznurowaniu. Sznurówki, pętelki. I raz i dwa i trzy. Sznurowały, aż pot im spływał, ale pan Stefan i tak szybko się zorientował. I przestał przychodzić. Zostały po nim stare kalesony. Nic więcej. A że ksiądz wikary się pomylił, syn Marysi dostał na chrzcie Szczepan. I tak już zostało. Szczepan Wichura. I potem na podwórku wołano za nim:

- Co robisz? Szczę, panie.

Dzieciaki nie dawały małemu Wichurze spokoju. A on, jako że zawsze był mniejszy i szczuplejszy, nie umiał się odgryźć. I w kość dostawał na podwórku i w szkole. A potem w wojsku. Ale się nie skarżył, nie mazgał. Do roboty szybko poszedł i matce pomagał, jak tylko mógł.

Te czerwone plamy na twarzy ciągle wychodzą. I nie ma znaczenia, że lustro zostało zbite. I nie widać, jak Marysia wciąga brzuch. A w brzuchu Szczepan się kurczy i już wie, że tak właśnie chce mieć na imię. Szczepan, a nie Stefan. Kurczy się i nigdy porządnie nie wyrośnie. Nie dorówna chłopakom z podwórka.

Nie obroni przed nimi swojej siostry-niesiostry. Będzie patrzył jak ją ciągną do piwnicy i zatykał uszy, żeby nie słyszeć, jak ona drze się wniebogłosey. A z nieba nawet kropla deszczu wtedy nie spadła. I nikt niczego nie słyszał ani nie widział. Nikt nie widział, jak oni wybiegali z tej piwnicy. Jeden za drugim. Ilu ich było? Szczepan nie liczył, bo jeszcze nie umiał liczyć. Czekał. Czekał, aż ona wyjdzie, albo i nie. Czekał długo i cierpliwie.

I wreszcie wyszła. Na szyi miała zawiązaną czarną kordę, a włosy rozpuszczone. Nogi podrapane, całe we krwi. Ale tak naprawdę to krew jej leciała stamtąd. Kap, kap, kap. Szczepan odwrócił głowę. I nigdy o tym nie rozmawiali. Zresztą nie mieli okazji, bo ona potem już tylko u Sióstr Nazaretanek mieszkała, a na Pańską bardzo rzadko przychodziła. Właściwie nigdy. I nie przeglądała się w lustrze. Bo u zakonnic to chyba żadnego lustra nie było. W każdym razie ona nie pamięta żadnego. Nie patrzyła na swoją twarz. A włosy obcinała krótko. I nie mogła spać

w nocy i wciąż obgryzała paznokcie. Szczepan też obgryzał. W domu i w szkole, i w wojsku. Cały czas obgryzał. Do krwi.

Dopiero Monika oduczyła go tego obgryzania. Mówiła, że to obrzydliwe, nieeleganckie. Że oni jacyś tacy pokręcenii są. Przecież jak ktoś w teatrze występuje oraz w filmie, jak ta jego siostra, to nie powinien mieć obgryzionych paznokci. Obgryzać paznokci nie wypada nawet technikowi, który pracuje w zakładach telewizyjnych imienia Kasprzaka na Woli, jak Szczepan. Nawet komuś tak zwyczajnemu jak on nie wolno obgryzać paznokci ani palić papierosów. Bo papierosy za dużo kosztują i wszystko potem śmierdzi. Włosy i firanki. No i ubrania ciągle trzeba prać. A poza tym to może dziecku zaszkodzić. Nienormalne może być jak siostra Szczepana, co sama do siebie mówi. Niby, że nowej roli się uczy, tekst powtarza. Artystka z kociego teatru. Po prostu wariatka i na małą ciągle wrzeszczy. Wyzywa ją i szarpie za włosy, a Joanna drze się jak opętana i pewnie też chora będzie, jak jej matka.

Więc jednak trzeba było zbić to lustro Marysi Wichury, w którym zawsze było widać to, czego nie powinno się oglądać. Na przykład jak pan Stefan kładł się na Marysi. Nikt tego nie powinien widzieć. A już na pewno nie ta mała, co nosiła czarne kokardy we włosach. Ona niczego nie chciała ani widzieć, ani słyszeć. Zatykała uszy, zaciskała oczy, zupełnie tak samo jak wtedy, gdy jeszcze w czasie okupacji pewna rozczochrana kobieta układała ją pod starą żeliwną balią na strychu. Wtedy też było słychać głosy. Krzyki. Walenie do drzwi. To Niemcy wbiegali po

drewnianych schodach i wrzeszczeli. A w rękach mieli karabiny, a na głowach hełmy. I dziewczynka zaciskała wtedy powieki z całej siły Jak tylko mogła.

Więc potem, już w powojennych czasach, gdy była nieco starsza, wiedziała, co robić, gdy pan Stefan do domu przychodził Marysię odwiedzić, najeść się i napić. A potem się na Marysi położyć, żeby sobie ulżyć. Dziewczynka nie patrzyła na to, zaciskała, co się dało. Nie tylko w nocy, ale i rano, bo pan Stefan lubił długo stać przed lustrem i przeżyć muskuły. Żeby Marysia widziała i podziwiała. Jakiego wspaniałego mężczyznę ma.

Po śmierci swojej teściowej, Marysi Wichury, Monika nie chciała starych mebli z powojennego szabru. Były niemodne i w złym stanie, a nową meblościankę na wysoki połysk albo w wersji matowej można było dostać na kredyt dla młodych małżeństw. Więc stare lustro trafiło do mieszkania szwagierki, w którym nic nie pasowało do niczego. Ale dzięki temu wszystko dało się tam upchnąć, chociaż przecież te meble równie dobrze można było umieścić na działce albo wstawić do komisju meblowego, tego na Burakowskiej. To były stare meble, z litego drewna. Całkiem niezłe w gruncie rzeczy. Monika potem żałowała, że się ich tak lekkomyślnie pozbyła. Dzisiaj byłyby sporo warte. Znacznie więcej niż meblościanka kupiona na kredyt, która i tak wylądowała na działce. Za takie stare meble można by było dostać dobrą cenę. Tylko szkoda, że siostra Szczepana zbiła to lustro. Było kryształowe, a jakże. Ale nie należy mieć pretensji do chorej psychicznie. Zresztą to wszystko wina Joanny, która jest wyrodną córką.

I chociaż w lustrze Marysi Wichury nikt już przeglądać się nie będzie, trudno pozbyć się wspomnień. Zwłaszcza tego jak dziewczynka z czarną kokardą zawiązaną na szyi zamiast we włosach, weszła do mieszkania i krew kapłała jej stamtąd. Kap, kap, kap. I było cicho, bo Marysia była w pracy, a Szczepan schował się pod łóżkiem. I ciągle kap, kap, kap. I te włosy rozplecione. A przecież wszystko powinno być zapięte, zaplecione, zasnurowane. Bo tak jest najlepiej i najbezpieczniej. Nic nie widać, tylko wąską kibić jak u Scarlett O'Hary. Marysia zawsze tak mówiła, że ta Scarlett miała czterdzieści osiem centymetrów w talii i że to takie nadzwyczajne. Dziewczynka miała w pasie znacznie mniej. I co z tego? Nawet porządnie nie dało się zasnurować takiego brzucha. Jednak trzeba było coś zrobić z włosami.

Nie mogły być takie rozczochrane. W kuchni w kredensie Marysia trzymała nożyczki krawieckie. Rach-ciach! I już po włosach. Ale wszędzie były te krople. Czerwone kropelki. Kap, kap, kap. Dziewczynka usiadła na tapczanie w pokoju Marysi. I kremowa kapa zaczerwieniła się. Paskudna plama. Trzeba ją będzie zaprać w zimnej wodzie. Marysia wie, jak poradzić sobie z taką plamą. Ale z dziewczynką już sobie nie poradzi. Nikt już nie będzie wiedział, co z nią począć. Ani Siostry Nazaretanki, ani Zelwer w szkole teatralnej.

Jak urodziła się Joanna, to też było dużo krwi. Wszędzie krew. Salowa się wściekała na „starą pierwiastkę”, że zabrudziła podłogę, gdy próbowała dojść do łazienki. W szpitalnej łazience było lustro, ale ona odwracała

głowę, żeby nie widzieć swojej twarzy - całej w sińcach, po porodzie. A przecież jak chodziła w zaawansowanej ciąży, lubiła przeglądać się w sklepowych witrynach. Po raz pierwszy w życiu wydawało się jej, że jest całkiem niebrzydka, może nawet ładna. Nie tylko nogi miała ładne, ale buzię też i nawet włosy. I podobał jej się ten brzuszek. Zupełnie jak piłka przyklejona do ciała. Wcale nie miała ochoty go sznurować, jak to kiedyś robiła Marysia. Wręcz przeciwnie, cieszyła się, że wszyscy widzą, że jest w stanie błogosławionym.

Na swoją twarz musiała jednak patrzeć w garderobie, jak się malowała przed spektaklem. Ale to było zupełnie co innego. Patrzyła w lustro, bo musiała. Często musiała też zakładać gorset i garderobiana, pani Dzidzia, zawsze komentowała, że ma taką szczupłą talię. Jak osa. I włosy takie piękne, mocne, tylko dlaczego zawsze tak krótko obcięte. Dla wygody, pani Dzidziu. Tak jest wygodniej, po prostu.

A lustro ciotki Bronki? Naprawdę piękne. Secesyjne tremo. Stoi teraz w kawalerce Starego H. Pewnie Joanna się w nim przegląda. Szkoda, że musi nosić te okulary. Przecież jej córka wyglądałaby młodziej i dużo ładniej bez tych bryli obrzydliwych. To wszystko przez te doktoraty, sraty-taty. Nie wiadomo, komu to potrzebne.

Ale nie warto gromadzić pięknych przedmiotów. Przecież i tak oni wszystko zabiorą. Przyjdą w nocy, albo nawet w dzień, i wyniosą co się da. Lepiej na to nie patrzeć, nie widzieć, jak oni zakradają się do mieszkania i zaczynają je plądrować. Nie walą do drzwi, jak tamci, nie używają

dzwonka. Mają swój komplet kluczy, otwierają drzwi po cichu. Najpierw pierwsze, potem drugie. Wchodzą, a raczej wślizgują się, i już są. I wszystko mogą zabrać, przecież nawet jeśli coś zostawia to tym gorzej, bo to znaczy, że jeszcze wróca, żeby zabrać resztę. I niestety zawsze jakaś reszta zostaje. Żeby mogli przyjść. I wtedy nic nie pomaga. Nawet zaciskanie powiek. Zbicie lustra też nie pomogło. Szkoda lustra. Kryształowe było. Na pewno można je było sprzedać i kupić za to szkła kontaktowe dla Joanny.

Więc coś trzeba będzie zrobić z tą naroślą na twarzy, a właściwie pod nią. Najgorsze jest właśnie to, że narośl jest pod spodem i nie wiadomo, jak się dostać do środka. Żaden lekarz tego nie potrafi. I dlatego oni wszyscy kłamią, że nie ma tych czerwonych plam i żadnej narośli też nie ma. Nawet Monika nie chce powiedzieć prawdy, tylko wyjmuje lusterko z torebki i mówi: „No przypatrz się dobrze, tam nic nie ma!”. Mędrca szkiełko i oko cholerne. Przeklęty kawał szkiełka z diabelskiego lustra, który wpadł do oka małej dziewczynki, chyba jeszcze wtedy za okupacji, gdy mieszkała na strychu ze swoją własną matką, a nie z Marysią. Bo z Marysią to było już po wojnie. To znaczy po powstaniu, albo może w trakcie.

Wtedy w sierpniu 1944 roku Marysia przyszła po nią na ten strych, po tym jak to się stało z jej matką. I zabrała dziewczynkę do siebie. Ot tak, po prostu. A po wojnie jak zapisywała małą do szkoły, kazała wpisać nazwisko: „Wichura”, a nie „Lewicka”, chociaż dobrze wiedziała, jak miała na nazwisko matka dziewczynki. Może „Lewicka” ładniej brzmi, jakoś tak bardziej nobliwie, jednak

wychowanka Marysi zostawiła sobie tę Wichurę w nazwisku. I wiedziała, co robi, bo jej nazwisko podobało się w szkole teatralnej. Zelwerowi się podobało i innym profesorom. Więc na zawsze nią została. Nikt już tego nie zmieniał. Metryki nie szukał. Bo przecież nie było żadnej metryki. Był tylko indeks matki, trzymany pod podłogą u Marysi w pokoju. I tam było nazwisko: „Lewicka”. Ale nie było imienia dziewczynki. A ona sama nie pamiętała, jak na nią wołała tamta rozczochrana kobieta, która prawdopodobnie był jej matką.

Więc po wojnie w dokumentach przed nazwiskiem wpisano dziewczynce całkiem nowe imiona i one też zostały na zawsze: Maria Jolanta. W dokumentach. A teraz te dokumenty ktoś chce jej zabrać. Wszystkie. Żeby zniszczyć pamięć.

Rozdział ósmy

PRZEZ TELEFON

Piątek, 29 października

Cudowna jesteś z tą polsko-katolicką naiwnością, choć to niestety przebija przez Twoje maile - właśnie ten stereotyp w relacjach damsko-męskich. Przypomnij sobie *Sztukmistrza z Lublina* Singera i jedną z kochanek tytułowego bohatera, Magdę, chudą jak patyk i płaską jak deska neurotyczkę. Zwróć uwagę na niesamowitą nieraz dysproporcję w wyglądzie niektórych par - przystojny miły facet i obła kobieta o bandyckim pysku. Zobacz jak na różnych randkowych i matrymonialnych stronach w Internecie tak wiele bardzo ładnych młodych kobiet błaga o chwilę uwagi, o list - a jednak większość facetów unika ich jak ognia. Są to przeważnie idiotki lub sławne „polskie lodówki” - innymi słowy kobiety, od których po przespaniu się, spacerze albo rozmowie lepiej wiać, wszystko jedno, w jakim się jest wieku, na pewno nie chce się mieć z nimi dzieci czy dla nich pracować... Z tego, co piszesz, a jeszcze bardziej z tego, o czym nie piszesz, przebija mocno

silna potrzeba normalnej rozmowy na ten temat z normalnym mężczyzną - *here I am...* Pytaj, kto pyta nie błądzi,
Całuję, X.

PS Pamiętaj, że z przyjemnością patrzy się na Twoje zdjęcia, nie wiem, jak jest w rzeczywistości, ale na nich jesteś bardzo urocza - czasami dobrze jest to wiedzieć, prawda?

Jednak trzeba będzie się wybrać do Drezna, o którym Joanna wie nie za wiele, ponieważ nigdy tam nie była. Kiedyś czytała bardzo ciekawy artykuł na temat alianckich bombardowań pod koniec wojny. Jeśli tam pojedzie, to tylko po to, żeby spotkać T E G O mężczyznę. A nade wszystko robić to, czego od dłuższego czasu nie robiła. Robić T O, a nie ćwiczyć jakieś sposoby „obok T E G O” albo co gorsza „zamiast T E G O”. W końcu jeśli wyruszy w podróż, jeśli wyda ostatnie pieniądze na bilet i jeśli jej zożłowata szefowa - Niewiadomska Katarzyna - da jej kilka dni bezpłatnego urlopu, to chyba nie po to, żeby gadać o bezsenności.

Tu nie chodzi o „normalną rozmowę z normalnym mężczyzną”, prędeż o nienormalną. Chodzi o seks we wszystkich jego odmianach, bez zahamowań. Kilka dni szaleństwa, a potem powrót do rzeczywistości. I żadnego dalszego ciągu. Nikt nie będzie dla niej pracował ani miał z nią dzieci. Chociaż to takie piękne - mieć swojego mężczyznę, zasypiać na jego klatce piersiowej, czekać na niego

z obiadem, prasować jego koszule. Nawet sprzątać po nim jest pięknie. Mieć po kim sprzątać.

I jeszcze jedno: kobiety często wstydzą się faktu, że w wieku, powiedzmy trzydziestu kilku lat, mają wiedzę i znajomość tego wszystkiego na poziomie siedemnastolatki - nie ma nic w tym złego, a pokrywają to często intelektualnymi zawijasami lub stereotypami zachowań, i pozostają samotne lub porzucone, zamiast otworzyć się i zaufać mężczyźnie, że je czegoś nauczy... No ale nie wiem, czy odnosi się to też do Ciebie, za mało Cię znam.

Pa, Xawery

Za kogo Ty mnie masz? Za jakąś nastolatkę, idiotkę, katolicką bigotkę, która nic z TYCH rzeczy nie rozumie? Sam masz znacznie poważniejsze problemy ze sobą, nie spisz po nocach i obwiązujesz nadgarstki drutem miedzianym, żeby zasnąć choć na chwilę. Albo uciekasz od kota lub od kochanki, żeby ci nie kradli „sennej energii”. I czego Ty mnie możesz nauczyć, jakichś technik wyrażonych, kamasutry? Wierz mi, potrafię czytać i nie potrzebuję rad faceta, który nie radzi sobie sam ze sobą.

Joanna

Nie zrozumiałaś i dalej myślisz stereotypami, zamiast nauczyć się komunikowania swoich potrzeb uczuciowych i innych światu, wysyłania sygnałów o tych potrzebach. Zupełnie niepotrzebnie kontranalizujesz mnie, zamiast skupić się na tym, żeby zmienić siebie, otworzyć się - te

eksperymenty są nie po to, żeby coś mi opisywać, lecz jak ślepo wykonywana sesja u psychoanalityka. Nawiasem mówiąc, moje życie wygląda trochę inaczej niż myślisz. Dochodzisz już pewnie do czterdziestki lub przekroczyłaś ją, i wierz mi, nie jest łatwo pozbyć się swoich kompleksów. W związku prawie zawsze jest na to za późno, zwłaszcza, jak się nie umie tego robić. Jeżeli mi nie ufasz, daj sobie spokój z rozmowami ze mną i kup „Cosmopolitan” albo „Twój Styl”, tam masz furę porad. No ale jeżeli dalej masz pytania typu: co mężczyzna czuje, i co mam zrobić, żeby - ciągle jestem tutaj (trochę już zniecierpliwiony)...

X.

The way to mans heart is through the ability to seem not very interested in htm... Gdzieś to przeczytała, w jakiejś książce. Już nie pamięta w jakiej. Jej milczenie będzie wymowniejsze niż jakiegokolwiek słowo, które wypowie. Bo teraz to już przegiął. Na takie *dictum* odpowiedź jest tylko jedna - wyłączyć komputer i zapomnieć o tej znajomości. Tak się składa, szanowny panie, że nawet gdyby Joanna chciała, to i tak nie kupi „Cosmo” ani „Twojego Stylu”, bo jej po prostu nie stać na takie luksusy. Nie stać jej na kolorowe pisemka ani na elegancką bieliznę, ani na uprawianie seksturystyki z nim gdzieś w Dreźnie. Więc pewnie się nie dowie, co tak naprawdę mężczyzna czuje, i co ona ma zrobić, żeby go zadowolić. Zaprzepaści tę jedyną w życiu okazję, żeby się pozbyć swoich kompleksów, zrzucić z siebie te stare łachy, pójść wreszcie do

fryzjera i do kosmetyczki. Boże, ona już gada jak te lale z „Cosmoplitana"! Czas wracać do rzeczywistości, która pełna jest karaluchów i nękających telefonów od Moniki. Dioda znowu się świeci, a ona nawet nie usłyszała telefonu ani tego, co mówiła Monika, nic nie słyszała, bo tak była zajęta korespondencją z tym NIE WIADOMO KIM.

Sobota, 30 października

Stało się. Dłużej nie dało się tego odwlekać. Niestety, od samego początku ta niezwykle ekscytująca korespondencja podszyta była jednym, przeraźliwie trywialnym pytaniem: czy umówimy się na seks? Bo właśnie tak się mówi - na seks. Bez ogródek i prosto z mostu. Nie na spacer, na spotkanie albo na kawę. Tylko na seks, bez żadnych wstępów. Do dzieła. Raz, raz i po wszystkim. Trafiona, zaliczona. Ale najpierw trzeba się umówić. Jeśli tak, to kiedy i gdzie? O ile w ogóle.

Właśnie. Przecież wcale nie trzeba umawiać się z jakimś neurotykiem zza oceanu w celu odbycia stosunku płciowego. Wystarczy wejść na jakikolwiek serwis randkowy, a zaraz obsiadzie ją rój panów młodszych i starszych (z przewagą tych pierwszych, niestety) pragnących za darmo bzyknąć jakąś głupią laskę, gotową umówić się z facetem, którego nigdy wcześniej nie widziała.

I od czego tu zacząć taką rozmowę? W dodatku przez telefon, bo on tak sobie zażyczył. Chce usłyszeć jej głos. I dlatego zadzwoni. Tylko kiedy? Tego nie napisał.

„Zadzwonię na pewno. Przecież mam twój numer telefonu”. Ale to drogo kosztuje. Po co wydawać pieniądze na telefon ze Stanów do Polski? Przecież jest Skype i inne komunikatory, za darmo w dodatku. A to będzie kosztowało majątek! „Nie martw się, ja będę płacił, nie ty”.

Rozmowa ma być o seksie. Bo kobieta potrzebuje rozmowy na ten właśnie temat z normalnym mężczyzną. „Pogadamy o tym, jak to z tobą jest, co lubisz, a czego nie”. Bo o tym trzeba mówić. Bo jak się nie mówi, to rosną kompleksy i zahamowania, a ta znajomość jest po to, żeby ją z tych zahamowań wyzwolić. I żeby potem mogła mieć udany ZWIĄZEK. Tylko nie wiadomo z kim? Prawdę mówiąc, nie znała nikogo, z kim mogłaby się związać. Chyba, że z panem Xawerym Stadnickim, ale wtedy musieliby się kochać wirtualnie, a przecież związek polega na regularnym odbywaniu stosunków płciowych z tą samą osobą. W różnych pozycjach, żeby się nie znudziło - mężczyźnie. Bo dla niej mogłaby być ciągle ta sama pozycja, najnudniejsza z nudnych. Tylko mężczyzna nie nudny. Nie może być nudziarzem, w żadnym wypadku i pod żadnym pozorem. A wszyscy dotychczasowi byli śmiertelnie nudni i wobec tego do związku się nie nadawali.

Czekanie na telefon lub na wiadomość jest czymś nieznośnym. Telefon milczy, a na ekranie komputera wyświetla się nienawistne: NIE MASZ ŻADNEJ NOWEJ WIADOMOŚCI. To już koniec. On nie zadzwoni ani nie napisze. Dość czekania. Postanowiła ubrać się i wyjść.

Ale oto telefon dzwoni. Dioda migocze, dźwięk dzwonka jest czysty, przejrzysty, wibrujący. Kto dzwoni? Monika, nie daj Boże, albo matka, jeszcze gorzej!

- Halo?

- To ja - głos obcy, daleki. Męski. On dzwoni. Literę „r” wymawia z francuska. Ale głos w słuchawce nieprzyjemny jakiś. Mężczyzna co chwilę wybucha urywanym, nerwowym śmiechem. Niedobra rozmowa.

- Podniecasz mnie, dziewczyno. Naprawdę. I ślicznie wyglądasz na tych zdjęciach. Staje mi za każdym razem, jak patrzę na twoje fotki. Ale na żadnej nie widać, jakie masz cycuszki. Duże są? No powiedz, nie wstydź się. A cipkę jaką masz? Owłosioną? Chciałbym cię popieścić, wiesz. Gdzie lubisz najbardziej? No wyksztuś to wreszcie! Twoja ulubiona pozycja? No nie mów, że jesteś dziewicą! Ile ty właściwie masz lat, czterdzieści?

Koszmar, koszmar, koszmar! Zapomniała języka w gębie. To już definitywny koniec tej znajomości. Przecież on cały czas z niej sobie kpił! Wszystko, co dotąd do niej pisał, podszyte było kpiną i kłamstwem. A ona już prawie uwierzyła, że jest szczerzy. Stary kpiarz i zboczeniec. Fetyszysta jakiś. Obrzydliwy, obleśny dziad! Jak mogła się zadurzyć w tej wirtualnej postaci. Głos zmienia wszystko. Pozbawia złudzeń. Ciepły, wrażliwy mężczyzna, który od jakiegoś czasu gościł w jej laptopie, to fatamorgana. Głos w telefonie należał do kogoś zupełnie innego.

- I co, speszona jesteś? Nie chcesz dalej rozmawiać?

Jak to nie chce rozmawiać? Cały dzień czekała na ten cholerny telefon! A tu coś takiego! Takie gówno zamiast

miodu! Miała być rozmowa, a jest chory monolog podstarzałego erotomana! Jakiegoś obrzydliwego starego dziada śliniącego się do młodszej od siebie kobiety. Na to nie była przygotowana. Może jednak to ktoś inny? I nie chce dopuścić Xawerego do głosu. Bo przecież prawdziwy Xawery nigdy takich głupot nie opowiadał. Najwyżej aluzje robił, bardzo delikatne zresztą. A tu taka zboczona gadka. Ten głos należy do kogoś innego, to jakiś głupi żart.

- Mylisz się, kochanie, to nie żaden ktoś, tylko ja, mężczyzna, z którym korespondujesz od paru miesięcy. Chciałbym z tobą szczerze porozmawiać, naprawdę.

- Jeśli tak to zacznijmy tę rozmowę od początku.

- Ale o cyczkach też mi coś powiesz, jakie są, duże czy małe? Bo ja lubię cyczki całować i lizać cipkę. Przecież chcesz, żebym ci wylizał, prawda? Marzysz o tym. No bądź szczerą, chcesz, żebym do ciebie przyjechał? Odpowiedz chociaż na to jedno pytanie. Bo dotąd na żadne nie odpowiedziałaś. Jeśli nie chcesz się ze mną widzieć, to chyba nie warto dalej tego ciągnąć.

- Ale ja bardzo chcę się z tobą spotkać! Bardzo, bardzo!

- I będziemy się kochać?

- Tak.

- No to już jakiś postęp! Sama mi teraz powiedz, jak się będziemy kochać.

- Normalnie.

- To znaczy, że będę leżał na tobie?

- Chyba tak.

- To kiedy się widzimy?

- J a k najszybciej. Już się doczekać nie mogę.

- Pragniesz mnie? Bądź szczerą, chociaż raz!
- Może.
- To dlaczego nie chcesz mi powiedzieć o swoich pragnieniach?
- Bo nie umiem rozmawiać przez telefon.
- To mi o tym wszystkim napisz.
- Dobrze.
- Zostaniesz moją cipką?

Na takie *dictum* odpowiedź jest tylko jedna - rzucić słuchawką. Co za ulga! Precz ze starym erotomanem! Koniec, nareszcie koniec tego upokarzającego spektaklu. Przecież powinna to zrobić już po pierwszym zdaniu!

P 1

A telefon jak na złość znowu zadzwonił. Niestety, zapomniała go wyłączyć. Po tym, co wykonał Njujorker, należało nie tylko wyciągnąć kabel telefoniczny z gniazdka, ale najlepiej go przeciąć, a aparatem rzucić o podłogę, żeby pękła obudowa, tak jak w niej coś pękło po tej rozmowie. Tym razem musi dzwonić ktoś tutejszy, z całą pewnością nie z Nowego Jorku. Nie ma mowy, Joanna nie podniesie słuchawki! Jednak telefoniczny intruz nie dawał za wygraną i po chwili odezwała się komórka. A na wyświetlaczu pojawiło się: *Ignac*. A czegóż on może chcieć od swojej kuzynki-niekuzynki? Więc znowu trzeba powiedzieć: „halo”, chociaż prawdę mówiąc było całkiem niehalo. I w dodatku coraz zimniej na dworze, a Ignac chciał, żeby Joanna natychmiast przyjechała do Słodkiej. Bo ona umiera. Leży w szpitalu i umiera. W którym szpitalu? Jak

to w którym - na Woli oczywiście, na Kasprzaka. I chce zobaczyć Joannę. Domaga się, żeby przyszła. I dlatego trzeba się spieszyć. To już z pewnością ostatnie chwile Łodzi Słodkiej. Ignac zaraz pojedzie na Żelazną, nie ma sprawy. Będzie za kwadrans. No może za pół godzinki.

* * *

Łodzia leżała na korytarzu. Z powodu remontu nie było dla niej miejsca na sali. Więc miała umrzeć właśnie na korytarzu. Na tym cholernym korytarzu, w wolskim szpitalu, który tak dobrze znała. Przecież to tutaj miała operację woreczka. Kiedy to było? W stanie wojennym czy później? Łodzia nie pamiętała. W każdym razie jeszcze przed śmiercią Broni. Ona też umarła na Kasprzaka. Długo się męczyła - rak płuc. Przez te papierochy, które zawsze kurzyła. Jednego za drugim. Wypalała co najmniej dwie paczki dziennie. Najbardziej lubiła te najtańsze i najbardziej śmierdzące - Sporty. Łodzia często jej towarzyszyła. I matka Joanny też lubiła przychodzić i palić z nimi papierosy, i pić nalewkę Broni. Spędzały tak długie wieczory. Niewiele rozmawiały, bo Bronia nigdy nie była wylewna. Nie lubiła opowiadać o dawnych czasach. Za to Łodzia lubiła i to bardzo, zwłaszcza jak sobie wypić. A zdarzało się to często.

- Idź już do siebie, bo napita jesteś - besztła ją Bronia. I Łodzia, rada nie rada, wychodziła.

A matka Joanny zawsze chciała z Łodzi wyciągnąć jak najwięcej o przeszłości, chciała się dowiedzieć, jak to naprawdę było z jej mężem, kim był ten smutny milczący

mężczyzna. Lodzia przecież wszystko wiedziała, ale Bronia zakazała jej mówić. Miała milczeć jak grób, do grobowej deski.

- J a k tylko piśniesz słowem, to cię będę straszyć po śmierci! - ostrzegała ją Bronia, umierając. A trzeba wiedzieć, że wyglądała wtedy jak upiór, tak była wyniszczona chorobą. I Lodzia przestraszyła się nie na żarty, i postanowiła, że nic już nie powie matce Joanny. Zresztą ona już wtedy od dawna nie przychodziła na Bema, nawet nie było okazji do takich odwiedzin. I nalewki domowej roboty zabrakło. Poza tym Lodzia z powodu chorego woreczka przestała zaglądać do kieliszka.

Jednak przed śmiercią chciałyby komuś o Bronce popowiadać. Nieważne komu. Ktoś musi to usłyszeć. Już jej zjawa Bronki nie była straszna. Przecież i tak niedługo miały się spotkać po drugiej stronie. Więc próbowała opowiadać Waldkowi, tylko że on nie chciał jej słuchać i wrzeszczał, że ją w mordę trzaśnie, jak puści parę z ust. A niedawno była u niej Joanna. I też nie zdążyła jej niczego powiedzieć, bo do pokoju wszedł Waldek i Joannę najzwyczajniej w świecie wyprosił. Potem jeszcze Ignac przyszedł i też za wiele nie zdołała mu powiedzieć. Choć Ignaca to Waldek się boi, i dlatego się nie wtrącał, ale na pewno cały czas stał pod drzwiami i podsłuchiwał, i dlatego Lodzia mówiła szeptem, więc Ignac niewiele z jej słów mógł zrozumieć, ale chyba jednak coś do niego dotarło, bo kiwał głową cały czas. Ignac to ho, ho - pan z panów, o dwie głowy wyższy od Waldusia! I tacy są do siebie niepodobni, chociaż przecież z tej samej rodziny...

Ale nie o Ignacu Lodzia chciała opowiedzieć, tylko o Broni. Bo tam na Bema w jej mieszkaniu jest takie jedno zdjęcie, sprzed wojny jeszcze. Bronka w letniej sukience w kwiaty i w małym kapelusiku, lekko przekrzywionym, i włosy ma ułożone w fale. A obok Lodzia w ciemnej sukni, nie takiej znowu długiej, tylko do kolan, no i bez kapelusza, a włosy ma spięte w mały koczek. Niczego sobie, mogła się podobać. Oczywiście Lodzia, bo nie Bronka - chuda jak szczapa, a do tego płaska z przodu i z tyłu. Za to ambitna strasznie. Stary Łągwa - jej ojciec - miał warsztat na Nowolipiu. Zdaje się, że stolarski. A Bronka uczyć się chciała. Do gimnazjum chodziła. Chyba nawet małą maturę miała. Ale musiała przerwać te nauki, bo stary Łągwa zapił się na śmierć. I już nie miał kto łożyć na jej fanaberie, na parlefranse i na pianino. Więc Bronia do terminu iść musiała, do zakładu macochy swojej, na Leszno.

I jeszcze o Romanie trzeba by powiedzieć, jeśli tylko język Łodzi nie uwięźnie gdzieś w gardle. Bo przecież u niej na Bema pełno jest zdjęć tego Romana. Wszędzie one wiszą. Całkiem już wypłowiałe i niewiele na nich widać. Bronka go chyba w tym zakładzie poznała. Albo raczej on ją. Pracowała tam, aż poznała tego swojego Romana, inwalidę wojennego od Piłsudskiego, co mu bolszewicy płuco przestrelili. Lodzia to tak między Bogiem a prawdą nigdy osobiście go nie poznała. Tylko słuchała opowieści Broni. A ta ciągle powtarzała Roman to, Roman tamto. Ciągle tylko Roman i Roman. Grunt, że się z tym Romanem poznali i on Bronię o rękę poprosił, i pobrali się, ale zdjęcia ślubnego w domu nie ma. A to

dlatego, że je Łodzianka włożyła Bronce do trumny, żeby i na tamtym świecie miała tego swojego wojaka. Na wieczność całą wiekiustą. Więc już nie można zobaczyć, jaką Bronka miała sukienkę ślubną i czy miała wianek, czy też nie. Ale pewnie ten wianek do ślubu donosiła tam gdzie trzeba. Niekoniecznie na głowie. Bo pięknocią to ona nigdy nie była i jasna cholera wie, co ten Roman w niej zobaczył.

Bronia dzieci własnych nie miała ani z Romanem, ani z tym drugim swoim ślubnym, co mu w szwabskiej niewoli zęby powypadały. I potem trzeba mu było wszystko rozdrabniać na talerzu widelcem. Papkę taką robić. Bo nie mógł nic pogryźć, a jak sobie sztuczną szczękę wstawił, to mu ciągle wypadła.

I jeszcze Bronka taką pomocnicę w sklepie miała, a właściwie to jej przyjaciółka była. Bo Łodzi to nigdy za przyjaciółkę nie uważała, a tamtą tak. Razem chyba do gimnazjum chodziły. Łodzianka już nawet jej imienia nie pamięta. Na literę „h” się zaczynało, albo jakoś tak. Kto by to pamiętał wszystko? Łodzianka w każdym razie już tego sobie nie przypomni. Ruda i piegowata była ta na literę „h” i okulary na nosie miała. Kto wie, kim ona była? Jak Niemcy bomby na Warszawę spuszczali i wszystko trzęsło się, i ludzie i mury, to ona nawet wtedy różańca przy sobie nie miała, ta na literę „h”. Ani świętego obrazka.

Bronia też nie miała w domu obrazków świętych, ale krzyż to nad drzwiami wisiał i Matka Boska Mleczna nad jej małżeńskim łóżem. Chociaż na nic się nie przydała, bo Bronia własnych dzieci przecież nie miała. Ale jak ten jej Roman zaniemógł, to nawet na pielgrzymkę do

Przenajświętszej Paniienki do Częstochowy poszła. Oczy wypłakała i posiwała, chociaż młoda jeszcze była. Roman zostawił jej sklep na Lesznie. I wtedy właśnie przyjęła Lodzie Słodką z ulicy Bema do sklepu, w trzydziestym siódmym to było, albo na początku trzydziestego ósmego. Lodzia cztery klasy powszechniaka miała. I śmiejące się modre oczy i równe zęby Wtedy tak całkiem zdrowa na umyśle to Bronka nie była. Na mózg jej padło, a może na nerwy. Sama do siebie gadała. Romku, Romeczku... Jak myślisz, Romeczku? Kocham cię Romeczku. Takie rzeczy do zmarłego wygadywała, że nie idzie powtórzyć.

A w sklepie to tylko Słodka wtenczas robiła. No i ta druga, której imienia Lodzia niestety nie pamięta. Ale tamta tylko rachunki prowadziła. Nic wielkiego. Miała głowę do buchalterii, przyznać to trzeba. I tylko do tego. Bo wszystko inne to już tylko Słodka robiła. Towar zamawiała, nosiła, układała. I z ludźmi się układała. Z całą tą hołotą. Z dostawcami najbardziej. Za ladą też tylko Lodzia stała. I to był prawie już Słodkiej sklep. Bo Bronka do niczego głowy nie miała. Ani do jedzenia, ani do spania. Tylko światło paliła po nocach, romanowe ubrania z szafy wyjmowała i zabierała do łóżka. Że to niby on zmartwychwstał, albo że wcale nie umarł. Co ona wyprawiała! Aż ją mieli do szpitala wariatów zabierać, ale nie zabrali, bo wojna wybuchła.

Za okupacji musiały się przenieść na Czyste, na ulicę Bema właśnie, bo na Lesznie getto było. Tamta na literę „h” gdzieś przepadła. Czort jeden wie, co się z nią stało. A właściwie to Bronia wiedziała na pewno, a Lodzia się

domyślała, ale nie chciała mówić głośno, czego się domyślała. Odtąd Bronia rachunkami zajmowała się sama, i za ladą stała też. Słodka pomagała jej tylko, towar nosiła, układała, bo w tym była najlepsza. A potem, jak już po wojnie wróciły do Warszawy, to zaraz przyplątał się ten jej Józik. Zawsze tak o nim mówiła: Józiku, albo Józiczku nawet.

Cholerny dziad! On nawet porządnego ubrania nie miał, w mundurze dziurawym chodził. Na rachunkach wcale się nie znał. Tak gadał tylko, że księgowym jest. Bo papierów żadnych nie miał. Ale i tak do pomocy go Bronia najęła, i rachunki prowadzić kazała. Jak jeszcze sklep był ich, to znaczy Bronki, bo Łodzi przecież nigdy nie był. Tylko walizka tekturowa do niej należała, a w niej parę starych łąchów i kilka drobiazgów. A on, ten Józik, za spódnicami rozglądał się! Pies na baby był i tyle! Żadnej nie przepuścił. Za to Bronia mu dogadzała, jak tylko mogła. Józiku to, Józiku tamto. A może byś coś zjadł, Józiku? A może naleweczki, rosołku, albo kurczaka z ćwikłą? Bronia udawała, że nie widzi tych wszystkich józikowych bab. Boże miły, jak on oczami strzelał, gdy kawałek babskiego zadka zobaczył!

A bo to Słodka nie wie, jaki on był? Szybki. Raz, raz i po wszystkim. A dzieciaka to pewnikiem niejednej pannie zmajstrował, i mężatce też. A bo to ona nie wie! Wszystko wie o tym łajdaku, co biedną Bronię omotał! O tym oszuście, co nawet liczyć porządnie nie umiał. Tylko wódkę pił i się łajdaczył z kim popadło. Wszędzie to robił. Wszędzie. A Bronka udawała, że nie widzi.

Teraz Lodzia nie miała już zbyt wiele czasu. Czuła, że niedługo spotka Bronię, i Józefa też, niestety. Dobrze, że Waldek został w domu i już nigdy nie będzie na nią krzyczał. Przynajmniej na tym świecie. Pewnie teraz pije na umór z radości, że się wreszcie pozbył matki, albo ze smutku, że jej renta przestanie przychodzić po śmierci. Ignac, który wezwał pogotowie, obiecał jej, że przyjedzie z Joanną, i że jej wszystko opowie, w razie czego. Jeśli Lodzia nie zdąży.

Ignac wściekał się z powodu korków. Jutro święto zmarłych i ludzie jadą na cmentarz wieczorem. Żeby znicze zapalić i zmówić modlitwę. A on przecież miał misję - Lodzia Słodka prosiła go, żeby koniecznie przywiózł do niej Joannę. Ignac wątpił, czy staruszka jeszcze zdolna jest do wysiłku, do mówienia. Sam niewiele rozumiał z jej bełkotliwej mowy. Gdy wreszcie dotarli do szpitala, okazało się, że Lodzia jest już nieprzytomna. Joanna miała pretensje do Ignaca, że ją niepotrzebnie z domu wyciągnął w taki dzień.

- Ta Słodka to kompletny zidiociały *mente captus!* Demencję starczą ma! Nie rozumie, co się do niej mówi, i mowę też jej odjęło. Więc po jaką cholere mnie tu przywiozłeś! Byłam na Bema całkiem niedawno i chyba wiem, jak jest!

Ignac nic nie odpowiedział i postanowił, że jak tylko wróci do samochodu, opowie swojej niekuzynce, czego dowiedział się od Słodkiej, która wbrew temu, co sądziła

Joanna, zachowała do końca jasność umysłu. A Joanna powinna wiedzieć, kim był jej ojciec, i że miał matkę, i że one z Bronią przyjaźniły się przed wojną, że razem do gimnazjum chodziły. I teraz to właśnie Joanna powinna tę sprawę zbadać. W końcu jest historyczką, czyż nie? To co, że zajmuje się średniowieczem. Na co komu jakieś średniowiecze! Lepiej, żeby wykorzystwała ten swój „warsztat”, którym tak się szyci, do celów praktycznych. Niech poszuka w archiwum starych dokumentów. Może coś znajdzie i się dowie, jak naprawdę nazywała się jej babka? Przecież warto takie rzeczy wiedzieć. To jest naprawdę ciekawe. Nawet książkę można by o tym napisać, a nie jakieś tam doktoraty, których i tak nikt nie czyta. Ignac był bardzo wdzięczny Słodkiej, że mu zaufała. Biedna staruszka, strasznie ją ten Walduś gnębił. Zakała rodziny! Jego własnej.

* * *

Przed skrzyżowaniem przy Prostej samochód zatrzymał się na światłach. Joanna przez szybę patrzyła na dobrze jej znany fragment miasta i myślała o historii, którą dopiero co usłyszała od Ignaca. Kilka starych kamienic po drugiej stronie ulicy pochodziło z czasów bardzo już odległych. Może gdzieś w pobliżu mieściło się żeńskie gimnazjum, do którego dawno temu uczęszczały Bronia i ta na literę „h”, obie urodzone około roku 1909 w Warszawie, w niezbyt zamożnych rodzinach. Chociaż ktoś może wiedzieć, gdzie i w którym roku urodziła się tamta, której imienia nikt już nie pamiętał? Joanna z pewnością nie będzie zajmować się historią swojej rodziny, ma dość

historii w ogóle. Nawet tej bardzo odległej, średniowiecznej, którą kiedyś pokochała swoją pierwszą miłością. Za to głównie, że była taka odległa i Joanna mogła się w niej poczuć bezpiecznie, prawie jak u siebie. Z dala od swoich bliskich - od milczenia ojca i od szaleństwa matki. Rewelacje Słodkiej wcale jej nie zainteresowały. Przecież Stary H. gdyby chciał, opowiedziałby wszystko swojej jedynej córce. Ale nie chciał i nie opowiedział. I trzeba uszanować jego wolę. A poza tym ona też nie chce wiedzieć, jak to naprawdę było z jej ojcem, i nie tylko z nim. Z matką też. Przecież przez całe życie uciekała od tej wiedzy.

To małe „h” wobec „H” dużego w nazwisku Joanny było nie do końca sprawdzone, lecz teraz Joanna mogła już mieć całkowitą pewność, że z rodziną od szabli, szklanki i zielonego fotela, który stał w jej mieszkaniu, nic ją nie łączyło. Ale czy to oznaczało przynależność do małego „h” pisanego niebieskim atramentem w szkolnym zeszyte sprzed wielu lat przez dziewczynę, która nosiła okulary i była rudowłosa, i piegowata, i nie zostawiła po sobie ani okularów, ani pantofli, zapewne powykrzywianych ze starości, ani nawet sukienki w kwiaty, albo gładkiej? Wszystkie te akcesoria wraz z nią gdzieś przepadły. A mogłyby się przydać teraz kostiumologom zbierającym ubrania do filmu, którego akcja rozgrywałaby się początku lat czterdziestych ubiegłego wieku. Takie filmy dostają zwykle Oscary za kostiumy i scenografię, pod warunkiem, że kostiumologom uda się zgromadzić autentyczne rekwizyty z epoki.

Gdyby brać na serio to, czego Słodka nie powiedziała - chociaż bardzo się starała zarówno za pierwszym razem,

gdy wino rozlało się na biały obrus zamiast mleka, jak również wtedy, gdy Joanna odwiedziła ją na Bema i do pokoju wtargnął Słodki Waldemar, i uniemożliwił wypowiedzenie swojej matce ostatnich słów - a co przed chwilą Joanna usłyszała od Ignaca H. - można by snuć różne dziwne domysły. Zupełnie nieuprawnione, bo nie potwierdzone żadnymi dokumentami źródłowymi. Ale domysły są takie pociągające. Więc można by oto przyjąć śmiałą tezę, że to Joanna, a nie Ignac jest ostatnim ogniwem czegoś. I właśnie na niej wszystko się kończy, ostatecznie i nieodwołalnie. A wszystko przez tę jej niewydolność, o której z oburzeniem i złością tyle razy mówiła jej matka.

- Po co ci ta mediewistyka? Co to w ogóle jest? I komu to potrzebne? Za mąż wyjdź, dziecko mój!

Ileż takich nachalnych pouczeń w formie niechcianych listów dostawała Joanna przez lata! Była to niezliczona ilość białych, szarych i kremowych kopert, zaadresowanych charakterystycznym matczynym zygzakowatym pismem, wyraźnym, ale mało czytelnym. Joanna tych listów po prostu nie otwierała, żeby się nie denerwować.

W końcu samochód ruszył. Joanna przyglądała się miastu, jakby je widziała po raz pierwszy. Patrzyła na nieliczne stare kamienice po prawej stronie i na połyskujące chłodnym kolorem nieba strzeliste wieże ze szkła i stali po drugiej stronie ulicy. Może gdzieś tu w pobliżu urodził się jej ojciec? Doprawdy niewielką drogę przebył w życiu, tylko parę ulic. Nie wiedzieć czemu, Joanna zaczęła wyobrażać sobie, jak zakończą się losy jej rodziny, a więc zarazem jej i Ignaca, ostatnich jej przedstawicieli.

Na pogrzebie Ignaca H. nie powinno być raczej żadnych dramatycznych gestów, łamania tarczy herbowej, ani tym bardziej szabli. Przecież jest jeszcze Walduś i - jak można przypuszczać - jego liczne bękarty rozsiane zapewne po całej Woli. Zresztą to nie o Ignacu mówiono „pierwsza szabla Rzeczypospolitej”. W kwestii pogrzebu Joanny H. można z dużą dozą pewności przypuszczać, że wszelkie koszty pokryje pomoc społeczna. Może spopiela ją w miejskim krematorium, kto wie? Tak przecież byłoby najrozsądniej i najtaniej.

Wychodząc, zostawiła włączony komputer. Po powrocie ze szpitala machinalnie poruszyła myszką. Njujorker przysłał nową wiadomość.

Chciałaś się poddać dyskusji o Tobie. O to chodzi, żebyś najpierw nauczyła się ze swoim mężczyzną na ten temat rozmawiać i po to to jest, żebyś miała dla swojej fizyczności i swoich potrzeb język, którym je wyrazisz w rozmowie z kimś, na kim Ci zależy, kiedy się ktoś taki pojawi - wiem, że to jest trudne. I myślę, że jednak Ty musisz zadać pierwsze pytanie. Ale najpierw chodzi o to, jak świadoma jesteś swojego ciała, jego potrzeb, jego rozbudzenia etc. Słucham...

„Jakiej dyskusji? To miała być dyskusja? Chyba jakaś potłuczona gadka podstarzałego zboczeńca” - pomyślała Joanna. To miał być ten język intymny na potrzeby jej

przyszłego związku? Oczywiście gdy pojawi się ten właściwy mężczyzna. Który będzie chciał dla niej pracować i mieć z nią dzieci, a może nawet małego kota lub żółwia (żółw zdecydowanie najlepszy, bo długo żyje). Te wszystkie plugastwa to tylko taka psychoterapia, tak? Żeby się otworzyła wreszcie. Bo przecież w każdej chwili może się w jej życiu ktoś pojawić, a nawet objawić. Przecież to może być nawet Njujorker?

Już nigdy nie będziesz miała takiej korespondencji. Zaprzepaścisz jedyną okazję.

„Na co, do cholery? Na co? Na spotkanie z chorym umysłowo? Niewyżytym i pewnie zakompleksionym emigrantem. Njujorkerem. A co to za okazja niebывała? Życiowa szansa? Żeby się otworzyć na to, czego ją mężczyzna może nauczyć. I do tego TAKI mężczyzna. ARYSTOKRATA może. Wolny i niezależny. BEZSENNY. O srebrzystych włosach. Dojrzały, żeby nie powiedzieć, że mocno już przejrzały. WRAŻLIWY. Wrażliwy jest jak mały który mężczyzna. Jego wrażliwość jest tak niespotykana, że aż podejrzana” - myślała Joanna. Ale przecież takiego jej właśnie potrzeba. Pełnego sprzeczności, tajemniczego, dalekiego, NIEZNAJOMEGO. Więc co jej pozostało - stracić głowę i wydać ostatnie pieniądze na podróż do Drezna? Bo tylko w ten sposób może pozbyć się kompleksów. Jak się prześpi z facetem, którego nigdy dotąd nie widziała na oczy. Czy to aby naprawdę jest

sposób na to, żeby przejrzeć na oczy i zacząć żyć NORMALNIE, czyli PO BOŻEMU?

I w jednym kurczaku miły masz rację: KTOŚ, KTO NIE MOŻE SPAĆ, NIE JEST ANI SILNY, ANI SZCZĘŚLIWY.

No dobrze, kapitulacja. Dłużej Joanna nie będzie się gniewać. Nie ma dostatecznie silnej woli. Trudno zresztą nie ulec takim namowom. Może rzeczywiście warto zobaczyć go na żywo? Bzdura. To tylko seksturystyka, nic innego.

Noc niepostrzeżenie zamieniła się w niedzielę. Pełną blasku, mimo późnej pory roku. Lodzia Słodka leżała już w szpitalnej kostnicy. Umarła w nocy. Lekarz dyżurny stwierdził zgon o godzinie zero czterdzieści, pierwszego listopada. Ładną sobie datę wybrała na spotkanie z Bronią. Bo pewnie już się spotkały. Tam na Woli, gdzie spędziły długie lata, wpatrując się wieczorami w ekran czarno-białego telewizora albo paląc papierosy i pijąc domową nalewkę. Może oprócz Broni jeszcze ktoś inny wyszedł Łodzi na spotkanie? Może Stary H. i jego matka, której nazwisko Łodzia zapomniała? Pogrzebem zajmie się Ignac. Trzeba wykupić jakieś miejsce na cmentarzu. Na Wólce Węglowej, bo na Bródnie, gdzie leży Bronia wraz z drugim mężem, nie ma już miejsca. Walduś nie ma pieniędzy na pogrzeb matki, bo wszystko przepił. I gdyby nie Ignac, to byłoby ciężko ją pochować.

Ignac spędził w szpitalu całą noc. Był bardzo przejęty i dziwił się, dlaczego Joanna tak obojętnie zareagowała na to, co jej opowiedział. Jakby to nic a nic ją nie obeszło. Dziwna kobieta. Ale całkiem niebrzydka. Gdyby jeszcze ją ubrać i umalować, byłaby niczego sobie. No i te okulary powinien jej ktoś zdjąć z nosa! Jakiś facet. Czy ona kogoś ma? W Krakowie ponoć kręcił się koło niej taki łyсы profesor. Pewnie też jakiś nudziarz, mediewista.

Joanna rzeczywiście nie przejmowała się rewelacjami przekazanymi jej przez Ignaca. Siedziała przy oknie w swoim mieszkaniu i czekała, aż robactwo z mrówkowca wylegnie do kościoła. Teraz pewnie próbuje się wbić w galowy mundurek zakupiony na nieistniejącym już bazarze. Szarobure gajery i brązowawe spódnice z poliestru opinają rosnące z tygodnia na tydzień brzuszyska oraz dupska. Komuniyjne garniturki trzeba będzie zastąpić codziennymi spodniami, ponieważ ich właściciele rosną jak na drożdżach.

Chłopięce twarze robią się coraz bardziej kwadratowe - znak, że hormony pracują jak należy, natomiast biodra ich starszych siostr - gimnazjalistek - wyginają się z myślą o nieodległej przyszłości, gdy przyjdzie im wydać na świat pierwszego potomka. Niestety, brzuchy tych młodych panien, wbrew zamysłom matki natury, coraz bardziej wystają ze spodni biodrówek. Ale to nie ciąża - uchowaj Boże! To sprawka piwa, chipsów i słoninki, którą mamuśka polewa kartofelki albo pyzy serwowane dzień w dzień na obiadek. Pychota! Słoninka i smalec to podstawa. Bez tego rodzinka by nie wyżyła.

Ale dzisiaj będą udka kurczaka kupione po tanioci w „Biedronce” i rosołek. Prawdziwy, domowy na kostce Knorra. Przepyszny. Wiadomo, niedziela! A na deser ma-
muśka już wczoraj upiekła murzynka. Ale zjedli połowę. Bo był mecz. A nasi, jak to nasi, znów dali ciała. Jak to oni. Stary wypił cztery browce z tej okazji. Nic w lodówce nie zostało dla młodzieży. A też by się napili. Ukradkiem, bo im nie wolno. Bo się uczą jeszcze i rosną. Ale nic to - będzie dobrze, będzie ciepło, kaloryfery już grzeją. Tylko najpierw trzeba iść do tego cholernego kościoła. Stary się wykręcił, że go niby w krzyżu łupie, bo się na działce przeziębł. Ale młodzi iść muszą. Że starą. Ona nigdy nie odpuści niedzielnej mszy. Wieśniara moherowa. I jeszcze na tacę da, całe dziesięć złotych, albo i dwadzieścia, zamiast młodym kieszonkowe. Żeby ksiądz proboszcz miał na benzynę do swojego merola. Ale starej nie przetłumaczysz. Bo ona ciemna jest i nic nie kuma.

Niedziela słoneczna jest i pogodna, zaraz sąsiedzkie ro-
dzinki z bloku przy ulicy Żelaznej powędrują do kościółka, żeby dać na tacę i przykucnąć podczas podniesienia, zamiast uklęknąć, żeby odświętnego bazarowego garniturku nie uwalac piachem i błotkiem, zanim wysłuchają ogłoszeń parafialnych o możliwości udania się na pielgrzymkę do Medjugorje autokarem, w drugiej połowie listopada, a na wiosnę do Lichenia. Na korytarzu rozlega się wrzask i drzwi trzaskanie, brzęk kluczy, nawoływania, szepty i pi-
ski najmłodszych pociech, stukanie lasek. Idą.

Poszli. Uff. Zostali tylko mężowie, których łupie w krzy-
żu lub męczy kac, oraz ogarnięci demencją dziadkowie,

z którymi nie wiadomo co począć - oddać do domu starców, czy nadal tyłek im podcierać i smród siusiek wachać. Zanim matki powrócą z kościoła, żeby podać niedzielny obiad, jest chwila spokoju, z której skwapliwie skorzysta Joanna H. Zaparzy herbatę i sprawdzi maile. Może Njujorker coś napisał o wyjeździe do Drezna. Albo lepiej - o tym, co będą tam razem robić i jak. Niestety, zamiast nowych wieści nieznośny komunikat: NIE MASZ ŻADNYCH NOWYCH WIADOMOŚCI.

Znowu nic. Zamilkł. Może już się nie odezwie. Na pewno się nie odezwie, bo po co miałyby się odzywać do kogoś takiego jak ona. Poza tym o tej porze to on jeszcze śpi. Ale może się obudził i odpowie na jej pytanie: „Co robisz?”.

Masturbuję się - tym razem odpowiedź przyszła szybko, za szybko. Była krótka, jednoznaczna i nie zachęcała do zadawania dalszych pytań.

Takich rozmów Joanna nie zamierza prowadzić ani z nim, ani z nikim innym. Nie zamierza też kontynuować tego wątku. Dobrze wie, że traktuje ją jak głupią gąskę, którą bardzo łatwo zbić z tropu, więc chce ją sprowokować. Ale tym razem mu się nie uda. Nic nie odpowie na jego prowokację i to będzie najlepsza odpowiedź. To jedyna metoda na kogoś takiego jak Njujorker. Nie reagować. No i chyba nie spotka się z nim. Po co miałyby spotykać się z kimś takim. To byłoby zbyt ryzykowne. Nie może mieć pewności, że tam po drugiej stronie kabła nie siedzi jakiś zboczeniec, obrzydliwy staruch śliniący się do młodej jeszcze kobiety. Bo ona jest młoda. No może nie całkiem

już, ale jeszcze nie stara. Może trochę zaniedbana, ale to z braku pieniędzy. Ostatnio jej się nie wiedzie. Ale to się zmieni. Znalazła pracę i teraz wszystko będzie lepiej. Najważniejsze, że będzie miała na czynsz i na światło. Ale musi oszczędzać i w związku z tym nie powinna wydawać pieniędzy na bilet.

Ale - patrząc na to z innej strony - jeśli nie pojedzie do Drezna, to się nie przekona, kim naprawdę jest Xawery Stadnicki. Czy jest paskudnym, zboczonym starcem, czy uroczym, wrażliwym panem w średnim wieku. No może więcej niż średnim. Ten głos w słuchawce był mocno dojrzały. Trochę z innej epoki. I jeszcze to „r” wymawiane z francuska. Ale przecież nie szukała młodzieńca. Miał być dojrzały mężczyzna i jest. I chyba nie jest możliwe, żeby to był jakiś zboczeniec. Ale jeśli wszystko z nim w porządku, to dlaczego jest samotny? Może w jego przydomowym ogródku pochowane są ciała kobiet, które zwabił do siebie, a następnie wykorzystał i zamordował? Przecież nie można wykluczyć takiej ewentualności? Xawery może być dewiantem. W każdym razie ostatnie rozmowy z nim na to właśnie wskazują.

Rozdział dziewiąty

BERLIN HBF

Wtorek, 2 listopada

Joanna wreszcie podjęła decyzję: pojedzie. Tylko najpierw musi bilety kupić. Ale jak? Gdzie? Przez Internet. Oczywiście. Bo nie na dworcu. Z pewnością nie na tym śmierdzącym, komunistycznym dworcu, gdzie zimno jak w grobie, a trupie światło jarzeniówek nadaje wszystkiemu siłą barwę rozkładu. I ludzie jak złe duchy krążą, naładowani agresją i nienawiścią. A wokół dworca zamiast miasta jest pusta przestrzeń ogromnego, nikomu niepotrzebnego placu. Zatem na pewno nie na dworcu. Na dworzec trzeba będzie pójść dopiero w dniu wyjazdu. Ale ani minuty wcześniej.

Jeszcze tylko kilka dni i wreszcie wyruszy w podróż do Berlina. Bo tam się mają spotkać. I wtedy będzie jej wszystko jedno. Więc może być Dworzec Centralny, nawet Zachodni też może być. Byle dalej na Zachód. Nach Lichtenberg. Mehr Licht, zdecydowanie mehr. I dalej S-bahnem na Hauptbahnhof, co jest jak Hauptsturmführer

SS, a potem już do Dresden, prosto w objęcia Njujorkera. Seks - wycieczki cel właściwy i jedyny. Jego ramiona. Jego zapach. No właśnie, jak on pachnie? Jaki zapach wydzieła, gdy jest podniecony i chce się kochać? Jaki w trakcie? Jaki po?

Tylko dlaczego właściciel tych ramion, zapachów, tego ciała wyśnionego, uparcie milczy, zamiast wzywać ją? Czekać na nią. Śnić nie musi. Bez przesady. Księżniczką Joanna H. z całą pewnością nie jest.

Nie zamilkłem, zlituj się. Mam za przeproszeniem urwanie jądra przed wyjazdem i dlatego Cię zaniedbałem. Przestań z tym, że się nie spotkamy. Będę na Ciebie czekał na dworcu w Berlinie. Napisz, kiedy przyjedziesz i jakim pociągiem. Napijemy się i pogadamy. Jak ja tego nie zrobię, to ktoś inny powinien porządnie skroić Ci pupę za tę niecierpliwość... pa, lecę dalej, i podaj mi numer swojego mobilnego telefonu. Jestem staroświecki, nie używam tego sprzętu, chyba że muszę. Więc podaj mi swój numer, proszę. TAKE IT EASY!

A więc spotkają się już w Berlinie! Tam będzie na nią czekał. Przyjedzie po nią wypożyczonym samochodem. Ten wspaniały mężczyzna, miłośnik i znawca starych automobili.

Tylko pamiętaj, kochany, że przyjeżdżam jednak na Hauptbahnhof! Do Lichtenbergu polskie pociągi dojeżdżały kiedyś. Teraz można dostać się do samego centrum

tej zrosniętej z dwóch kawałków stolicy. Czeka tam na mnie. Nie spóźnij się. To duży dworzec, łatwo się zgubić. Łatwo też się nie spotkać. Zwłaszcza z kimś, kogo się nigdy przedtem nie widziało. To już tylko kilka dni! Nie mogę się doczekać. Umieram z ciekawości, jak naprawdę wyglądasz.

Joanna

Następnego dnia niespokojna, niecierpliwa i pełna nadziei otworzyła swoją internetową skrzynkę i nic w niej nie znalazła. A więc znowu zamilkł, nie odpowiedział na jej maila, w którym podała mu wszystkie szczegóły dotyczące podróży i jeszcze napisała, że nie może się doczekać spotkania z nim, a w domyśle tego, co było celem tego spotkania. Idiotka. Takich rzeczy nie pisze się facetowi, którego nie widziało się na oczy. Zrezygnowana wróciła do codziennych zajęć, jednak około dziesiątej coś kazało jej sprawdzić pocztę ponownie. Wiadomość była krótka i elektryzująca:

Pojutrze lecę do Dresden. Przez Frankfurt. Czy w Twoich planach coś się zmieniło? O której będziesz w Berlinie?

Nic się nie zmieniło, skądże. Jeśli on naprawdę chce, to Joanna przyjedzie na pewno. Spędzą całe pięć dni w Dresden, a raczej w Dreźnie - może jednak lepiej trzymać się polskiej nazwy, wszak nie są Niemcami, prawda? Chociaż kto wie, może Xawery Stadnicki jest Niemcem, przynajmniej w jakiejś niewielkiej części? Arystokraci mają

rozmaitych przodków. Arystokratą z całą pewnością jest Tunio. Ale z Tuniem Joanna H. nie zamierza się spotykać, bo Tunio to przeszłość, z którą Joanna zerwała. Na zawsze i nieodwołalnie. Natomiast Xawery, który nie wiadomo kim tak naprawdę jest, wydaje się być odpowiednim partnerem na nowe czasy. Więc czekaj na mnie Xawery w Berlinie na Hauptbahnhof!

Dość tych dywagacji. Nie miała czasu do stracenia. Musiała zameldować sekretarce Heni o potrzebie uzyskania audiencji u wszechwładnej Katarzyny Niewiadomskiej. A potem naopowiadać teź o problemach z matką i poprosić o urlop. Tylko kilka dni, ale teraz, konieczne teraz. Bo później może być za późno. Wie pani, jak to jest ze starymi ludźmi. I jeszcze do tego chorymi. Na demencję. Na Alzheimera, na przykład. Trzeba szybko działać, umieścić matkę w domu opieki. Pod dobrą opieką. Żeby sobie krzywdy nie zrobiła, albo innym. A do tego niezbędny jest urlop, oczywiście bezpłatny i tylko kilka dni, na początku listopada, w martwym sezonie jakby nie było. W zamian za to Joanna przyjdzie do pracy w Wigilię i w Sylwestra.

Wszak nigdy nie była religijna. Przecież nawet nie jest ochrzczona. Rodzice nie widzieli takiej potrzeby. I słusznie. Chwała im za to, na wieki wieków amen. Więc nic dziwnego, że świąt żadnych Joanna H. nie obchodzi. I obchodzić nie zamierza. Nie ma w tym żadnego sensu, by z hukiem (i to niemałym) świętować nadejście Nowego Roku. Bo z czego tu się cieszyć? Że lat nam przybywa? Że śmierć coraz bliżej? I starość, co gorsza. Wszystkie te zmarszczki, demencje, pampersy. Szkoda gadać.

Niewiadomska przeszkód nie widzi. Urlop od zaraz - cały tydzień. Ale bezpłatny, bo płatnego jeszcze Joanna nie wypracowała. Proszę bardzo. Tym bardziej, że ta prezentacja była bardzo dobra. Świetnie przygotowana. Szefowa umie docenić podwładną i pójść jej na rękę, kiedy trzeba. Więc teraz tylko zostawić podpisany wniosek w sekretariacie u pani Heni i można wracać do domu. Jak najszybciej. I zacząć gorączkowe przygotowania do spotkania z mężczyzną, który zaprzętał jej myśli od wielu miesięcy.

Joanna odsłoniła secesyjne tremo ciotki Bronki. Żeby się w nim przejrzeć. W całości. Żeby się z tą całością zmierzyć, stanąć z nią oko w oko. No nie, w całości się jednak nie da! Nie wszystko naraz. Trzeba po kawałku. Powoli. Na pierwszy ogień - twarz. Zaczniemy od twarzy. To dobry pomysł, bo co tu kryć, ta ostatnia prezentuje się znacznie lepiej od reszty. Od tego paskudnego ciała, białego i rozlazłego. Ale nawet jej twarz, dawniej całkiem, całkiem, jakby zbrzydła. Worki pod oczami, zmarszczki, plamki i przebarwienia - wszystko to nabrało znaczenia. Jeszcze gorzej prezentowała się zawartość szafy, a najgorzej odbicie jej sylwetki w secesyjnym tremo, które było niegdyś własnością Bronisławy H., *primo voto* Szabli. Za duże piersi w kształcie gruszki (od momentu pojawienia się na jej ciele były traktowane przez swą właścicielkę jak niechciana narośl) i na domiar złego pupa za szeroka, za to nogi za krótkie. Nic dziwnego, że nikt sensowny, a tym bardziej seksowny, jej nie chciał. I jak tu się pokazać artyście, przyzwyczajonemu do piękna gotyckich madonn,

z których pracowicie usuwał piętno czasu. Z nią taka sztuczka się nie uda. A zresztą on to robił tylko dla pieniędzy, te madonny w kościołach. A czym ona mu zapłaci za usługę konserwatorską? Bo wszak o to jej chodziło - by ją odkrył, wydobył, wypiękniał...

Najważniejsze to znaleźć odpowiedni stanik, żeby zmniejszyć piersi, a jeśli naprawdę zmniejszyć je można tylko za pomocą skalpela, a nie stanika, trzeba dobrać taki, by te dwie obwisłe gruszki nie zwracały uwagi i chociaż przez chwilę wyglądały na nieco mniejsze. Spodnie wszystkie za ciasne, bo pupsko urosło od siedzenia za biurkiem. Trudno, w tych beżowych, zupełnie nieodpowiednich na jesienne pluchy, i tak wygląda najlepiej. Jakieś takie zgrabne są, kupione dwa lata temu w Leeds albo w Yorku (gdzie dokładnie Joanna nie pamięta, bo w czasach świetności swej akademickiej kariery co roku latała do Anglii i wtedy nie przywiązywała do tego dużej wagi). W każdym razie u Marksa i Spencera, podczas letniej wyprzedaży. Naprawdę fajne portki, do tego będzie pasował trykot w kolorze marengo i mały czarny sweterek z rękawami trzy czwarte. Znakomicie. Wszystkie gruszkowate wypukłości gdzieś się pochowały. Bilety już kupione. Rano wyruszy na dworzec. Taksówką, żeby się nie spóźnić. Rano zawsze najtrudniej się dobudzić. Dwa budziki nastawi. I długo nie będzie mogła zasnąć. Przez tę gonitwę myśli. Natrętnych i niepotrzebnych. Zupełnie bez sensu.

Piątek, 5 listopada

Zdenerwowana brakiem waluty i - co za tym idzie - tym, że będzie w pełni zdana na obcego mężczyznę, potrząsana w rytmie ostrych hamowań w wykonaniu dziarskiego taksówkarza wiozącego ją na Dworzec Centralny, uświadomiła sobie, że spotkanie, na które tak czekała, nie ma najmniejszego sensu. Przecież to randka w ciemno. Ona go nie zna. Ani on jej. I może nie zapragnie. I do niczego nie dojdzie. Między nimi. Człowiek to nie maszyna. Tu potrzebne są fluidy Feromony. Język zapachów, hormonów, tajemniczej aury. Biochemia. Całe to gadanie, pisanie i zdjęć oglądanie nie ma sensu, jeśli nie ma chemii. A chemii z całą pewnością nie ma w Internecie, w słowach jej nie ma. W mailach nie ma jej tym bardziej. Nawet w rozmowach przez telefon. Bo chemia to jest ciało, jego zapach i smak, i wygląd niestety też.

Pociąg zapowiedziano w trzech językach. Uroczyście i z dobrym akcentem. Eurocity „Varsovia”. Do stacji Berlin Hauptbahnhof. A jeszcze nie tak dawno pociągi z Polski nie były wpuszczane do centrum Berlina. Na Hauptbahnhof polskich pociągów nie było. A teraz już są. Ale to wszystko nieważne, skoro w Berlinie będzie czekał na nią TEN mężczyzna.

* * *

Gdy wysiadła z pociągu, zaczęła się nerwowo rozglądać. Sami nieznajomi. Niemcy. Szwargotali po swojemu. Jak to Niemcy. Polacy trzymali fason, zaznaczając swoją

odrębność i wyjątkowość za pomocą wąsów i niewyczyszczonych butów. Jak to Polacy. Jedni i drudzy w pośpiechu opuszczali peron.

Jednak na nią nikt nie czekał. Żaden mężczyzna. Przystała na peronie. Sięgnęła do kieszeni. Niestety, na wyświetlaczu jej telefonu komórkowego nie było ani żadnej wiadomości, ani informacji o nieodebranych połączeniach. Więc ją wystawił. Tak po prostu. Można było się tego spodziewać. Mogło być jeszcze gorzej - był tu, zobaczył ją i uciekł. Bo mu się nie spodobała.

Wobec tego pójdzie teraz do kasy i kupi bilet powrotny. To wszystko, co można zrobić w takiej sytuacji. Bardzo nieprzyjemnej, takiej całkiem niehalo, jak to się od pewnego czasu mówi. Szła powoli, z trudem ciągnąc za sobą walizkę. Najgorzej było wgramolić się na schody ruchome. Dobrze, że się nie umalowała, bo jeśli za chwilę zacznie ryczeć, to się przynajmniej nie rozmaże. Tylko jakoś nie wypada płakać, gdy wszędzie pełno ludzi.

Tłumy ludzi, ściany ze szkła, schody ruchome, sklepy, gwar. Rozglądała się za napisem - INFORMACJA. Chociaż po niemiecku to będzie zupełnie inne słowo. Chyba AUSKUNFT, czyjakoś tak. O jest! REISEBURO - brzmi znacznie bardziej zachęcająco, prawie jak reisefiber, ta podróżna gorączka, na którą cierpiała od kilku dni. Bóg wie czego się spodziewała. Może kwiatów na powitanie albo pocałunków. Odrobiny czułości. Zamiast tego powitaniem była nieobecność. Coś co dobrze znała.

Za szybą Reisebiuro panowie średnim wieku sprzedawali podróżnym bilety. W Polsce mężczyzna może

sprzedawać samochody albo narkotyki, ale nie bilety w kasie na dworcu. Takie marne posady zarezerwowane są wyłącznie dla płci pięknej. Wszystko dla pań, panowie. Wszystko co najgorsze, ma się rozumieć.

Spoconą dłońią wyjęła z kieszeni płaszcza telefon. Tylko dlaczego miała spocone dłonie, dlaczego była cała mokra? Przecież nigdy się nie poci, a jej dłonie są zwykle idealnie suche. To pewnie z emocji. Ale czym się tu emocjonować? Tym, że ktoś sobie z niej zakpił? Nie przyszedł na umówione spotkanie. Trzy nieodebrane połączenia. Od kogóż to? Kto się może do niej dobijać? Numer nieznany.

- Kto mówi? Nic nie słyszę, jestem za granicą. Proszę zadzwonić za kilka dni. Jutro proszę zadzwonić. Jutro będę z powrotem w Warszawie. Kto? Nic nie słyszę, proszę się rozłączyć! - wykrzyczała.

Zaraz kupi bilet powrotny i wsiądzie w pierwszy lepszy pociąg. Może być nawet z pięcioma przesiadkami, byle od razu. Byle zapomnieć o tej przykrej przygodzie. O tej pomyłce, upokorzeniu kolejnym, idealnie pasującym do jej prywatnej kolekcji upokorzeń, rozrastającej się, zwłaszcza ostatnimi czasy, do całkiem pokaźnych rozmiarów.

Znowu telefon szaleje, tym razem w torebce. SMS-a ktoś przysłał. Czego chce, do jasnej cholery, ten numer nieznany?! „Gdzie jesteś? Szukam cię! Dlaczego uciekłaś?”. Trzeba było się nie spóźniać! Nie nauczyli cię, że na spotkanie z kobietą nie wolno się spóźniać, że kobieta nie powinna czekać? „Daj mi szansę, proszę. Gdzie jesteś?”.

No dobrze, powie mu, gdzie jest, ale nie wie, czy to coś da, bo tu jest tyle sklepów, a wszystko jakby zawieszono

na szklanych szelkach. Ludzie, perony i schody ruchome. I ona też. Powie mu, że jest chyba na drugim poziomie, albo na trzecim, i że tu jest Reiseburo, a ona stoi w kolejce, żeby bilet powrotny sobie kupić. Stoi w niezbyt długiej niemieckiej kolejce po bilet powrotny. Nikt jej nie popycha, wszyscy są uprzejmi i na miejscu, nie to co w Warszawie, gdzie wszystko jest na opak. I jest jej wszystko jedno. Już nie wie, dlaczego tak jej zależało, żeby go spotkać. Już jej nie zależy.

Odruchowo odwróciła się za siebie i zobaczyła wysokiego mężczyznę o siwych włosach. I do tego z brodą. Rozglądał się nerwowo. Poprawiał okulary na nosie. To mógł być on. Chociaż na zdjęciach nie miał brody. Jest starszy, sporo starszy od niej. Jeśli oczywiście to jest on. Wygląda na Niemca. Te złote okulary, różowa cera. Świński blondyn. Jaki tam blondyn! On jest siwy. Starzec. Zupełnie jak Stary H. Też zawsze był stary i siwy. Ten brodaczy zdecydowanie nie miał w sobie nic z Polaka. No może to, że miał nie tylko brodę, ale i wąsy. Właśnie po wąsach łatwo można rozpoznać Polaków, zwłaszcza tych starszych. Ale Niemcy pewnie też czasem zapuszczają wąsy. Jeśli akurat mają taki kaprys i chcą wyglądać jak Polacy. Więc to wcale nie musiał być on. Tylko ktoś zupełnie inny. Może nawet lepiej, żeby to nie był on, bo inaczej go sobie wyobrażała. Jakoś tak bardziej nobliwie. Spodziewała się OLŚNIENIA. A ten tu był całkiem zwyczajny. A jednak nie odrywała wzroku od mężczyzny, który mógł, ale nie musiał być jej internetowym znajomym. Stała bezradnie i czekała nie wiadomo na co.

I wtedy brodacz skinął do niej głową. I ruszył w jej kierunku. To z pewnością był on! Z każdym krokiem coraz wyraźniej widziała jego ironiczny uśmiezek. Zblazowany cynik, niestety. A jednak! A ona, idiotka, przez te wszystkie miesiące miała nadzieję, że tam po drugiej stronie siedzi ciepły, czuły mężczyzna. Że tam siedzi człowiek. A siedział ten obcy facet, przed którym chciałyby teraz uciec jak najdalej. Już po tym telefonie, gdy składał jej wulgarnie propozycje, powinna się zorientować, z kim tak naprawdę ma do czynienia, przejrzeć na oczy i jak najszybciej o nim zapomnieć. Teraz będzie musiała jednak kupić bilet powrotny i wrócić. Wrócić. Volver! A więc w tył zwrot! Raz, dwa, trzy. Kto późno przychodzi sam sobie szkodzi! Postanowiła udawać, że to nie ona, że to pomyłka jakaś jest!

- Hej! To ja, nie poznajesz mnie?!

A jednak odwróciła się. Machinalnie. Mężczyzna stał naprzeciw niej. Natychmiast przycisnął ją do siebie serdecznie. Miał szerokie ramiona i mocy uścisk. Był wysoki, dużo wyższy niż się spodziewała. Poczowała zapach jakiejś dobrej wody kolońskiej. Zawsze chciała, żeby tak pachniał jej mężczyzna, i żeby był dojrzały i podobny do Starego H. A Xawery spełniał wszystkie te warunki. Joanna nagle zapragnęła znaleźć się z nim sam na sam, bez tych wszystkich ludzi, i żeby to co było dotąd wirtualne, stało się realne. I to jak najszybciej.

Niestety nieśmiałość i te okropne zahamowania znowu spętały w niej wszystko. Stała z opuszczonymi rękami przed Reisebiuro na berlińskim dworcu. W obcym kraju, w obcym mieście, wśród obcych ludzi. I wcale nie

pomagała jej świadomość, że to trudne spotkanie z realnym mężczyzną - takim, co ma brodę, zapach - było spełnieniem wszystkich jej marzeń i snów, a on był taki, dokładnie taki, jak pragnęła.

Wymarzony mężczyzna, który dotąd był jedynie internetowym widmem, tekstem wyświetlającym się na ekranie, z miejsca wziął się do dzieła, bez żadnego niepotrzebnego owijania w bawełnę. Objął ją w pasie i szeptał jej do ucha przeproszające słowa, że zabłądził trochę w mieście, które jednak nie za dobrze zna, a potem nie mógł znaleźć miejsca do zaparkowania, i że się martwił, że ona mu ucieknie. Że sobie gdzieś pójdzie. Albo do Warszawy wróci.

- Straszny jesteś nerwus i niecierpliwek. Myślałaś, że nie przyszedłem, że cię wystawiłem. A ja tu biegłem jak głupi, aż się spociłem.

Dotykał przy tym jej policzka wargami oraz językiem. Czuła jego gorący oddech i zapach ciała. Przecież tyle razy zastanawiała się, jak on pachnie, gdy jest podniecony. Czy to jest miły zapach, czy odpychający. Był podniecający. Od tego zapachu, szeptów, muśnięć, od tego wszystkiego, czego nie umiała nazwać, drżały jej kolana, napinały się pośladki, sztywniały sutki, a w majtkach robiło się wilgotno. Czuła się zażenowana. Spotkanie z Xawerym było znacznie trudniejsze, niż się spodziewała. Bo nie potrafiła się odnaleźć w tej sytuacji, chociaż jej ciało potrafiło i już odczuwało przyjemność. Było gotowe na więcej, na znacznie więcej. A ona chociaż wiedziała, a właściwie miała pewność, że nie było na co czekać, że to był właśnie ten mężczyzna, że znalazła to, czego szukała, a czego jej życie

odmawiało tak długo, i że teraz trzeba tylko puścić hamulce i się poddać, nie była w stanie wykrztusić z siebie ani jednego słowa, zrobić żadnego kroku.

Mężczyzna rozpiął jej płaszcz. Nie wiadomo po co. Może chciał się kochać tu na dworcu, na oczach przechodniów. Takie praktyki są chyba niedozwolone, nawet w Berlinie, który słynie z parad miłości. Miała nadzieję, że ten obcy człowiek spojrzy jej w oczy, że chociaż na chwilę podniesie wzrok. Że nie będzie jej traktował wyłącznie jako obiektu seksualnego. Niestety, Xawerego bardziej interesowały jej piersi i pośladki, na których właśnie położył dłonie. To był szczyt bezczelności - obcy facet dotykał jej tyłka w hali głównej dworca kolejowego Berlin Hauptbahnhof, na oczach dość licznych i z pewnością zdumionych niemieckich podróżnych! A ona stała jak idiotka - bezradna, zaczerwieniona ze wstydu, a może raczej z podniecenia. Ogarnął ją gniew. Na niego? Raczej na samą siebie. Że jest taka głupia i beznadziejna, że sama nie wie, czego chce, że nie potrafi się przyznać do swoich pragnień, być szczerą sama ze sobą, odpowiedzieć na pierwszą pieszczotę, dać się ponieść emocjom. Przecież mężczyzna robił dokładnie to, o czym marzyła po nocach od kilku miesięcy. Dobierał się do niej od pierwszej chwili, bez pardonu. Żadnego tam spoglądania w oczy, konwencjonalnych słów powitania. A może to powinno budzić wstręt - ta broda, ta pewność siebie? Ale nie budziło. Jednak w końcu udało jej się opanować ciało i siebie samą i wykrzyknąć:

- Nie przy ludziach!

Wyrwała się i ruszyła przed siebie pospiesznym krokiem, wystukując swoje nie do końca prawdziwe oburzenie uderzeniami obcasów o posadzkę. Tak jest, założyła buty na obcasach, żeby wydłużyć nogi! Żeby się lepiej poczuć, nabrać pewności siebie. A teraz strasznie ją te buty cisnęły i najchętniej by je zdjęła i poszła boso.

Xawery wcale jej nie gonił. Został tam, gdzie go zostawiła i przyglądał się jej z rozbawioną miną. Uważnie obserwował ruchy jej pośladków, zastanawiając się, jak będą drgać za kilka godzin, kiedy ta rozhisteryzowana kobieta wreszcie się uspokoi i pozwoli się zaspokoić. Patrząc na jej rozkołysaną sylwetkę, nabierał pewności, że się nie pomylił. Że oprócz inteligencji i ładnej buzi Joanna H. posiadała ciało, które wzbudzało jego pożądanie. Miała niezłą pupę i chyba całkiem spore piersi. Tylko po co, u diabła, nosiła za małe staniki?!

„Jest dobrze” - pomyślał. Już wiedział, że wieczorem popracuje nad nią, popieści ją, a potem namaluje jej akt. Pewnie zrobi jej dziecko, jak nie teraz, to trochę później. Jest jeszcze wystarczająco młoda, żeby urodzić. A do tego jest niebrzydką kobietą, chociaż nie zdaje sobie z tego sprawy. Może to i lepiej. Ale zanim to wszystko nastąpi, ona musi się rozluźnić, żeby przyjąć wszystkie pieszczoty Xawerego, żeby się kochać naprawdę, bez tych wszystkich ograniczeń, śmiesznych uprzedzeń. Żeby się nie wstydzić pożądania, żeby wypiąć pupę, żeby nią kręcić, żeby rozwierać nogi, eksponować to, co jest pomiędzy nimi, żeby w odpowiedniej chwili powiedzieć swojemu mężczyźnie: „o tak, właśnie tu, teraz mocniej, szybciej, nie zwalniam,

tu mnie pocałuj, no wiesz gdzie". I żeby używać czasem wulgarnych słów, bo to pomaga dojść, obojgu. Ona tego wszystkiego nie potrafi i nie rozumie co i jak, ale się szybko nauczy. W końcu dostała najlepszego profesora!

Już wiedział, że nie będzie się specjalnie udzielał na tym sympozjum. Ma tylko jeden krótki referat i dlatego jutro będzie musiał pójść na uniwersytet. Może nawet weźmie ją ze sobą, niech posłucha. Niech zobaczy, nad czym on pracuje, jakim wybitnym jest fachowcem, jakim profesjonalistą. Ale i tak stracą kilka cennych godzin. Tych najcenniejszych, bo spędzonych w łóżku. A mają zaledwie pięć dni na całe to kochanie. To niewiele po tylu miesiącach nerwowego romansu.

Że względu na różnicę czasu pisał do niej głównie z pracy, więc czasem się niecierpliwiła, gdy odpowiadała z opóźnieniem. Obrażała się. Stroiła fochy. Bardzo go to podniecało, te jej odpowiedzi nadąsane, pełne pragnień i oczekiwania na coś więcej. Po przeczytaniu jej maili, często musiał wychodzić do łazienki, żeby się spuścić i móc dalej pracować. Wzięło go. A już myślał, że coś takiego mu się nie przytrafi. Teraz musi jej dogodzić. Ona na to zasługuje. On tym bardziej. Chyba, że znowu mu nie wyjdzie. To się niestety zdarza facetem w jego wieku. Normalna rzecz. Dzisiaj będzie dobrze. Żadnych nieprzyjemnych niespodzianek. Najpierw jednak trzeba ją dogonić, bo zaraz ucieknie z tą walizką.

Podszedł do niej wolnym krokiem, uśmiechnął się jak kot i zaproponował, by razem poszukali jakiejś toalety.

- Strasznie chce mi się sikać - szepnął jej do ucha.

Jego szczerość dopełniła czary goryczy.

- To nie ma sensu. Pomyliłam się.

- Co nie ma sensu?

- Nasze spotkanie. Nigdzie z tobą nie pójdę. Wracam do domu. Do Warszawy.

- Uspokój się. Wszystko jest w porządku. Podobasz mi się. Znajdźmy tylko klozet, bo się zleję i będziemy mieli kłopot.

To ostatnie wyznanie rozśmieszyło ją i rozluźniło. Znowu miała ochotę na rozmowę z Bezsennym. Weszli do małej knajpy na dworcu.

- Czekaj tu na mnie, zamów kawę, bo się muszę napić przed podróżą. Ja idę się wysikać, ale ty mi nigdzie nie uciekaj!

Xawery zaraz poszedł opróżnić pęcherz, a Joanna zamówiła dwie kawy. Gdy wrócił i usiadł, zaczęła mu się bacznie przyglądać. Na zdjęciach wyglądał młodziej. O wiele młodziej. Młodziej od Tunia, w każdym razie. Chyba trochę ściemniał w tych mailach. I przysyłał zdjęcia sprzed kilku lat.

- Właściwie to ile ty masz lat? - zapytała zaczepnie.

- A ty? - najwyraźniej był zaskoczony jej pytaniem.

- Niedługo stuknie mi czterdziestka. W przyszłym roku.

- To jednak mógłbym być twoim ojcem.

- Eee, chyba niezupełnie.

- W samochodzie mam paszport, pokażę ci.

- Przecież nie muszę ci zaglądać w dokumenty.

No tak, to dlatego pisał o tym, jak - patrząc w lustro - postanowił, że nigdy nie będzie starym mężczyzną. Ale

przecież już nim jest. On jest starcem. A nawet jeśli jeszcze nie jest, to już niedługo będzie. Nie da się przed tym uciec, bo to jest bardzo blisko, znacznie bliżej niż by sobie tego Xawery życzył. I nie ma wielkiego znaczenia, że jego twarz jest jeszcze dosyć gładka, bo już widać, że Xawery nie tylko pierwszą młodość ma za sobą, ale drugą również. A trzecia młodość jest jak to trzecie kłamstwo z piosenki Bułata Okudźawy - „Więcej rani cię niż na wojnie wróg”. Tak bardzo chce się być młodym, że staje się to śmieszne. No ale póki co jego twarz jest opalona i przez to wygląda młodziej.

Procentuje ten tygodniowy pobyt na Kubie. Zapamiętała dwa maile z Varadero. *Konzentrationslager Varadero, communist Cuba*. Straszny grajdoł, ale przynajmniej udało mu się tam „pospać niekiepsko”, o czym nie omieszkała jej donieść. I zapewne zaliczyć pewną liczbę kobiet. Robił przecież jednoznaczne aluzje w mailu pisanym po powrocie, wspominając rudą kotkę, która nachodziła go zawsze, gdy wracał do swego blaszanego domku sam, bez kobiety.

A może on już wstrzykuje sobie botoks, przecież to bardzo popularne u nich, w tej Ameryce? To właściwie byłoby bardzo śmieszne, gdyby było prawdą. Ale przecież go o to nie zapyta, bo się obrazi i ją zostawi - tutaj, w tej knajpie. Niestety jest bardzo drażliwy na swoim punkcie. To już wiedziała. I wiedziała też, że panicznie boi się stracić tego mężczyznę. Już nie internetowego, lecz rzeczywistego, z którym będzie się kochać za kilka godzin.

Rozmowa nie kleiła się. Joanna poczuła się senna. Za-uważył to natychmiast.

- Może pojedziemy już, co? Czeka nas długa droga.

- Najwyższy czas - odpowiedziała.

Gdy wyszli z kawiarni, on wziął jej walizkę, a drugą ręką trzymał ją pod ramię. Jak mąż. Próbowwała dotknąć wnętrza jego dłoni, mając nadzieję, że przepłynie między nimi jakaś elektryczna fala. Przepłynęła natychmiast. Znowu krew napływała jej do głowy, uszy i policzki robiły się czerwone. Bolało ją w podbrzuszu. To z tego podniecenia, które bezskutecznie starała się opanować. Chyba też coś poczuł. Poczuli, co się z nią dzieje, bo powiedział:

- Cierpliwości. Przecież chyba nie zrobimy tego na ulicy - mówiąc to, uśmiechnął się znacząco.

Dziwnie się czuła, idąc z nim pod rękę. Nigdy przedtem żaden mężczyzna tak jej nie prowadził. Elegancko i szarmancko. Zdecydowanie i delikatnie. Puszczając przodem, kiedy należało. Jak w tańcu. Siadając obok niego w samochodzie, nadal czuła nieprzyjemny ból w podbrzuszu. Gdy ruszyli, stwierdziła, że niespokojny mężczyzna prowadził całkiem spokojnie. Jadąc przez miasto, przyspieszał i zwalniał płynnie, hamował łagodnie, niemal niezauważalnie. Lubiła taką elegancką jazdę. Gdy wyjechali z miasta, od razu zasnęła.

Zaparkował w zaniedbanym ogrodzie jakiejś starej willi. A więc byli w Dreźnie, a to był pewnie dom jego przyjaciół, którzy teraz byli na wakacjach. Pisał jej o tym w mailach.

- Czy to jest ten dom, o którym pisałeś mi w mailu? - w jej głosie dźwięczała nuta niepokoju.

- Nie martw się, gospodarze są daleko, wrócą za dziesięć dni, kiedy nas dawno tu już nie będzie.

Gdy weszli do willi, stanęła w przedpokoju i znowu nie miała odwagi pójść dalej. Nogi jej zeszywniały. Czerwieniła się, nie wiedziała, co ze sobą począć.

- Może coś zjemy najpierw? - wystękała nieśmiało.

- Nie teraz - odpowiedział, zdejmując granatowy sweter, pod którym niczego nie miał. Stali naprzeciw siebie. On skupiony, jakby trochę nieobecny. Z właściwą sobie bezczelnością zdjął z niej sweterek i trykot, a potem cały jej misterny plan legł w gruzach, bo wziął się za rozpina- nie stanika. Jej ostatniego bastionu.

- Może najpierw pójdę się umyć, jestem prosto z drogi? - zapytała z nadzieją w głosie.

On jednak całkowicie zignorował tę uwagę, a właściwie prośbę. Badał jej piersi. Te obrzydliwe wielkie gruszki. Jego twarz zaczerwieniła się. Był wyraźnie podniecony.

- Masz bardzo ładne piersi. Jak gruszki. To na mnie działa, chyba widać, co? Tylko stanik masz źle dobrany. Miseczki za małe. O, tak jest lepiej. Niech sobie swobodnie podyndają. Jutro pójdziemy dobrać stanik, nie można chodzić w czymś takim.

Chciała powiedzieć coś, co odwróciłoby uwagę od jej ciała, ale głos uwiązł jej w gardle. Była zażenowana. Z każdą chwilą coraz bardziej. A on dalej komentował to, czego nie należało nawet zauważać. Mówił o tym, czego starała się nie widzieć w lustrze. Przecież właśnie dlatego ukrywała piersi, żeby nie było widać, jak naprawdę wyglądają, a nie jak chciałyby.

- Wspaniałe duże sutki. Jeszcze takich nie pieściłem. Takich dużych. Potem je namaluję, dobrze? Jutro zrobię pierwsze szkice. Namaluję twój akt, zgoda?

- To ty malujesz? Nie wiedziałam.

- Potem o tym porozmawiamy - odpowiedział.

Trzymał w dłoniach obie jej piersi, pochylił się nad nimi, dotykał je wargami. Drapał ją wąsami i zarosniętymi policzkami. Co za pomysł nosić brodę! A jeszcze głupszy pomysł to oddać się mężczyźnie już na pierwszej randce! Właśnie to robiła i nic już nie mogło tego zatrzymać, za kilka minut on zawładnie nią całkowicie. Będzie przed nim wypinać pupę, jęczeć i błagać, by nie kończył za szybko. A potem, żeby powtórzył, jeśli tylko będzie mógł. A jutro pozwoli, żeby robił szkice do jej aktu, żeby malował jej piersi, ją całą. I wtedy poczuła, że coś z niej wypływa. To chyba nie był śluz. Wyrwała się z objęć. Jej beżowe spodnie zaczerwieniły się w kroku. Nie wiedziała, co się stało. Była zdezorientowana. Przecież do miesiączki zostało jeszcze dziesięć dni. Nigdy dotąd nic podobnego jej się nie przydarzyło.

Zawstydziała się. Siedziała półnaga na blacie w kuchni, krwawiła. A naprzeciwko stał mężczyzna, którego po raz pierwszy zobaczyła kilka godzin wcześniej. Jego wzrok utkwiony był w powiększającej się czerwonej plamie na jej spodniach.

- Krwawisz. To mnie podnieca. Nawet nie wiesz jak bardzo.

Podszedł bliżej, ściągnął z niej spodnie, a potem majtki. Rozebrał się do naga. Był dość atletycznie zbudowany, miał szerokie mocne ramiona i długie nogi.

Rozdział dziesiąty

ZWIĄZEK

Sobota, 6 listopada

Obudziła się pierwsza. Xawery spał odwrócony plecami, wtulony w poduszki, a nie w nią. Nie tylko prześcieradło było boleśnie poskręcane. Ona też była poskręcana. Wewnątrz. Coś się w niej skręcało. W żołądku. Może z głodu. Bo przecież nic nie jadła. Ale bardziej dlatego, że się nie sprawdziła. W roli kochanki, kobiety i kusicielki. A to przecież bardzo ważna rola. Zresztą nic się nie sprawdziło. Nic nie zadziało. On też się nie sprawdził. Nie stanął na wysokości zadania. Już tylko wstyd pozostał i zażenowanie. Po co tu przyjechała? Co ją podkusiło? Ten mężczyzna, który leżał obok niej, był kimś zupełnie obcym. Pomyłka, fatalna pomyłka. Przecież nawet jej się nie podobał na żywo, bo na zdjęciach tak. Ale to były przecież jakieś stare zdjęcia. Zrobione wieki temu. Ten tu w niczym nie przypominał tamtego ze zdjęcia, które stało u niej na sekretarzyku. Był znacznie starszy i zupełnie obcy. Jak można iść do łóżka z nieznajomym?

Nieważne co się stało. Teraz trzeba stąd wyjść. Najpierw z łóżka, potem z pokoju i z tego domu. I wyjechać. Jak najszybciej. Przecież on właśnie dlatego udaje, że śpi. Żeby dać jej szansę. Żeby sobie poszła i uwolniła go od wstydu. Od tej nieprzyjemnej myśli, że wczoraj zawiódł na całej linii. To musi być bardzo upokarzające dla mężczyzny.

„Więc wstawaj Joanno jak najszybciej i uciekaj stąd. Ubieraj się. Nie marudź. Im szybciej stąd nawiejesz, tym lepiej. Zapomnisz o tym przykrym incydencie. O swojej pomyłce” - myślała. W końcu każdy może zabłądzić w życiu. Pomylić osoby i miejsca. Wydawało jej się, że znalazła kogoś ważnego. Bliskiego. A to była zwykła pomyłka. Nie ma w tym niczyjej winy. On też się pomylił. Przecenił swoje możliwości. Nie dał rady. Biedaczysko.

Obudził się punktualnie o szóstej trzydzieści. Wtedy wstała z łóżka.

- Co zjesz na śniadanie? - zapytała, siląc się na spokojny, uprzejmy ton.

- Nie jadam śniadań.

- A ja tak. Jestem głodna. Muszę coś zjeść.

- To zjedz.

- Zjem. I wyjeżdżam.

- Zjedz i wyjeżdżaj.

- Odwieszisz mnie na dworzec?

- Nie odwiozę. Jestem zajęty.

No nie, chyba się nie rozpłacze. Jej górna warga zadrzała. Ostrzegawczo. Byłe nie rozpłakać się przed nim. Nie w jego obecności. Byłe dalej od tego gbura. Jak najdalej. Ale najpierw trzeba coś zjeść. Cokolwiek. Nie da

się bez śniadania. Przecież od wczoraj nic nie jadła. Zupełnie nic. Tylko tę kawę wypła. Na dworcu. Więc teraz trzeba zjeść cokolwiek. Kawałek chleba. Żeby mieć siłę. Żeby stąd wyjść. I żeby dojechać na ten dworzec, i kupić bilet, i wrócić do Warszawy. Z dziesięcioma przesiadkami. Podróż pewnie będzie trwała ze dwa dni. Ale jakoś uda jej się dojechać i zapomnieć. On pewnie też tylko na to czeka, żeby sobie poszła, zesła mu z oczu. Żeby mógł zapomnieć o swojej porażce. Mężczyźni przywiązują wagę do takich drobiazków. Zupełnie nieistotnych. Przecież naprawdę nie o to chodzi. Tylko o to, że on ma do niej żal, że mu nie wyszło. Cholerny samiec.

Xawery milczał. Patrzył na nią obojętnym wzrokiem. Ona stała pośrodku sypialni. W krótkiej koszuli nocnej, półprzezroczystej. Kupiła ją przed wyjazdem. Dla niego, żeby wyglądać odpowiednio na tę okazję. Zupełnie niepotrzebnie. A teraz stała w tej kusej koszulce i czekała nie wiadomo na co.

Wydawało jej się, że jest znudzony. Znudzony i zblazowany. Nie rozumiała go. Dlaczego siedział w łóżku i nic nie mówił? Przecież słowami można pokryć różne nieprzyjemne rzeczy. Wstyd i zażenowanie można przykryć gładkimi słowami. Więc dlaczego nic nie mówił? Dlaczego ona też milczała? Kłopotliwe milczenie ciążyło obojgu. Nawet bardzo. Samej siebie też nie mogła zrozumieć. Nie mogąc znieść jego milczenia, zesła do kuchni. Głośno szlochała, rozbijając jajka, robiąc tosty, parząc kawę. Potem, ciągle płacząc, usiadła przy stole w kuchni. Czekała

na niego. Wreszcie usłyszała odgłos bosych stóp na schodach. Wszedł do kuchni. Usiadł na krześle naprzeciw niej.

- Nie histeryzuj, dobrze?

- Ja nie histeryzuję.

- To dlaczego płaczesz?

- Nie wiem. Smutno mi.

- Mnie też.

- Wszystko mi się chrzani.

- To nie wyżywaj swojej frustracji na mnie. To nie fair.

- Myślę, że nie jestem ci do niczego potrzebna.

- Nie myśl za mnie, okej?

- To już koniec, tak?

- Nie pierwszy raz kończymy.

- Brutalny jesteś.

- A ty parzysz niezłą kawę. Jajecznicą też jest w porządku.

Nawet nie zauważyła, jak zjadł śniadanie. Z dużym apetytem. Chyba też był bardzo głodny. Wstała i poszła do łazienki po szlafrok, który należał do kogoś nieznanego. Wróciła do kuchni. Stała za nim. Wciąż jadł w skupieniu. Przykryła szlafrokiem jego nagie ciało. Położyła mu dłoń na ramionach. Pochyliła się nad jego głową.

- Ja jadę na wykład. Pojedziesz ze mną?

- Przecież wykład masz dopiero po południu, nie możesz jeszcze pobyć ze mną?

- Wracamy do łóżka?

- A nie mógłbyś mnie przytulić, porozmawiać nie możesz? Przez chwilę nie możesz być czuły?

- Nie mam czasu.

W jego głosie wyczuła irytację. Poszedł do łazienki. Długo tam siedział. Zamknięty. Niedostępny. Poczowała niepokój. Więc jednak to już koniec. Obraził się? Bo nie chciała znowu przez to przechodzić. Przez tę jego niemoc. Bo już miała dosyć, po prostu dosyć. Bo ile można? Bo się bała, że mu nie wyjdzie i znowu oboje będą sfrustrowani, poskręcani w środku będą leżeć w tej poskręcanej pościeli. Jak wczoraj. Przecież to było okropne. A chciała go zapytać o wiele różnych rzeczy. Na przykład o to, skąd miał te szramy na lewym przedramieniu, czy przypadkiem nie chciał kiedyś skończyć ze sobą. Ale on był głuchy na wszystkie jej pytania. Nie chciał z nią rozmawiać. Odpowiadał monosylabami albo milczał. Chodziło mu tylko o seks. W wydaniu nieco perwersyjnym. Na czułość nie było tu miejsca. I co z tego, że była ta cholerna chemia między nimi? Nic. Bo chemia najwyraźniej nic nie znaczy. Między ludźmi, którzy nie są już młodzi, nic sensowego zdarzyć się nie może. Za późno na cokolwiek.

A jednak ją dławilo. Czuła się poniżona. Wykorzystał ją, a teraz zamknął się w łazience. Potraktował ją jak kobietę na jedną noc. Wróciła do sypialni. Wtuliła głowę w poduszkę, żeby przypadkiem nie usłyszał, że znowu szlocha.

Spędził w łazience chyba z godzinę. Wyszedł zupełnie odmieniony. Chłodny. W granatowym garniturze i błękitnej koszuli, bez zarostu. Pachniało od niego jakąś luksusową wodą po goleniu. To był ktoś zupełnie inny. Z całą pewnością do niej nie należał. Nie był jej i nigdy nie będzie. Nie odezwał się ani słowem. Żadnego „do

widzenia", „cześć", nawet tego swojego „pa", którym zazwyczaj kończył maile, tym razem jej pożałował. Nic. Już dla niego nie istniała. Miał jej dość.

Gdy zatrzasnął za sobą drzwi, długo siedziała bez ruchu i wtulała twarz w poduszkę. Nawet płakać nie mogła. Wszystko stało jej w gardle. Całe to wczoraj, przedwczoraj i te wszystkie poprzednie miesiące dławiły ją, nie pozwalały normalnie odetchnąć. Straciła poczucie czasu. W końcu dotarło do niej, że musi się spieszyć, żeby zdążyć przed jego powrotem. Przecież wyraźnie dał jej do zrozumienia, że nie chce jej tu widzieć, gdy wróci.

Łazienka pełna była zapachu męskiej wody po goleniu. Chyba wylał tu całą butelkę. Za kołnierz. Mycie zajęło jej sporo czasu. Bo miała co z siebie zmywać, całą tę obrzydliwość wczorajszą. Najpierw wyczyści ciało, a potem, już po powrocie do domu - komputer. A co będzie z jej pamięcią? Czy uda jej się wyczyścić swoją własną pamięć? Zapomnieć o tym poniżeniu?

Gdy wychodziła z łazienki, usłyszała, że dzwoni telefon. A właściwie dwa telefony - stacjonarny i jej komórka. Nie podnosiła słuchawki. Ale telefon nadal dzwonił. A niech sobie dzwoni. To nie jej sprawa. Bo jej tu już nie ma.

Nerwowo szukała w walizce drugiej pary spodni. Bezowe nadawały się do prania, a właściwie do wyrzucenia. Pewnie nie uda się ich doprać. Wczorajsze chluśnięcie było czymś zupełnie wyjątkowym. Nigdy wcześniej nic takiego jej się nie przydarzyło. To pewnie z nerwów. Dzisiaj wszystko było już w absolutnym porządku. Może jednak po powrocie do Warszawy powinna pójść do lekarza?

Nie mogła znaleźć drugiej pary spodni. Szukała nerwowo w walizce. A może w ogóle ich nie wzięła? Na szczęście były, na samym dnie, ale były! Zwycięstwo. Świeży trykocik, sweterek ten sam co wczoraj, stanik oczywiście też. Upychała ciuchy w walizce. Telefony znowu się rozdzwończyły. Długo, przeciągle. Bez końca. Pewnie to do gospodarzy. Nie do niej. Komórki też nie miała ochoty odbierać.

Po chwili na dźwięk dzwonek telefonicznych nałożył się dźwięk dzwonka do drzwi wejściowych. Pewnie listonosz - nie będzie otwierać. Poczekaj. Tylko że to nie był listonosz, tylko on - Xawery. W tym swoim garniturze za kilka tysięcy dolarów, co najmniej. Stał pod drzwiami cały czerwony ze złości, spocony. Aż parował tą swoją perfumą wstrętną.

- Dlaczego nie odbierasz telefonu? Dzwoniłem do ciebie chyba ze trzy razy. Kluczy nie wzięłem, rozumiesz?

Nie, nic nie rozumiała i rozmawiać nie zamierzała z rozżalonym samcem, któremu - mimo że miał ochotę na kopulację i nawet się podniecił - nic z tego nie wyszło. Spojrzał na jej walizkę.

- Mam rozumieć, że naprawdę chcesz wyjechać, tak? No to może jeszcze zdążę cię odwieźć na dworzec, jak się pośpieszysz.

I wtedy poczuła, że zadrżała jej górna warga. To był znak, że zaraz się rozpłacze. Już się chyba nie da tego powstrzymać, zaraz z niej wypłynie wszystko, co w gardle uwięzło. Ten szloch niekontrolowany.

Gwałtownie szarpnęła go za rękę, wciągnęła do przedpokoju. Drzwi się zatrzasnęły. Nadal był czerwony na twarzy. „Pewnie ma nadciśnienie” - pomyślała. Nie powinien się denerwować, nie jest już młody. Rozpinała mu spodnie, chciała przykłęknąć, ale jej przeszkodził, przycisnął do siebie.

- Mamy naprawdę mało czasu, obejmij mnie nogami i po prostu uwieś się na mnie, o tak będzie dobrze, no nareszcie.

- Co za ulga! - Xawery skończył bardzo szybko. Nie poczuła nic oprócz wilgoci.

Obejmował ją potem przez chwilę.

- Wieczorem lepiej popracujemy, dobrze? A teraz musimy jechać, bo za pół godziny mam wystąpienie.

Poprawiała mu koszulę. Wiązała krawat. Wycierała jego spoconą twarz. Przyjmował wszystkie te czułe gesty bez żadnego zdziwienia, jakby byli ze sobą od lat. Ona dotykała go z wielkim przejęciem. Po raz pierwszy w życiu miała swojego mężczyznę. Dokładnie takiego, o jakim marzyła.

- No już dość tych czułości, jeszcze będziesz miała okazję nieraz. Idziemy do samochodu. Tylko tym razem wezmę te cholerne klucze.

Gdy ruszył, zapinała pasy w pośpiechu. Była bardzo zmęczona. Powinna zostać w willi i spać. Ale nie miała siły na kolejne rozstanie, nie dzisiaj. Zasnęła na chwilę. Obudził ją śpiew. Xawery podśpiewywał jakąś arię operową, po niemiecku. Miał ładny głos.

- Tylko się nie śmieję, zawsze śpiewam w samochodzie po czymś takim.

Gdy dojechali na miejsce, zapytała nieśmiało:

- Poczekam tu na ciebie, dobrze?

- Nie ma mowy, idziesz ze mną.

- Ale jak ja wyglądam, nie mogę tak iść między ludzi!

- Pójdiesz ze mną i usiądziesz w pierwszym rzędzie, żebym cię miał na oku. I nie rób mi więcej takich numerów, bo zawału dostanę. Nie jestem już taki młody.

Gdy szli korytarzem, prowadził ją za rękę, jak swoją własność. Zupełnie inaczej niż kiedyś jej ojciec - Stary H. Też ją prowadził za rękę, do przedszkola. A ona ociągała się, marudziła. Stary H. cierpliwie wysłuchiwał jej żalów, a potem już w szatni zdejmował jej ciężkie botki i wkładał kapcie. Całował ją w policzek, na pożegnanie. Teraz jednak dreptała posłusznie za obcym właściwie mężczyzną i nie miała odwagi w niczym mu się sprzeciwić. Była całkowicie podporządkowana. Nie chciała go przecież zdenerwować przed ważnym wystąpieniem. I tak się biedak spocił, przez nią.

Weszli na salę nieomal spóźnieni. Cały czas ścisnął jej dłoń. Rzeczywiście posadził ją w pierwszym rzędzie. Żeby mieć ją na oku. Żeby nie mogła uciec tak łatwo.

- No to siadaj tu i nigdzie się stąd nie ruszaj, dopóki nie skończę, dobrze?

Po krótkich przygotowaniach rozpoczął swoje wystąpienie. Znowu był kimś innym. Facetem w drogim garniturze. Wygłaszał referat o sposobach renowacji starych samochodów. Tych sprzed pierwszej wojny światowej

i tych nieco późniejszych. Mówił po niemiecku. Bardzo płynnie. Ciekawe, gdzie się tak dobrze nauczył tego języka? Nie wszystko była w stanie zrozumieć. Prawdę mówiąc, większości wykładu nie rozumiała. Dzięki ilustracjom towarzyszącym wypowiedzi Xawerego, domyśliła się, że opowiadał o karoseriach i tapicerkach, które udało mu się uratować. O tym, że stary samochód trzeba najpierw zrozumieć, żeby potem właściwie go interpretować. Interpretować? Jakby to był jakiś utwór literacki albo kobieta, a nie kupa starego złomu i szmat. Dla niego te szmaty i złom były najwyraźniej godne najwyższej uwagi.

Ludzie zebrani na sali słuchali wywodów Xawerego z dużym zainteresowaniem i powagą. Zauważyła też, że pewna przystojna blondyna siedząca tak jak ona w pierwszym rzędzie patrzyła na niego z zachwytem. Miała długie nogi i dobrze zrobiony makijaż. Była elegancko ubrana. Mogła robić wrażenie. To była kobieta dla niego. Na poziomie, z klasą. Taka, którą można pokazać w towarzystwie bez obawy.

Jak nic zadurzyła się w tym uwodzicielu rzucającym w jej kierunku powłóczyście spojrzenia. Jak tylko skończy opowiadać o zardzewiałym złomie i o zbutwiałych gałganach, na pewno podejdzie do tej kobiety, żeby się z nią umówić. A przecież wiadomo, po co on się umawia z kobietami. Z całą pewnością nie po to, żeby dzielić się swoją wiedzą na temat starych samochodów. Ani po to, żeby spoglądać im w oczy i trzymać za rękę podczas romantycznej kolacji przy świecach. Joanna w ciągu tych kilku ostatnich miesięcy zdołała poznać prawdziwe zainteresowania tego

mężczyzny, swoje niestety też. I z przerażeniem stwierdziła, że robi się chorobliwie zazdrosna o kogoś, kto nie dał jej żadnego prawa do siebie. To ona zgodziła się tu przyjechać, żeby przez kilka dni i nocy uprawiać z nim seks. Bez zobowiązań. I bez dalszego ciągu. Czy jednak to, co robili wczoraj takie właśnie było? A ta dzisiejsza poranna awantura? O co mu chodziło? O to, że mu się nie podporządkowała, że miała czelność mu odmówić?

Xawery rzeczywiście co pewien czas zerkał dyskretnie w kierunku jednej z kobiet siedzących w pierwszym rzędzie. Interesowała go drobna szatynka z naprawdę ładnym biustem. I nie mógł się doczekać chwili, w której znowu będzie mógł zająć się tą kobietą, a zwłaszcza jej piersiami. Teraz jednak musiał się skupić na prezentowaniu swojego referatu. Przez cały czas starał się jednak kontrolować czy jego partnerka wystarczająco go podziwia, czy docenia jego erudycję i czy bardzo jest w nim zakochana. Trochę się obawiał, że ona nagle wstanie i wyjdzie z sali, i że nie będzie mógł dokończyć swoich wywodów na temat renowacji forda T3. I znowu będzie musiał za nią biec, żeby ją dopaść i pojąć. Nie bardzo mógł się skoncentrować na tym, co mówił, ciągle o niej myślał. Marzył o słodkim mrowieniu w stopach, o tym jak po solidnej dawce kochania odpływa. Zasypia. Może doświadczy tego przy niej. Dziś albo jutro. I uda mu się przespać noc bez żadnego wspomagania. Ot, tak po prostu, zaśnie i obudzi się dopiero rano.

Tylko najpierw ona musi się podporządkować, nie może robić mu takich numerów jak dzisiaj rano. Tych

ucieczek i pożegnań miał już dosyć. To prawda, z początku bawiły go i podniecały humory samotnej kobiety, to że tak wyczekiwała na jego maile, że nie mogła bez nich żyć. Ale po pewnym czasie był już tym zmęczony. I właściwie zastanawiał się, czy się nie wycofać.

Ale gdy ją zobaczył wczoraj na tym dworcu, taką wciąż jeszcze dziewczęcą i świeżą, zaczął poważnie myśleć o związku. To było właściwe słowo - ZWIĄZAĆ. Ona się do tego nadawała. Żeby ją do siebie przywiązać, a w konsekwencji związać. Raz a dobrze związać, bez zbędnych formalności, ale za to na trwałe. Żeby ją mieć na każde zawołanie. Żeby wreszcie móc zasypiać i spać bez uciekania się do tych wszystkich sposobów. Żeby odżyć przy tej kobiecie. Żeby wszystkie inne przestały budzić pożądanie. A jeśli już, to tylko na chwilę. Zupełnie nieważną, krótką chwilę, która w żadnym razie nie może wpłynąć na trwałość związku. Ona musi to zrozumieć, że mężczyzna już tak ma, że nie zawsze jest wierny. Ale że zawsze wróci do swojej kobiety po należną mu porcję czułości, której nie należy skąpić z powodu chwilowej niewierności. Oto cała kobieca mądrość, tajemnica szczęścia wielu par, długiego niczym niezakłóconego pożycia.

Wykład o karoseriach i tapicerkach był dość dobrze przygotowany, ale ponieważ Xawery - zamiast myśleć o duszach starych automobili - rozważał możliwość związania się na dłużej z Joanną H., odnosiło się wrażenie pewnego chaosu i nadmiaru szczegółów.

Joanna przestała podążać za myślą prelegenta gdzieś tak w połowie jego wywodów. Całą swą uwagę skupiła

na blondynce, która jej zdaniem najwyczejniej w świecie śliniła się do Xawerego. I pewnie już miała mokro w majtkach, ta głupia nimfomanka. A jemu w to graj, przecież niejednokrotnie zapewniał ją, że lubi się kochać, bo jest normalnym mężczyzną. A kochanie to jest dla mężczyzny najnormalniejsza w świecie sprawa. Zaledwie czynność fizjologiczna, taka jak wypróżnianie. No może nie do końca. Nie zawsze tak łatwo to przychodzi. Czasem zostają tylko poskręcane prześcieradła i niesmak. Jak dzisiaj rano.

Ale mimo wszystko zaraz po wykładzie ten normalny mężczyzna umówi się z blondynką, która tylko czeka na to, żeby podszedł, żeby rączył kiwnąć na nią palcem. Joanna tylko będzie zakłócać tę najnormalniejszą w świecie sytuację umawiania się na seks. Zwyczajny seks dwojga dorosłych ludzi, którzy przyjechali na sympozjum. Po co organizuje się sympozja? Z całą pewnością nie po to, żeby gadać o zabytkowych wehikułach lub o przeszłości. O tym, co już dawno nadgryzione zębem czasu i korozji. A przez to nieważne, pozbawione jakiegokolwiek znaczenia. Właściwym celem sympozjum jest to, co następuje po zakończeniu nudnych wykładów i prezentacji. Te wszystkie ukradkowe spotkania w hotelowych pokojach - bez zobowiązań i bez dalszego ciągu. Krótki przerywnik w monotonnym życiu fachowców, profesjonalistów reprezentujących różne dyscypliny naukowe.

I co powinna teraz zrobić? Wyjść po angielsku. A dlaczego tego nie robi? Bo Xawery usadził ją w pierwszym rzędzie i zakazał ucieczek. I zamiast patrzeć na blondynkę, której jeszcze nie zdążył posiąść, rzucał niespokojne

spojrzenia w kierunku Joanny, z którą spędził pełną niepowodzeń noc miłosną, chociaż właściwie można by mu zaliczyć tylko pół nocy, bo drugie pół przespał odwrócony plecami do swej partnerki. A i tak bardzo ją bolały piersi po tej nocy. Były zaczerwienione i powiększone. Zupełnie nie chciały się zmieścić w za małym staniku, który cisnęła tak, że nie mogła tego znieść. Postanowiła, że pójdzie do toalety zdjąć go, jak tylko on skończy ten swój przydługą wykład. Dzięki temu Xawery bez żadnego skrupowania będzie mógł się umówić z blondynką. Oczywiście mógłby to zrobić także w obecności Joanny. Przecież nie byli związani w żaden sposób. Bo mężczyzna musi być wolny. Bo nie należy go w niczym ograniczać. Zwłaszcza takiego twórczego faceta, pełnego fantazji. No niech już kończy, niech on kończy wreszcie! Wtedy ona się usunie, pójdzie do toalety, a potem poczeka przy samochodzie. Albo najzwyczajniej w świecie pójdzie sobie dokądkolwiek.

Więc gdy skończył i już miała nadzieję, że wreszcie będzie mogła wyjść, zaczęła się sesja pytań, na które Xawery odpowiadał wyczerpująco. Blondynka zadała aż trzy bardzo wnikliwe pytania, które dotyczyły metod renowacji tapicerki. Wdzięczyła się przy tym strasznie, potrząsała okazałymi rozmiarów cyckami, szczyrzyła wybielone zęby, wyginała uszmkowane wargi w sztuczne uśmiechy. Obrzydlistwo!

No, zainteresuj się nią, okaz jej trochę uwagi. Przecież lubisz biuściaste kobiety. Oprócz blondynki pytania zadało jeszcze trzech albo czterech mężczyzn siedzących w głębi sali. Joanna nawet nie próbowała zrozumieć, o co im

chodziło. Marzyła tylko, żeby wreszcie wyjść na zewnątrz. Miała dość dyskusji na temat starych wraków. Gdy ogłoszono przerwę i ludzie zaczęli zbierać swoje rzeczy, a najwięcej do zbierania miał Xawery, wstała i wybiegła. Szukała toalety w labiryncie korytarzy. I wtedy poczuła szarpnięcie. Za rękę, za połowę jej ciała. Ktoś nią mocno szarpnął.

- Mówiłem ci, żebyś tego nie robiła - znowu był czerwony na twarzy i spocony.

- Ale ja muszę do łazienki.

- Mogłaś tę chwilę na mnie poczekać.

- Ale stanik mnie ciśnie.

- Pojedziemy kupić dla ciebie stanik, nawet dwa, albo i pięć. Tylko błagam, daj mi chwilę! Muszę porozmawiać z ludźmi, nie jestem tu dla przyjemności. To są moje zawodowe sprawy, rozumiesz?

- To ja poczekam przy samochodzie, dobrze?

- Niedobrze! Wrócisz ze mną. Czy ty kiedykolwiek byłaś w związku?

W żadnym związku Joanna H. nigdy nie była. Ani zawodowym, ani uczuciowym, ani niebezpiecznym. Dotąd żyła całkowicie bez związku z czymkolwiek. Czyżby nadszedł czas, żeby związać się z mężczyzną, który szarpał ją za rękę i tarosił jej piersi? Przecież to tylko na chwilę, seksturystyka stosowana, a potem każde z nich wróci do swoich zajęć.

I chociaż to miał być - zdaniem Joanny - związek zaledwie pięciodniowy, postanowiła nie stawiać oporu. Znowu była posłuszna. Poszła za nim. Żeby stawić czoła

blondynie i innym „kontaktom zawodowym” Xawerego, który na prawo i lewo przedstawiał ją jako „meine Frau”, czyli swoją kobietę lub nawet żonę. Meine Frau, Johanna. Blondyna, która okazała się osobą niemieckojęzyczną i miała na imię Hannelore Coś-tam-coś-tam (nazwiska Joanna niestety nie dosłyszała), z niedowierzaniem lustrowała Joannę. Zupełnie jakby chciała powiedzieć: jakim sposobem taka nieciekawa kobieta może wzbudzać pożądanie TAKIEGO mężczyzny?

No właśnie, dlaczego nie mógł się z nią rozstać nawet na krótką chwilę? Bo - jego zdaniem - przechylała głowę jak *Primavera* i miała tak samo nieproporcjonalnie długą szyję. I chociaż jej włosy były za krótkie (wczoraj rozkazał, żeby je zapuścić i ufarbować na blond), a piersi nie mieściły się w kanonach Botticellego (i dobrze, bo nie był miłośnikiem tych niewielkich, sterczących), oświadczył Joannie, że podoba mu się taka, jaka jest, a poza tym ma temperament, czego się po niej nie spodziewał. I że to również dobrze, bo on ma dosyć tych wszystkich zimnych kobiet. Tych, co się nie chcą kochać, bo głowa je boli, albo mają miesiączkę, albo migrenę. Albo się po prostu wstydzą i światło każą gasić. Albo niewłaściwie komentują niedostateczne owłosienie jego klatki piersiowej, tudzież wyraźne ubytki włosów na czole i to, że jest siwy. Joanna nic nie powiedziała, ale łatwo można było poznać, że akceptuje swojego kochanka w całości i bez żadnych zastrzeżeń, że on się jej podoba, może nawet bardziej niż chciałyby to okazać. I to było miłe.

Blondyna przedłużała rozmowę w nieskończoność. Joanna była coraz bardziej zniecierpliwiona. Ile czasu można gadać o metodach konserwacji zabytkowych tapicerek samochodowych? Przecież tak naprawdę to tej paskudnej babie chodzi tylko o to, żeby się przespać z Xawerym. Machała rękami, potrząsała cyckami. Szczyrzyła pięknie wybielone zęby w nieszczerych uśmiechach. Co chwilę poprawiała ufarbowane na blond włosy. Robiła, co tylko mogła. Na szczęście efekty jej starań były mizerne. Mężczyzna, który był adresatem tych występów, pozostawał obojętny. Owszem uśmiechał się, mrużąc przy tym oczy, odpowiadał na pytania, był bardzo uprzejmy, grzeczny, ale czysto profesjonalnie. Bez żadnych podtekstów.

- Bo wiesz, ta kobieta dużo może - powiedział, gdy już wsiadali do samochodu. No nie bocz się tak. Jesteś chorobliwie zazdrosna.

Zazdrosna? O kogo? O kochanka, o dziewczynę, co jest na chwilę, na pięć dni zaledwie? Nie ma powodu do zazdrości. Po prostu ta baba była wyjątkowo nachalna. Wyjątkowo.

- Ona może mi załatwić kontrakt w Niemczech. To zawsze trochę bliżej. W Europie.

„To niech załatwia. Jak się postarasz, z pewnością ci załatwi. Nawet dwa kontrakty. Przecież widać gołym okiem, że ona na ciebie leci. Ta rycząca czterdziestka. Kobieta niezaspokojona” - myślała Joanna. Postanowiła, że ona nie będzie odpowiadać na jego zaczepki. Na te wszystkie pytania. Nic jej do tego, co on robi, jakie ma plany. Więc będzie milczeć.

- Myślałem, że chociaż trochę interesują cię moje sprawy, moja praca.

Niestety, wszystko co wiązało się z Xawerym, interesowało Joannę znacznie bardziej niż jej własne życie. Patrzyła na niego z niedowierzaniem. Jak to możliwe, żeby ktoś taki wioził ją teraz samochodem w obcym mieście, w obcym kraju? Żeby poświęcał jej uwagę, żeby chciał się z nią kochać. Taki wspaniały, atrakcyjny mężczyzna.

Zaproponował jej, żeby pojechali coś zjeść.

- Nie jestem głodna.

- Ale ja jestem głodny. Jeśli chcesz mieć dziś wieczorem ze mnie jakiś pożytek, muszę zjeść krwisty befsztyk.

Krwisty befsztyk. Albo stek. Oto czego potrzebował prawdziwy mężczyzna. Siedzieli w restauracji, naprzeciw siebie. Xawery pochłaniał pokąsną porcję mięsa z wielkim apetytem. Aż miło było popatrzeć na jego piękne, równe zęby, nieco żółtawe wprawdzie, ale zdrowe i mocne. I nie mógł się nadziwić, że jego partnerka nie ma na mięso ochoty, że w ogóle ani jeść nie chce, ani pić, ani nawet rozmawiać. Jak można nie chcieć jeść, a tym bardziej pić.

- A może ty anorektyczką jakąś jesteś? Albo jeszcze coś gorszego w sobie nosisz?

Gorszego? Ależ tak, oczywiście zgorszona jest, i czuje się coraz gorzej, a wszystko dlatego, że tu przyjechała i pozwala sobą manipulować, i uczestniczy w jakiejś grze, której do końca nie rozumie. Jedyne wytłumaczenie, jakie jej przychodziło do głowy, było takie, że przeżywała chwilowe zachwianie albo zaćmienie, ale że jej to wszystko przejdzie, jak tylko wróci do domu.

- A może wegetarianką jesteś i masz ochotę na jakieś zielone kłacza, co?

Znowu pokręciła głowa, a nie tyłkiem, a to oznaczało, że ochoty nie miała, bo uważała jedzenie za stratę czasu.

- Odchudzasz się? Nie? Naprawdę nie? Ale jesteś chuda, wiesz o tym? Podobałabyś mi się jeszcze bardziej w wersji zaokrąglonej. Może jak ci zmajstruję małego Xawerego to nabierzesz trochę tuszy, co?

- J a k będziesz tyle jadł i gadał, to nie starczy ci czasu na to, żeby pomajstrować.

- Słuszna uwaga, zaraz kończę. A ty na nic nie dasz się namówić? Może deser? Też nie? A może ty koszerna jesteś, co? No nie dąsaj się, nie miałem nic złego na myśli, część mojej rodziny ma żydowskie korzenie. Aha, zapomniałem, musimy jeszcze kupić dla ciebie parę drobiazgów. Nie gniewaj się, ale strasznie się ubierasz i czeszesz, a poza tym nosisz bardzo nietwarzowe okulary. A przecież śliczne dziewczę z ciebie jest, więc musimy trochę popracować nad stylem. Zaczniemy od stanika. No nie wściekaj się i nie histeryzuj. Wybrałaś mnie, żebym nad tobą popracował? Nie zaprzeczaj. Rozmawiasz z przyjacielem i kochankiem, któremu zaufałaś, więc się nie bocz i nie zachowuj jak mała dziewczynka.

Rozdział jedenasty

HRABIA TUNIO

Dość tego, dość już tej gadki. Czy ten cholerny drań nie widzi, że ona robi wszystko, żeby nie wstać od stołu i nie uciec?! Jak najdalej od jego słów i odjedzenia. Nie ma jednak dość siły, żeby to zrobić. Więc milczy, nie odzywa się. Trzyma język za zębami. Poświęca się, żeby on mógł spokojnie dokończyć befsztyk. Tylko o jedno błaga, błaga na kolanach - niech Xawery nie mówi nic na temat jej ciała. Niech nie mówi, jaka to ona piękna jest, a zwłaszcza niech nie wspomina o jej piersiach, bo jej się zaraz matka przypomina, a o niej akurat Joanna chciałaby zapomnieć, i może jeszcze o paru innych rzeczach. Na przykład o tym, że Monika już trzy razy dzwoniła na jej komórkę, a teraz dzwoni Tunio z Krakowa. Z domowego, stacjonarnego telefonu. Od mamusi.

Bo pewnie właśnie wrócił z wykładu i zaraz pani Teczka poda zupkę jarzynową albo rosołek pożywny w pięknej, starej wazie. I wtedy mamusia, pani Zunia, wraz z synuśkiem Tuniem, co ma czterdzieści pięć lat, powiększającą się łysiną i tytuł belwederskiego profesora, usiądą naprzeciw

siebie i będą spożywać obiad w idealnej harmonii, prowadząc przy tym rozmowy o niczym. O pogodzie na przykład, że zimno, ale w Lanckoronie u Januszka Cieńskiego słońeczko świeci. Podobno. I o tym, że Jaga Chłopiccka właśnie list przysłała z Paryża (już chyba trzeci, nie licząc powinszowań imieninowych dla pani Zuni) i pisze, że jej tam dobrze, że chodzi po muzeach, a słońce świeci i chyba zimy nie będzie w tym roku. Przynajmniej w Paryżu, bo w Krakowie to chyba jednak będzie, niestety. Ale nie zbaczajmy z tematu.

Przecież wiadomo nie od dziś, dlaczego Jaga tak często pisze do pani Zuni. Wszyscy to wiedzą, ale nie wolno głośno o tym mówić. Jaga siedzi w tym Paryżu sama jak palec i pewnie nocami szlocha w poduszkę. Spać nie może. Wyobraża sobie najróżniejsze rzeczy. Fantazjuje o tym, że Tunio nareszcie do niej przyjedzie i będzie pieścił ją wszędzie tam, gdzie ona pragnie. I że nareszcie to właśnie on, a nie jakiś chłystek, żigolak będzie z nią to robił. Wszystko. Absolutnie wszystko, o czym Jaga marzy od lat.

Tunio nie może już słuchać matczynych wynurzeń na temat przymiotów Jagi Chłopicckiej, która jak powszechnie wiadomo jest partią w sam raz dla niego, w przeciwieństwie do tamtej kobiety, której imienia pani Zunia nie chce nawet głośno wymawiać, żeby złego nie kusić. Wyjechała, nie ma jej, nie dzwoni, nie pisze, nawet telefonów nie odbiera, a to tylko lepiej. Wreszcie przestała zawracać mu głowę, absorbować niepotrzebnie. Co on w niej widzi? Może ten biust bardzo kształtny? Może to za jego sprawą

jedynak pani Zuni Stadnickiej oszalał na punkcie tej niewydarzonej mediewistki.

Biedny Tunio dzwoni zaalarmowany przez tę kretynkę Monikę, że Joanna wyjechała i matkę porzuciła, i ojczyznę, a nawet źle płątną pracę w archiwum. Jest bardzo zaniepokojony, zaraz po obiedzie wymknął się do swojego gabinetu, zamknął szczelnie drzwi, choć przecież dobrze wie, że pani Zunia stoi pod tymi drzwiami i nasłuchuje, mimo że to nie wypada, nie przystoi i zupełnie nie ma sensu. Tunio ma spocone dłonie, cały jest spocony.

Gorączkowo szuka w notesie numeru Joanny H. Dawno do niej nie dzwonił, już nawet myślał, że mu przeszło. Ale nic nie przeszło. Telefon z Warszawy od tej Moniki, ciotki czy kuzynki Joanny, przyprawił go o znajomy dreszcz. Gdy wreszcie znalazł jej imię, poczuł, że wracają dawne emocje, i że tylko z tą kobietą chciałby, że tylko z nią mógłby. I przecież już prawie mu się udało.

Był u niej aż trzy razy. A ona nawet się nie wzbraniała. I chociaż jej wąski tapczanik był niezbyt wygodny dla kochającej się pary, właśnie tam w domu asystentkim był Tunio naprawdę szczęśliwy. Miał nadzieję, że to szczęście przekształci się w regularne, codzienne współżycie. O niczym innym tak nie marzył. Budził się potem w nocy gotowy do boju, myśląc w pierwszej chwili po przebudzeniu, że jego kobieta śpi obok. Po chwili docierało do niego, że to nie dom asystentki, tylko kamienica przy ulicy Pędzichów, gdzie od zawsze mieszkał, że matka chrapie w swojej sypialni w końcu korytarza, a pani Teda śpi cichutko w służbówce, i że tak już będzie zawsze,

a przynajmniej do czasu, gdy matka umrze, ale gdzież tam mateczce kochanej umierać, ona wszystkich nas przeżyje!

Ale przecież mogłaby się zgodzić na małżeństwo Tunia z Joanną. Nic złego by się nie stało, gdyby jej syn mógł zażywać rozkoszy w legalnym związku, zamiast onanizować się w nocy, a także rano i wieczorem pod prysznicem albo w wannie, cały czas wspominając piersi Joanny i nie tylko to. Co by szkodziło mateczce, gdyby Tunio spłodził potomka? Ale nie z Jagą Chłopiczką, która ma ciemny meszek nad górną wargą i prawie wcale nie ma biustu. Tunio nie znosi takich kobiet. Ale tych wyfiokowanych, kręcących tyłkami też nie cierpi, bo się ich prawdę mówiąc boi.

A Joanna jest w sam raz dla niego. Bo jest śliczna, delikatna, kobieca i bardzo się Tuniowi podoba. Cała. Ale najbardziej jej myszka, którą chciałby całować na dobranoc, dzień dobry, po powrocie z pracy. Dlaczego marzenia się nie spełniają? Bo mamusia jest zazdrosna o swojego synka i dobrze wie, że taka synowa jak Joanna zabrałaby jej całą uwagę jedynaka, bo on myślałby tylko o żonie i cały czas chciałby się z nią kochać. Przynajmniej na początku, a kto wie, czy i nie później.

Od czasu gdy Joanna wyprowadziła się z Krakowa, Tunio ciągle się zamyślał, był roztargniony, nieobecny. A to wina tej latawicy. A bo to pani Zunia nie wie, że jej syn do niej chodził po wykładach, a matce mówił, że do biblioteki? A on do niej chodził, do tej kobiety, co się nie szanuje, tylko wpuszcza mężczyznę do łóżka bez ślubu, na oczach wszystkich w dodatku. Całe miasto huczało od płótek

o tym, że jej kochany Tunio wpadł w sidła tej nierządnicy. Bo ona parol na niego zagięła i chciała się wprowadzić do mieszkania na Pędzichów i zająć miejsce pani Zuni. Niedoczekanie!

Więc gdy Tunio szukał w swoim notesie nazwiska kobiety, z którą chciałby spędzić resztę życia, pani Zunia stała pod drzwiami gabinetu syna i nerwowo nasłuchiwała. Bo przecież matka ma intuicję i dobrze wie, o czym jej syn myśli, o czym marzy. I dlatego słucha pod drzwiami, chociaż to nieładnie podsłuchiwać. Ale czasem trzeba. Jest to konieczne i niezbędne. Tunio dzwonił już trzeci raz, ale Joanna nie odbierała. Był zaniepokojony, rozstrojony, nie wiedział, co ma robić. A jeśli coś jej się stało? Ktoś ją napadł? Boże! Nie daj Boże. Boże uchwaj. Na miły Bóg! Boże ratuj!

Joanna i Xawery ciągle jeszcze siedzieli w restauracji. On kończył befsztyk. Ona czerwona jak burak ze złości usiłowała przekonać kochanka, żeby nie przenosił ich łóżkowych, bardzo swobodnych rozmów na grunt codzienności. Wszak codzienność to zwyczajność, powszedniość, normalność. Normalność, a nie perwersja.

- Przestań mnie dręczyć opowieściami o moich pierśsiach i pośladkach, które mają też inne wulgarne nazwy. Raczyłeś mnie tym plugastwem w nocy, podczas kochania. Szeptales mi do ucha wszystkie te słowa. Te prawdy-nieprawdy o moim ciele, które tak bardzo cię podniecały. I słowa też podniecały. Nie wiadomo co bardziej.

Godziłam się na ten, w gruncie rzeczy, upokarzający sposób opisywania mojego ciała, na te wszystkie zabarwione perwersją słowa na temat mojej powierzchowności. Ale to było w nocy, wtedy to było łatwe, naturalne. W łóżku można mieć duże cyce i pozwalać mężczyźnie pieścić je na różne sposoby. To stanowi część gry. Natomiast przy stole nie mogę tego znieść, rozumiesz? W dodatku wcale nie jestem pewna, czy jesteś moim przyjacielem. Bo dzisiaj masz na sobie ten drogi garnitur i czuć cię jakimś agresywnie cuchnącym afterszejwem, no i ogolony jesteś. Już nie ten sam co wczoraj, już nie mój! Nie mogę się do tego przyzwyczaić.

- I kto to mówi? Kto narzekał, że śmierdzę, że kłuję wąsami i policzkami nieogolonymi, i że się tak nie da całować? I w dodatku, że przez te wąsy wyglądam jak jakiś głupi burak z Polski. Albo jak szwab, co Polaka udaje? I kto sobie kpił z mojego wyglądu przez całą noc? I mówił mi takie rzeczy, że powinienem się obrazić? Ale się nie obraziłem, tylko ogoliłem.

- Ale mnie rano potraktowałeś jak dziwkę na jedną noc. A ja przecież jestem aż na pięć nocy, albo nawet na sześć, więc chyba mi się należy lepsze traktowanie?

- To prawda, dlatego właśnie zaraz jedziemy na zakupy. Znam tu różne fajne sklepy. Mieszkałem w Dresden jak jeszcze był DDR. Pewnie tych czasów nie pamiętasz, bo byłeś bobaskiem. A ja już wtedy niezłe rwałem panienki. No i możliwości miałem większe niż teraz. I wybierać było w czym.

- I poniewierać?

- Jak chcesz, to ci o tym opowiem po drodze. Tylko może odbierz telefon. Przecież ten ktoś już któryś raz z rzędu dobija się do ciebie.

Joanna nie chciała rozmawiać z Tuniem w obecności Xawerego. Nie chciała, żeby on wiedział o niej więcej niż to konieczne. Przecież nie po to tu przyjechała, żeby zwierzać się obcemu mężczyźnie. Ona nigdy nikomu się nie zwierzała, nie opowiadała o sobie. Większość życia zeszła jej w milczeniu na czytaniu i gromadzeniu notatek. W tekturowych pudełkach je trzymała. Wszystko miało tam swoje miejsce i swój sens. Sterty pudełek po butach tworzyły mini piramidy w jej dawnym asystenckim pokoiku. To były notatki z lektur. Robione w różnych bibliotekach i archiwach rozsianych po całej Europie. Myślała, że są cenne. Że zawierają samą esencję tego, co poznała. Ale jednak zostawiła to wszystko, wyprowadzając się z Krakowa. Tunio obiecał jej, że się tym zaopiekuje, że przejmie pieczę nad jej notatkami, że to się nie zmarnuje. Że będzie trwało. Ta jej wiedza całkiem nieprzydatna, niepasująca do współczesnych czasów. Na co może się przydać umiejętność czytania kursywy merowińskiej? Komu to potrzebne? Joannie było potrzebne, ale już nie jest. Już nie musi się cofać, chodzić rakiem do tyłu. W czasy naprawdę odległe. To była jej terapia. Ucieczka w przeszłość, która rządziła się zupełnie innymi kategoriami. Ale od pewnego czasu Joanna postanowiła nie uciekać w przeszłość. Co wcale nie oznaczało, że zrobiła się bardziej otwarta wobec ludzi. Co to, to nie!

Xawery nie powinien wiedzieć o istnieniu Tunia, Moniki, a nade wszystko jej matki. Więc nie było żadnego powodu, dla którego miałyby teraz rozmawiać z Tuniem Stadnickim w obecności kogoś, kto prawdopodobnie był jego kuzynem. Nie ma powodu, żeby Xawery wiedział o niej więcej niż ona o nim. Jednak mimo wszystko odebrała telefon.

- O co chodzi? Dlaczego dzwonisz? Jestem teraz za granicą i nie mogę rozmawiać! Zadzwoń za kilka dni. Tunio, proszę cię, nie zaczynaj tej rozmowy, to już dawno nieaktualne. Nawet notatek wszystkich się pozbyłam. No nie żartuj. Chyba nie zamierzasz tego pisać za mnie! Proszę cię, nie wygłupiaj się! Dobrze, zadzwonię po powrocie. Obiecuję.

- Kto to jest Tunio?

- Znajomy z uczelni, jeszcze z krakowskich czasów.

- Były narzeczony, prawda?

- Coś w tym rodzaju.

- Nie chcesz mi o nim opowiedzieć?

- Tunia zostaw w spokoju, dobrze?

- Kochasz go?

- Szanuję, a to znacznie więcej.

- Tunio? A tak naprawdę jak on się nazywa?

- Wojciech Stadnicki.

- Czyżby hrabia Tunio? Mój daleki kuzyn zresztą.

Wiedziałaś o tym?

- Nie wypytuj. O nic mnie nie wypytuj, bo tego nie znoszę. Wypytywania cholernego. Powiedz mi lepiej, dlaczego

zgoiliłeś wąsy i brodę i wylałeś na siebie całą butelkę jakiegoś drogiego świństwa?

- Jeszcze masz czelność pytać? Najpierw całą noc mi trujesz, że jestem niedomytym plebejuszem, jakimś chamelem i prostakiem, który nie wiadomo, skąd pochodzi i jeszcze na dodatek śmierdzi strasznie, jak skunks, bo się nie myje. I wygląda jak jakiś zarośnięty, sarmacki burak. Więc co innego mogłem zrobić? Przewrotna jesteś, jak wszystkie kobiety!

- Ale mnie się bardzo podobały te twoje wąsy i broda i tamten zapach. Ten twój naturalny, jak byłeś spocony, w nocy. Prawdę mówiąc, był bardzo podniecający, a ten poranny perfumowany jest nieznośny. Wolałam cię takiego jak wczoraj w nocy Dzisiaj już nie należysz do mnie, jesteś kimś zupełnie obcym.

- Nie zbaczaj z tematu, dobrze? Czy Tunio wie, że jesteś ze mną?

- Tunio nic nie wie. Ja też nic o tobie nie wiem! Bo mi nie mówisz.

- Ale wiedziałaś, że twój przyjaciel to mój krewny?

- Domyślałam się.

- I dlatego mnie wybrałaś. Dlatego. Dlaczego mi nie powiedziałaś? Dlaczego przewrotna taka jesteś? I kłamiesz. Po co to robisz?

- Nie kłamię. Miałam nadzieję, że to przypadkowa zbieżność nazwisk. Tak się przecież często zdarza. Jeśli Tunio jest twoim kuzynem to chyba nic złego. Nic się przecież nie stało. To nie jest powód, żeby urządzać mi karczemną awanturę w tej karczmie.

- Znowu ci odbija, cały czas ci odbija, odkąd wysiadłaś z tego pociągu. Histeryzujesz. Uciekasz. Robisz mi sceny zazdrości. Odbija ci, cały czas ci odbija. To jest obrzydliwe.

Nic na to nie odpowie! Będzie milczeć. Xawery mówi, że jej odbija, żeby ją dobić. To jego ulubiony argument. Taki poniżej pasa. Odbija jej, ponieważ jest kobietą. Głupią samicą i rządzą nią hormony. Mówi, że jej odbija, zawsze wtedy, gdy chce ją odepchnąć. Przestać się odzywać. Nie odpowiadać na maile. Milczeć przez tydzień, albo i dwa. Żeby od niej odpocząć. Albo po prostu dlatego, że jest zbyt zaabsorbowany innymi kobietami, z którymi się spotyka albo koresponduje. Bawi się nimi w kotka i myszkę tak jak z nią. Daje im złudzenie bliskości, uwagi. Niech się łudzą, że jemu na nich zależy, że one cokolwiek go obchodzą. Ani ona, ani te inne kobiety tak naprawdę nie są ważne. Przegląda się tylko w nich jak w lustrze. Joanna swoje lustro w łazience po prostu zbiła, żeby nie patrzeć na swoją starzejącą się twarz. A on dokładnie z tych samych powodów przegląda się w spojrzeniach zachwyconych nim kobiet. Przecież nie zależy mu na nich. Ale bawi go to, że im na nim zależy. Że cierpią. Że im odbija. Tak jak jej w tej chwili. Tak jest - odbija jej! Nie wie, co się z nią dzieje, co ona tu robi, dlaczego pozwala się tak traktować mężczyźnie, który nawet jej się nie podoba? Wcale jej się nie podoba i nie podnieca jej ani trochę. Dlaczego więc nie potrafi wstać i wyjść z tej restauracji? Zamiast tego siedzi tu posłusznie i wysłuchuje jego kąśliwych, pełnych niechęci i pogardy uwag pod jej adresem.

Bo on się boi odpowiedzialności. Czyż nie? Boi się wszystkiego, co pachnie jakąkolwiek odpowiedzialnością. Dlatego trzyma wszystkie swoje kobiety na dystans, nie tylko ją. Potrzebuje ich ciał, żeby się sprawdzać jako mężczyzna. No i pewnie dlatego czasem mu nie wychodzi, tak jak wczoraj z nią. Dlatego ją odepchnął w łóżku. To właśnie ją najbardziej ubodło. Nie wyszło, nie stanął mu, więc odepchnął kobietę, nie chciał jej czułości. I dlatego ona już wie, że nie o nią mu chodzi i nie o żadną z tych wielu kobiet, które przewijają się przez jego posłanie. Przez jego obrzydliwy samczy barłóg! Chodzi mu tylko o to, żeby udowodnić samemu sobie, że jeszcze coś może, że nie jest starym mężczyzną.

Dzisiaj rano w końcu dopiął swego. Udało mu się i od razu mu przeszło. Ulżyło mu i dlatego był jej wdzięczny, a ona jemu. Naprawdę nie wie, za co mu była wdzięczna. Nawet na chwilę jej nie uszczęśliwił. Nie było jej dobrze nawet przez chwilę. Całkowite rozczarowanie. I potem usłyszała tylko, że jej odbija. Bo jest kobietą. Samicą - tak ją przecież wczoraj nazywał. „Moja samica”. I to było jedyne czułe słowo, jakie od niego usłyszała. Jedyne, na jakie się zdobył. Czułe i obraźliwe zarazem. Wtedy gdy o niej tak mówił, zależało mu na niej. Przez moment, przez krótką chwilę była dla niego ważna. Bo miał nadzieję, że mu wyjdzie. Że odniesie sukces, że będzie miał powód do dumy. Że się przejrzy w niej i że będzie jego lustrem. Pochlebcą. Ale ponieważ nic z tego nie wyszło, odepchnął ją, odwrócił się do niej plecami i teraz mówi, że jej odbija. Oczywiście nie powie mu tego, co myśli i czuje. Lepiej nie

wdawać się w niepotrzebne dyskusje. W żadne dyskusje z Njujorkerem ona wdawać się nie zamierza.

- Jasne, że mi odbija. Przecież każdej samicy odbija. Od tego są samice.

- No właśnie. To już uzgodniliśmy. To co, wychodzimy?

- Jak chcesz.

- Nie powiesz mi nic o tym Tuniu?

- Nie teraz.

- Jak chcesz.

Gdy wrócili do willi, od razu poszli do sypialni. Okazało się, że Xawery o czymś zapomniał. O czymś ważnym.

- Przecież mogłeś to kupić, jak tankowałeś paliwo.

- Fakt, nie wiedziałem, że mam jeszcze jakieś możliwości, że mi się uda dzisiaj po raz drugi. To twoja zasługa, powinnaś być dumna.

- Ty nie ściemniaj, tylko jedź na jakąś stację i kup. Mogłeś się lepiej przygotować.

- Dobrze, ale pokochajmy się chociaż raz bez tej gumy?

- Nie ma mowy.

- Ale przecież chcesz, żebym cię zapłodnił? Sama przed chwilą mówiłaś.

- Nie wiem, czy jesteś zdrowy. Nic o tobie nie wiem.

- Jestem zdrowy, nie mam HIV-a ani syfa. A poza tym przecież już jedna guma nam pękła, rano. Nie pamiętasz? Wypadek przy robocie, więc mamy to za sobą. Mleko się rozlało i jakoś wtedy nie zgłaszałaś żadnych reklamacji, co?

- Nie zgłaszałam.

- Mam rozumieć, że cię zaspokoilem?

- Zaspokoiłeś.
- Zaraz może być lepiej, tylko się zgódź.
- Nie .
- Jak uważasz.

Xawery był wyraźnie zirytowany. Znowu zaczerwienił się jak burak. I znowu wyszedł do łazienki.

Pewnie spędzi tam kolejną godzinę. Zupełnie tak jak rano. Humorzysty, okropny samiec. Dlaczego on jej się tak podoba? Tak bardzo. Co ona w nim widzi? Czar siwych włosów? A może wszystko przez to, że on już ma w sobie więcej niemocy niż mocy. Może właśnie ta poranna awantura ich do siebie zbliżyła? Bo zbliżyła. I awantura, i jej zakończenie. Ten krótki moment zgody, kiedy przestali ze sobą walczyć. Dziś rano w tym przedpokoju była naprawdę szczęśliwa. To był krótki moment. Jego zaczerwieniona twarz, zdenerwowana. Bo pewnie bał się, że znowu nic mu nie wyjdzie, że tylko potwierdzi się to, że nie jest już młody. On ma obsesję na punkcie tej swojej młodości, która już dawno minęła. Gdyby mu się wtedy nie powiodło, już by jej nie było w tym obcym mieście, w obcym domu. Jechałaby jakimś pociągiem na wschód, byle dalej stąd. Ale dali radę. Oboje. On wysapał, wystękał to swoje MOGĘ, aż prezerwatywa pękła, a ona zaakceptowała to, chociaż na dobrą sprawę nic nie poczuła. Nie dotknęło jej to. Było poza nią. Jak cała poprzednia noc spędzona w łóżku z mężczyzną, który traktował to miejsce jak pole bitwy. Napoleon cholerny. Nauczyli go, że zawsze musi odnosić sukcesy, zwłaszcza na tym polu. Nauczyli go, że męskość należy potwierdzać, a jej miarą jest fizjologia.

- No wyjdź z tej łazienki, proszę cię. Przyjdź do mnie wreszcie. Ile można czekać?!

Głos Joanny był mocny. Xawery natychmiast wykonał jej polecenie.

* * *

- Kim właściwie jest ta Monika, czy to jakaś twoja rodzina?

- Żadna rodzina. Ja nie mam rodziny. Oprócz matki. Nie mam nikogo.

- Więc dlaczego ta kobieta się wtrąca?

- Widocznie ktoś musi się wtrącać. Jak nie ma prawdziwej rodziny, to jest nieprawdziwa. Ktoś po prostu być musi. Zamiast. Dość już tego gadania. Miałeś mnie przytulić.

- Proszę bardzo, już się robi.

Xawery był zmęczony, cały czas ziewał, biedaczysko. Po chwili odwrócił się i zasnął.

Przecież nie powie mu, że cały czas ją bolało, nawet bardzo. I że musiała to ukrywać. Nie było to wcale łatwe, bo on jest uważnym kochankiem. Obserwował ją bacznie. I cały czas miał wątpliwości. Widziała to. I martwiła się, że jej nie będzie chciał. Że nie będzie chciał kobiety, która zamiast rozkoszy odczuwa ból. Więc udawała. Cały czas udawała. A co miała zrobić? Przyznać się przed nim, a co gorsza samą przed sobą, że z nią coś nie tak? Że do niczego się nie nadaje, a zwłaszcza do tego?

Poza tym nie było źle. Ostatecznie czy to takie ważne, co ona czuje? A raczej co czuje ta jej część, która nie

jest przecież najważniejsza? Chociaż dla niego pewnie jest. Więc Joanna dalej będzie udawać.

Niedziela, 7 listopada

- A może chcesz spróbować w samochodzie? Przecież tam sporo miejsca jest w tym dżipie.

Co za głupie pomysły ma ten jej wspaniały mężczyzna... To jemu chyba zaczęło odbijać. Może też jakieś hormony? Testosteron! A poza tym nie od dziś wiadomo, że każdy mężczyzna kojarzy się z samochodem, prawda? Taki Tunio na przykład nie ma samochodu, więc z niczym się nie kojarzy. On jest profesorem. I nigdy nie troszczył się o to, co Joanna przeżywa podczas spółkowania. Tunio-wi wystarczały jego własne przeżycia i o nic jej nawet nie pytał, i się na nią nie patrzył. I to wcale nie było takie złe, A z tym co tu siedzi obok, cały czas Joanna musi uważać, żeby się nie domyślił, żeby jej nie przyłapał na udawaniu, nie prześwietlił. A ona trochę udaje, żeby go zatrzymać, żeby chciał się z nią kochać i jeszcze trochę z nią pobył. Bo jak mu ta ochota na nią przejdzie, po prostu odejdzie. Ona dobrze wie, że i tak to zrobi, że ją porzuci, jak mu się znudzi. Ale jeszcze nie teraz. Jeszcze mu na niej zależy. Przynajmniej troszeczkę.

Więc kilka godzin wcześniej, po zjedzeniu befsztyka (dziś już dała mu się namówić i zjedli oboje), wsiedli do terenowego auta i pojechali z powrotem do tamtego domu położonego gdzieś w odległej od centrum willowej dzielnicy. Położyli się w tej niezbyt już świeżej pościeli.

I zgodnie z rytuałem, jaki ustalili się w ciągu ostatnich kilku dni, Joanna odgrywała swoją rolę, a on patrzył na nią tym swoim przenikliwym wzrokiem i pytał:

- Dlaczego chcesz tak? Przecież cię to boli. Widzę, że cię boli.

Joanna zaczęła gorąco zaprzeczać, mówiąc, że nic nie boli, że wręcz przeciwnie, że ten grymas na jej twarzy to z rozkoszy, a nie z bólu. I w końcu dał się namówić, żeby to robić od tyłu, że tak jest najlepiej. W tej pozycji nie będzie kaleczył jej twarzy swoim zarostem dwudniowym. Ach prawda, przecież znowu ogolił się dziś rano. Żeby jej nie kaleczyć, bo całą twarz miała czerwoną od jego pieśczoł. I nie tylko twarz. Nie chce nic jeść. Nie jest głodna. Przecież byli w restauracji. Jedzenie nie jest jej potrzebne. Jedyne czego pragnie, to jego obecności. No to jak będzie? Dalej będą się kochać i udawać ekstazę, której nie ma. Bo ona była gdzie indziej. W tej korespondencji, którą ze sobą prowadzili przez kilka ostatnich miesięcy, a która już się skończyła. Bo przecież jak on wróci do NY, do siebie, to już do niej nie napisze ani słowa, bo i po co? Nie pisze się miłosnych listów do kobiety, którą się posiadało. I jej ciało nie jest tajemnicą i nic nowego nie ma do zaoferowania. Bo już wszystko z siebie dało.

Ale wróćmy do tego samochodu, który wcale nie jest jego, tylko wypożyczony. Na czas pobytu tutaj w Niemczech. Ten samochód zawsze już będzie jej się kojarzył z Xawerym. Jest właśnie taki jak on. Z innego świata. Ostry, kanciasty, zdecydowany, zupełnie jak on. A teraz niech powie prawdę, czy ona mu się chociaż trochę podoba,

czy ją lubi? Pytała go o to przez całą pierwszą noc, a on odpowiadał wymijająco. Raz tylko szepnął jej na ucho, że ją uwielbia. Ale co to znaczy? Że lubi? Czy może jednak coś więcej? Nie, przecież to oczywiste - nie kocha jej. On nigdy nikogo nie kochał. Jest przecież cynikiem i tchórzem. Sam o tym pisał. Ostrzegał ją w ten sposób, żeby nie obiecywała sobie zbyt wiele po tej znajomości, która jest tylko przelotną łóżkową przygodą i niczym więcej. To dlaczego ona skamle o więcej, jak suka? Już nawet to nic nieznaczące słowo „uwielbiam” zaczyna nabierać jakiegoś sensu. Może miał na myśli coś innego? Może jest przed nimi jakaś przyszłość, jakaś szansa? On nawet nie wie, jak ona by chciała, żeby to było coś, a nie to co zwykle. Niesmak, kac, upokorzenie. Bo właśnie zawsze w ten sposób kończyły się jej przygody z mężczyznami.

Poniedziałek, 8 listopada

- No nie marudź. Musimy popracować nad twoim wizerunkiem. Nie możesz tak chodzić. W tych okropnych okularach i w tych ciuchach niemodnych. Nie mówił ci nikt, że cię postarzają o dziesięć lat. Okulary i ciuchy też. Że wyglądasz w nich jak zasuszona stara panna? Naprawdę nie zdajesz sobie z tego sprawy? Przecież tak nie można. Nie można robić z siebie kogoś takiego. A może zależy ci na tym, żeby wyglądać tak nieatrakcyjnie? No i jeszcze włosy. Fryzura i kolor. Nie gniewaj się, ale kolor zupełnie do ciebie nie pasuje. Ja ciebie widzę jako blondynkę. Taką więcej eteryczną. Tak jest, jasne włosy załatwią wszystko.

Zmienisz się nie do poznania. Będziesz znakomicie wyglądać w blond włosach. Jestem tego pewien. No nie bocz się. Przecież to wszystko dla twojego dobra. Po prostu chcę, żebyś ładnie wyglądała. Jak kobieta. Będziesz się lepiej czuła. Zobaczysz.

Joanna nie wiedziała, jak ma mu wytłumaczyć, że nie chce zmieniać takich rzeczy. Ważnych rzeczy. Fundamentalnych. Nie ma zamiaru zmieniać ani swojego życia, ani koloru włosów. Nie mówiła jednak nic na ten temat, bo nie mogła zdobyć się na odwagę, żeby mu to wprost powiedzieć. Takie rzeczy można napisać, ale nie da się o nich mówić.

- No nie bocz się tak, tylko przymierz. Przecież to są naprawdę twarzowe oprawki. I jeszcze zamówimy szkła kontaktowe. Przecież masz takie duże oczy, trzeba to światu pokazać. Niech wszyscy zobaczą. I jeszcze pojedziemy kupić parę rzeczy do ubrania. Nie powinnaś chodzić w spodniach. Ja bym cię wolał w minispódniczkach. Takich grzecznych, w szkocką kratkę. Przecież mówiłem ci, że zawsze chciałem mieć córkę. I żeby nosiła takie spódnice. Kuse. I granatowe żakiety. Pensjonarskie. Zobacz, te oprawki - małe, druciane - pasowałyby do tego. Najlepiej, żeby były czarne. I koniecznie blond włosy. Uwierz mi, tak będzie najlepiej.

- Ale te wszystkie rzeczy nie zmieszczą mi się w walizce! Widziałeś, jaka jest mała.

- Nie martw się, odwiozę cię do domu.

- Chcesz pojechać do Warszawy?

- Tak, chcę. Mam nadzieję, że mnie przyjmiesz u siebie?

- Ale ja mieszkam w kawalerce.

- A co to ma do rzeczy!

Piątek, 12 listopada

A ona co? Nic. Ciągle swoje. Mówię panu. Matką własną rodzoną opiekować się nie chce! Bo ma ciekawsze rzeczy do roboty. Gacha jakiegoś sobie przygruchala. Starszawego takiego. I pewnie się z tym gachem po świecie wozić zamierza. Zamiast się chorą matką opiekować! Byłam tam wczoraj u niej, w tej kawalerce. Za Żelazną Bramą. To znaczy byłam i nie byłam, bo mnie nie wpuściła. Do drzwi dzwonię raz, drugi, trzeci. Nikt nie otwiera. Ale przecież ktoś jest w mieszkaniu. Bo słyszę ODGŁOSY. Jakby ktoś, no wie pan, robił te rzeczy. W biały dzień! A właściwie z samego rana. Kto takie rzeczy robi rano? Tylko jakiś margines społeczny, niebieskie ptaki się kiedyś mówiło o takich, co im się z rana do pracy chodzić nie chce.

A na korytarzu pełno dzieci, ludzi do pracy spieszących. Normalnych ludzi, co z mieszkania o tej porze wychodzą. Pełno zwyczajnych Polaków. I Wietnamczyków. Bo w tym bloku, gdzie Joaśka mieszka, dużo się tych żółtych i skośnookich zagnieździło, niestety. To fakt. Ale nie zbaczajmy z tematu. Chodzi o to, że mnóstwo ludzi na korytarzu, a u niej poróbstwo jakieś, kopulacja bezwstydna. I wszyscy to słyszą przecież. Nie tylko ja. Te jęki i postękiwania. Bo ta

dziewczyna hamulców żadnych już nie ma. A ludzie, jak to ludzie, z politowaniem uśmiechają się, głowami kiwają. Na mnie patrzą. Że co ja robię tu, pod tymi drzwiami? A ja do tych drzwi cholernych dzwonię trzeci, czwarty raz, a potem piąty i dziesiąty. Dzwonię, pukam, w końcu walę do tych drzwi pięścią.

I wreszcie otwiera mi. Ona - głowa cała potargana, z włosami ufarbowanymi na jakiś dziwny kolor. Ni to blond, ni to siwy. W rozciągniętym, o wiele za dużym swetrze na suwak zapinanym. Piersi, całe w czerwonych plamach, prawie na wierzchu ma. Wiadomo od czego te plamy! Bezwstydnica jedna! Drzwi otwiera, ale wpuścić mnie do środka nie chce. Stoi tak w progu z tymi cycami obwisłymi. I mówi mi wprost, bez ogródek, że z mężczyzną teraz jest i że przeszkadzam, bo właśnie zajęci są, a ja im przerwałam. Kochanie przerwałam. Kompletnie już tej naszej Joasce odbiło, ja to panu mówię.

Kiedyś inna była przecież. Chodziła w okularach, takich poważnych. I wcale nie malowała się. I ubierała skromnie jakoś, normalnie, tak na szaro, jak wszyscy. Pod szyję zapięta zawsze była, w każdym razie. I nawet piersi miała mniejsze. Przyzwoitsze zdecydowanie. A teraz te cyce olbrzymiaste na wierzchu. I nie tylko. Cała goła pod tym swetrem była. Jak ją Pan Bóg stworzył. Ale ja zbyć się nie dam.

Zajrzałam do środka. Nie wyobraża sobie pan, jaki tam bałagan panował! Bardak. Na podłodze łąchów pełno. Jego, znaczy się tego gacha. Skarpetek śmierdzących, gaci, podkoszulków cały stos. I jej majtki też na podłodze. Czerwone w dodatku! A na łóżku, no niech pan to sobie

wyobrazi, ten gach bezwstydnym rozwalony leży i śmieje się. Rechocze jak żaba. Wyobraża pan to sobie! Goły facet, z chujem na wierzchu, prosto mi w oczy patrzy i śmieje mi się w twarz. Stary lubieżny dziad. Po pięćdziesiątce on musi być. I to porządnie. Niewiele od mojego Szczepana młodszy. Taki tam, łysawy. Ale kawał chłopca przy tym. I do ojca Joanny podobny jak cholera. Ale w sumie, mówię panu, obrzydliwość nie mężczyzna. Co ona w nim zobaczyła? Podobno aż ze Stanów do naszej Joaśki przyjechał. Widziałam go, bo odbijał się w lustrze. Joaśka takie wielkie lustro ma. Po ciotce Bronce. Zawsze je zasłaniała starą kapą. Ale teraz postanowiła odsłonić. I widziałam tego jej gacha dzięki temu. W lustrze go widziałam. A on się śmiał. Że mnie się śmiał.

A Joaśce to pewnie imponuje ta Ameryka. Zawsze taka była. Parle franse. Jak jej ojciec. Też taki mądrała z niego był. I co? Zawinął się i umarł. Ducha wyzionął. I teraz Joaśka w jego kawalerce mieszka. Wszystkie meble te same ma. Pan nie zna tych mebli, bo pan tam chyba nigdy nie był. Joaśka nikogo nie zaprasza, bo ona skryta jest i niegościnna, zupełnie jak jej stary. A te jej meble nawet ładne są, całkiem jak z desy. Wartościowe. Tylko ten bałagan. I rechet tego gacha. Nie do wytrzymania.

Tylko pan może coś tu pomóc. Nikt inny, tylko pan, panie Wojciechu drogi. Bo z pana zdaniem ona liczy się. A do matki swojej rodzonej to tylko pretensje ma. O życie swoje nieudane, bez mężczyzny. O zmarnowane lata na uczelni. Pan jeden może na nią wpłynąć, żeby się z tym dziadem zadawać przestała. Czy pan sobie wyobraża ją

w tych włosach niby-blond? Jak jakaś lafirynda wygląda. A wiadomo jak takie kończą. Pod mostem albo jeszcze gorzej. I co ja mam powiedzieć jej matce? Cóż z tego, że matka w głowie pomieszane ma? Matka to zawsze matka jest. Przecież gdyby wiedziała, co z jej córką jedyną dzieje się, to by włosy siwe z głowy rwała.

I wie pan, tam w Joaški pokoju na ścianie, na wprost drzwi wejściowych, nagi portret wisi. Joaški chyba. Właściwie to widać na nim tylko jej tyłek i plecy, bo to taki odwrócony portret jest. A do tego bezwstydnym! Chyba on go na malował. „Podoba ci się? Ładnie mój Xawery maluje, co?” - tak stała i też śmiała mi się prosto w nos. Pijana chyba była, albo jeszcze gorzej! Ona stała tak w drzwiach i na mnie się patrzyła, jakby chciała powiedzieć: „No i co tu robisz? Czego tu jeszcze sterczysz?”.

Jak ona mogła takiego bohomaza na wprost drzwi powiesić? Przecież teraz każdy może jej goły tyłek zobaczyć! Nawet ksiądz jak po kołędzie będzie chodził, albo, o zgrozo, ministranci, albo listonosz!

Że co? Że ja niby taka wścibska jestem, że ludziom pod kołdrę zaglądam? Gach się śmieje na całe gardło, patrzy się przez takie małe okulariki swoimi świdrującymi oczkami. Jak diabeł jakiś. A ona wtóruje mu. Chichocze jak opętana.

A ja jak wryta stoję i na to patrzę. I nie wierzę, że to się naprawdę dzieje. Bo ta dziewczyna zwariowała. I skończy źle, chyba że pan jej pomoże. Niech jej pan powie, żeby od tego diabła uciekała. I niech mi pan obieca, że pan porozmawia z nią. Bo ona matkę tu zostawić samą chce i z tym

gachem wyjechać. Mówi, że kocha go i kawałek normalnego życia mieć chce, z nim właśnie. Już ja to normalne życie widzę z tym rechoczącym dziadygą! Niech pan ją ratuje! Panie Wojciechu kochany, drogi, błagam pana w imieniu matki! Bo ja przecież zamiast matki występuję, rzecznikiem matki jestem! Czy pan wie, jak on się nazywa? Dokładnie tak jak pan na nazwisko ma. Wiem, bo się wywiedziałam. Czy to możliwe? Przecież pan z dobrej rodziny pochodzi, a ten gach to jakiś odszczepieniec, więc jak może nosić takie szacowne nazwisko?! Uważa pan, że to jego prawdziwe nazwisko jest? Bo ja tak nie uważam. Pewność mam, że on kłamie. Łże jak pies, a ona w te kłamstwa wierzy i pozwala za nos się wodzić, albo co gorsza za inną część ciała.

Jak wreszcie poszłam sobie stamtąd, to mi się w głowie kręciło i nie wiedziałam, dokąd iść mam po czymś takim. Do domu? Do Szczepana, to jest mojego ślubnego, do dzieci? Może do kościoła, żeby się księdza poradzić, co robić z tym nieszczęściem mam. Ale jak tu księdzu o takiej poniewierce opowiadać? Wstyd. I jeszcze na dodatek winda popsuła się, bo tam taka więcej psująca się winda jest, ale ja z tego wszystkiego zapomniałam o tym, więc czekać musiałam między piętrami na przyjazd technika. I przez cały czas myślałam, co robić. I pomyślałam, że tylko do pana prośbę mieć mogę w tej sprawie. Bo pan jest człowiek życzliwy i na poziomie, i Joaškę zna pan od dawna. Więc, jak będzie, zadzwoni do niej pan?

I jeszcze jedno, jak wreszcie z tej windy uwolnili mnie, widziałam ich, to znaczy Joaškę i tego jej gacha, jak do

samochoodu wsiadali. Do dżipa jakiegoś chyba. I widzi pan, ja się najbardziej boję, że ona z Polski wyjedzie, tym dżipem, albo nawet samolotem. I nie wróci już. I matkę samą zostawi chorą w szpitalu. A pan wie, jak ludzi w szpitalu traktują, i to u czubków w dodatku. Ale ją matka nic a nic nie obchodzi, ani pan Jezus, ani zbawienie, bo ona nie zbawienia szuka, a poniewierki. A w mieszkaniu widziałam puste butelki po winie i po tym, jak to się teraz mówi? Łyskaczu? Panie Wojciechu, ja zaklinam pana, niech pan do niej zadzwoni, a najlepiej przyjedzie, bo ja się nieszczęścia jakiegoś obawiam. Ten człowiek to diabeł, antychryst jakiś!

I znowu wróciło tamto wielkie tuniowe uczucie, słodka fala marzeń go zalała. Jak nie trzeba będzie pójść do toalety i oddać naturze należny hołd! W końcu Tunio dawno już tego nie robił. Jakies dwa tygodnie, a może nawet miesiąc. Pani Zunia pewnie znowu stoi pod drzwiami i nasłuchuje, czy aby Tunio znowu nie rozmawia przez telefon. Ciekawa jest, kto dzwonił i w jakiej sprawie. Dlatego Tunio odpowiadał Monice tak monosylabicznie, właściwie poza „tak” i „mhm” żadnego słowa nie wypowiedział.

Jednak pani Zunia wiedzona tajemniczym matczynym instynktem i tak się domyśliła i poczuła zagrożenie. Teraz blok serca musi zadziałać. Ruszyć do ataku! W końcu od tego jest! Blok serca, serce zablokowane. Już prawie oddychać nie może. Tchu nie może załapać. Zaraz przytomność straci.

- Ależ nie, pani Teci, niechże pani nie dzwoni na pogotowie. Lekarz z pogotowia nic tu nie pomoże, zresztą to są najgorsi lekarze, ci z pogotowia. Niedouczeni, przecież sama pani wie. Uchowaj Boże przed takimi lekarzami! Ja się tylko muszę położyć. Ale niech pani okna nie otwiera, bo się przeziębię. Tuuunio! Gdzie on się podziewa ten chłopiec? Tuuunio! Zamiast siedzieć przy łóżku matki, on siedzi w ubikacji! Nie, pani Teci, niech go pani nie usprawiedliwia. Tu nie ma nic na usprawiedliwienie. On ciągle ode mnie ucieka! Że niby wykłady ma ze studentami dodatkowe. Już ja wiem, gdzie on na te wykłady chodził! A teraz znowu cały czas do niej wydzwania. Myśli o niej cały czas. Czy pani zwróciła uwagę na to, jak on się zamysła? Cały czas jest *esprit d'ailleurs*. Cały czas. O matce, schorowanej, która w każdej chwili może się przenieść na łono Abrahama, to on już nie pamięta. Nie chce pamiętać. I co on teraz robi w tej ubikacji? Już dwa razy wodę spuszczał i jeszcze nie wyszedł! Tuunio! Tuuunio!

- Czy mama zawsze tak musi krzyczeć?! Ogłuchnę zaraz, jak mama będzie tak głośno krzyczała. Już do mamy idę. Niech się mama nie denerwuje, proszę, bo to mamie szkodzi. Przecież mama ma blok serca i lekarz zalecił mamie spokój. Musi mama panować nad emocjami. Ja cały czas tutaj jestem. I nigdzie nie wychodzę.

- Ale usiądź tutaj, o tu na stołeczku i potrzyмай mnie za rękę, synku. O tak. Właśnie tak. Teraz jest dobrze. Nareszcie.

- Pani Teci, mama zasnęła. Wreszcie. To ja może jednak, wyjdę. Przejdę się trochę, pokręcę się po Rynku. Dobrze mi to zrobi. Już dwa dni w domu siedzę, bo mamę serce boli. Czy pani wie, co to jest ten blok serca? Bo ja się na medycznych sprawach nie znam zupełnie.

- To nic nie jest, panie Tuniu. Niech się pan nie martwi. Mama ma serce jak dzwon i wszystkich nas jeszcze przeżyje. A jak pan będzie tyle pracował i z domu nie wychodził, to się pan wykończy. Pan się powinien ożenić, mieć dzieci, życie normalne mieć, a nie się dla mamusi poświęcać! Latka leca, panie Tuniu, już nie jest pan młody. Trzeba się spieszyć, bo niedługo będzie za późno.

- Pani Teci droga, przecież pani wie, że mamusia żadnej kobiety do mnie nie dopuści. Tyle dziewcząt stąd już wypłoszyła, że następnej nie przyprowadzę. A poza tym chyba żadnej się nie podobam.

- Co też pan opowiada, panie Tuniu! Z pana to jeszcze bardzo, ale to bardzo piękny mężczyzna jest! Jak malowanie!

- Tylko w pani życzliwych oczach, pani Teci kochana. Niestety.

Tunio miał do przemyślenia kilka ważnych spraw. No i musiał skontaktować się z kim trzeba. Zdobyć namiary na tego gagatka. Nie mógł inaczej postąpić. To była nie tylko kwesta honoru, lecz życia. Jego życia i życia tej szlachetnej, wspaniałej kobiety, którą przecież kochał.

Poniedziałek, 15 listopada

Automatyczna sekretarka coś tam dziamgocze a la Monika, a może ktoś inny. Tunio? Może to on nagrał się Joannie na sekretarce. Czy to ma w ogóle jakieś znaczenie?

Nie, to nie on. Tunio pędzi teraz na wykłady. Pani Teczka ugotowała mleko z rana, może nawet przypaliła to mleko i wypić się go nie dało, ale mleko przecież cholernie zdrowe jest. Cholernie. Tunio mleczka dziś nie wypił, bo nie lubi przypalonego. Wyszedł z domu bez śniadania i pędzi do pracy ulicą Pędzichów, albo już nawet na Plantach jest. Spieszy się, żeby się nie spóźnić, bo spóźnić się nie wypada. Przynajmniej panu profesorowi na wykład ze studentami. Cały czas myśli, co tam u Joanny słyszeć, czy ten jego kuzyn-niekuzyn Xawery wyniósł się już od niej, czy jeszcze cały czas tam siedzi i dręczy tę biedną kobietę.

Łajdak, łajdak i jeszcze raz łajdak! Łajdak nad łajdakami. Pewnie niemało kobiet nacierpiało się przez niego. Co one wszystkie widzą w tego typu facetach, dlaczego im się podoba Xawery, a nie Tunio? Tunio podobać się nie może, bo jest łysy. No może nie tylko dlatego. To wszystko mamusi wina. Pani Zuni - hrabiny Izabeli *primo voto* coś tam, *de domo* też jakoś tam. Nie pozwalała mu chodzić na randki, jak był młody i jeszcze miał małe co nieco na tej swojej mądrej głowie. Rozliczała go z każdej godziny, nawet z minuty też rozliczała.

Bo pani Zunia powinna być księgową! Miałyby wtedy pole do rozliczeń, a jej wrodzona dokładność i skrupulatność znalazłyby właściwe ujście. Ale ponieważ tak się

w życiu złożyło, że pani Zuni nie dane było przepracować w życiu ani jednego dnia, z braku innych możliwości zaczęła rozliczać swego jedynaka z win popełnionych i nie-popełnionych, nie dając mu nigdy rozgrzeszenia. A jak już jakąś koleżankę przyprowadzał do domu, wtedy piekło robiła i dziewczyny uciekały w popłochu. I tak Tunio starym kawalerem został. Zanim się zdążył zorientować, nie miał już połowy włosów na głowie, a co gorsza żadna z jego koleżanek nie była już panną. Nie miał do kogo się zalecać, o kogo starać. Pozostał sam na placu boju. Do wzięcia były tylko same kaszaloty, jak Jaga Chłopicka na przykład. A z kaszalotami Tunio wiązać się nie chciał i nadal nie chce!

Natomiast ten Xawery przecież musi być sporo starszy od Tunia. A do tego zniszczony i zblazowany. Taki podstarzały lowelas. Po prostu stary dziad, który się ślini do znacznie młodszych od siebie kobiet. I w dodatku bez żadnego dorobku. Nic w życiu nie osiągnął. A w jego ogródku... No właśnie, w ogródku Xawerego, gdzieś tam w stanie Nowy Jork lub gdzieś indziej (to naprawdę nie jest istotne, gdzie ten stary dziadyga ma swój ogródek, jeśli oczywiście ma coś takiego). Więc w tym ogródku są zapewne pochowane kości tych wszystkich młodych dziewczyn, które uprowadził i zamordował. A teraz chce, żeby Joanna przyjechała do niego. Wiadomo w jakim celu! Ona bidulka nie zdaje sobie sprawy z zagrożenia. Wydaje się jej, że spotkała mężczyznę swojego życia. A to nie Xawery, tylko Tunio jest tym mężczyzną. I to właśnie z nim powinna wrócić do Krakowa. I osiąść tam na stałe.

I mogliby co niedziela chodzić na spacer na Planty, a potem do kawiarni na Rynku. Na kawę i ciastko. Tunio przecież bardzo lubił ciastka. Zwłaszcza kremówki. Wiadomo, że papieskie kremówki najlepsze na świecie! Nie tylko te z Wadowic. W Krakowie też można dostać kremówki. Całkiem niezłe. Miło tak siedzieć w kawiarni z ukochaną kobietą i zjadać kremówki, popijając kawą. Kawa oczywiście musi być biała. Że śmietanką.

Rzecz jasna najlepszą kawę parzy pani Teczka. Z kawą pani Teczki żadna kawa z kawiarni nie może się równać. To jest oczywista oczywistość. Pani Teczka nie tylko parzy najlepszą kawę w Krakowie, ale przede wszystkim znakomicie gotuje. Jej sznyceł wiedeński, zrazy zawijane z buraczkami, a do tego tłuczone ziemniaki to poezja. I torcik Pischinger na deser! Mniem! Palce lizać. Pani Teczka w kuchni jest niezastąpiona. W życiu też. Zawsze cierpliwie wysłucha, pocieszy. A do tego jest dyskretna. Anioł nie kobieta z tej naszej kochanej pani Teczki.

Dlaczego Joanna nie chce zrozumieć, że właśnie w Krakowie u boku Tunia Stadnickiego byłoby jej najlepiej? Wszystko by miała. Mogliby chodzić na spacer nad Wisłę. Oczywiście Tunio trzymałby ją pod rękę, jak na męża przystało. I spotykaliby wszystkich znajomych z uczelni. Wymienialiby ukłony. I przyjmowaliby gości. Zwłaszcza w jego imieniny. Dwudziestego trzeciego kwietnia, kiedy wypada Jerzego i Wojciecha. Zawsze świętowali razem z ojcem ten dzień. A od śmierci ojca w wigilię imienin chodzą z panią Zunią na cmentarz Rakowicki, znicz zapalić. A Pani Teczka zawsze wtedy robi tort węgierski albo

Sachera. Więc gdyby Joanna się zdecydowała za niego wyjść, zasiadali by w stołowym całą rodziną. No i wreszcie stół można by rozsunąć, pokazać jego możliwości. Przecież to jest stół na dwadzieścia cztery osoby. No nie, aż tylu dobrych znajomych Tunio nie ma. Ale taką uroczystą imieninową herbatkę na dwanaście osób dałoby się zorganizować. Siedzieliby w stołowym zupełnie jak kiedyś, gdy żył ojciec Tunia. W stołowym zapalano wtedy XIX-wieczny kryształowy żyrandol przerobiony na elektryczny. A pani Teczka wyjmowała z kredensu odświętną zastawę. Wszystko błyszczało, świeciło, pachniało. Zawsze tak było na Boże Narodzenie, na Wielkanoc i z okazji imienin pana domu oraz jego syna. Ale od śmierci ojca nastały nowe czasy. Stare pokolenie coraz częściej chorowało. Bywalcom imieninowych przyjęć u państwa Stadnickich brakowało już sił, żeby się ubrać jak należy, zejść po schodach, odebrać kwiaty zamówione w kwiaciarni. Już nie było sił, żeby wsiąść w taksówkę. Zamiast chodzić na prośzone herbatki, zalegali w łózkach. Pielęgnowały ich żony, dzieci albo siostry z PCK. Już nie potrzebowali wkładać sztucznych szczęk, bo trawili tylko półpłynny pokarm. Świat przyjęć przeminął wraz z tamtą generacją, urodzoną w pierwszym dwudziestoleciu poprzedniego stulecia. Jak ojciec Tunia - hrabia Jerzy. Rocznik 1920. Piękny rocznik. Papieski. I piękna karta w historii. Tunio był jego jedynakiem. Późnym dzieckiem. Wyczekany, wymodlony. Przyszedł na świat tylko dzięki wstawiennictwu Najświętszej Pani. Cudownego obrazu Jasnogórskiej Pani.

Nic dziwnego, że został wychowany w jej kulcie. Był bardzo religijny

I właśnie z tego powodu cierpiał najbardziej. Pragnął żyć w zgodzie z nakazami Matki Kościoła. Ale nie mógł. I nie miał ani siły, ani odwagi, żeby się księdzu w konfesjonale wyspowiadać z tych wszystkich nieczystych myśli i czynów, których systematycznie dopuszczał się w łazience albo pod kołdrą. Bardzo mu to ciążyło. A przecież gdyby się ożenił i mógł normalnie spełniać powinności małżeńskie, nie byłoby tych wszystkich grzechów. I mógłby żyć w zgodzie ze sobą i z wiarą katolicką.

Więc jeśli Joanna nie chciałaby chodzić piechotą na niedzielne spacerki, mógłby kupić auto i robiliby wypadki za miasto. Żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Przecież tak niedaleko są góry. I Jura Krakowsko-Częstochowska blisko, też piękne okolice, trzeba to przyznać. Wszędzie tam można się zrelaksować po ciężkim tygodniu. Nie to co w tej brudnej, zadymionej Warszawie. Co ona widzi w tym nieciekawym mieście? Tam się po prostu nie da żyć. Brud, smród, jazgot samochodów i ludzi.

No właśnie, ludzie w tej Warszawie są najgorsi. Arogancy, źle wychowani. Gonią tylko za karierą i pieniędzmi. A to miasto nie ma żadnego charakteru, klimatu. Ponure szare mrówkowce w centrum stolicy. To zupełnie nie po europejsku. Raczej po bolszewicku. W jednym z takich bocznych mieszkań mieszka Joanna. W kawalerce. Jak można mieszkać w kawalerce? Przecież w takiej klitce nic się nie mieści. Ani meble, ani ubrania, a co gorsza nie sposób tam zmieścić książki. Ona jednak była przyzwyczajona do

takich spartańskich warunków i małych przestrzeni. Nie narzekała nawet na warunki panujące w domu asystentkim. A przecież mogłaby żyć inaczej, lepiej. Na przykład z Tuniem w jego wielkim mieszkaniu.

Tunio dzwoni do Joanny, żeby sprawdzić, czy wszystko u niej w porządku. Czy już się obudziła sama w łóżku? Miejmy nadzieje, że sama, że bez niego. Nareszcie wolna. I czy Tunio może już przyjechać? To najtrudniejsze pytanie. Czy mu przejdzie przez gardło, czy zdoła wypowiedzieć te słowa? Jeśli tak, to zaraz pójdzie na dworzec i wsiądzie w pociąg. Będzie w Warszawie za trzy godziny, no może za cztery. Czyli zaraz. I wreszcie się spotkają - Tunio i Joanna. Nareszcie. Po tylu miesiącach niewiedzenia. Trudnych do wytrzymania, prawdę mówiąc. Dla Tunia, który z początku zupełnie nie rozumiał, ale teraz już rozumie, dlaczego Joanna nie odbierała telefonów od niego i nie odpowiadała ani na maile, ani na listy, których całkiem sporo wysłał.

Joanna H. milczała, ponieważ w jej życiu pojawił się ktoś. Mężczyzna z Internetu. Zupełnie przypadkowo, albo całkiem nieprzypadkowo, mężczyzną tym był właśnie Xawery, facet o tym samym nazwisku co Tunio. Jego daleki kuzyn. Właściwie to dziesiąta woda po kisielu, ale udało się go namierzyć i zdobyć numer jego telefonu. Tylko dzięki rodzinnym kontaktom. Od czego bowiem jest rodzina? Od tego mianowicie, żeby mieć koligacje i kontakty. Jak najlepsze jedne i drugie.

Ale tak naprawdę to całą tę aferę wytropiła nieociekona Monika. Gdyby nie ona, Tunio nic by nie wiedział

i nie zatelefonowałyby do Xawerego, cholernego Casanovy, a może nawet Sinobrodego. I nie powiedziała by mu, co myśli o uwodzeniu Joanny - uczciwej kobiety, która zasługiwała na coś więcej. A Xawery by cierpliwie nie wysłuchał tego, co mu Tunio miał do powiedzenia i nie obiecałyby, że zniknie z mieszkania przy ulicy Żelaznej najszybciej, jak to będzie możliwe.

„No więc teraz podnieś tę słuchawkę, Joanno, albo odbierz komórkę. Daj znak, że żyjesz i że na mnie czekasz. Zaraz do ciebie przyjadę, odwołam tylko wykład i już pędzę na dworzec. I wyjaśnię ci wszystko, całe to nieporozumienie z moim kuzynem” - myślał gorączkowo Tunio. Dlaczego w ogóle ona się z nim zadała, dlaczego? To zły i zdemoralizowany człowiek. Wszyscy są tego zdania, cała rodzina, nie tylko Tunio. A Joanna zasługuje przecież na kogoś lepszego. Na Tunia zasługuje. Wróci na uczelnię, obroni doktorat, najpierw oczywiście musi go dokończyć. No i pobiorą się. Zresztą kolejność nieważna. Pobrać się mogą od razu! Jeśli nie będzie chciała mieszkać z jego matką, kupi mieszkanie gdzie indziej i tam zamieszkają. A potem Joanna obroni doktorat. Przecież jest już prawie skończony.

Dlaczego nie odbiera telefonu? Nagrał się jej na wszystkich możliwych sekretarkach już kilka razy. Joanna musi przestać rozpamiętywać to, co było, bo to nie miało żadnego sensu. Tunio nie rozumie, jak można było tak się zadurzyć w Xawerym. Ani on młody, ani przystojny. Prawdę mówiąc, znacznie starszy od Tunia. Zresztą Joanna sama wie. Taki wyleniały, stary kocur. On już niczego

w życiu nie osiągnie, a poza tym - z tego co Tunio wie - ma skłonność do hazardu. Kiedyś przegra w kasynie wszystko, co posiada. I wtedy zamieszka w samochodzie, albo w namiocie. I będzie malował jeden z tych swoich mrocznych obrazów, których i tak nikt nie kupi, bo takie są genialne. I będzie się budził codziennie na zamglonej łące pod miastem, odpalał samochód i jechał na basen. Żeby się tam wykapać, zrobić poranną toaletę. A po pracy wieczorami będzie krążył po ulicach wielkiego miasta, patrzył na ludzi, oddał się od nich. Będzie dziczał. Miasto - kiedyś jego ulubione miejsce przepływania przez czas i przestrzeń - zrobi się nieprzyjazne. Las, jezioro, łąki, góry przywracać go będą do życia. I będzie zdrowy i - naturalnie - będzie czuł, że ma ciało. Najbardziej będzie mu brakowało kochania, więc będzie patrzył na kobiety jak stary wygłodniały pies. Zakocha się też (z wzajemnością na szczęście) w kobiecie, która oczywiście będzie musiała być daleko. Pewnie przyjedzie do Polski na wakacje i zapewne napisze o tym Joannie. Napisze, że był w Polsce, ale się do niej nie odezwał, bo i po co. I że jeszcze trzeba kolejnych dziesięciu lat albo i więcej, żeby to miejsce, ta Polska wciąż siermiężna i biedna, nadawała się nie tylko do wakacji.

Tak przecież będzie i to już niedługo. Tunio jest pewien, że ten hazardzista tak właśnie skończy. Pod mostem, jako wyrzutek społeczeństwa. Tylko niech Joanna odbierze w końcu ten telefon. Oby nie zrobiła jakiegoś głupstwa. No chyba nie umrze z rozpacz, nie załamie się z tak błahego w gruncie rzeczy powodu? Przecież cała ta znajomość

z jego dalekim kuzynem to jedna wielka pomyłka. Tunio nie rozumie, prawdę mówiąc, co ją w nim ujęło. Kobiety mają chwile słabości, skoro nawet mężczyźni je mają. Niepotrzebnie się tak odizolowała od świata, od ludzi. A przede wszystkim Tunio nie może zrozumieć, dlaczego odizolowała się od niego. Od swojego największego przyjaciela, który ją kocha w dodatku i dałby się żywcem za nią pokroić. A Joanna od niego uciekła i zamieszkała w obskurnej kawalerce, którą odziedziczyła po zmarłym ojcu. Nie wiadomo, po co jej to wszystko było.

I zupełnie Tunio nie rozumie, dlaczego zadała się z jego kuzynem. Bo przecież właśnie dlatego go wybrała. Wiedziała, że to jego kuzyn. Postanowiła dać Tuniovi nauczkę albo zagrać mu na nosie, żeby popamiętał i przestał być syneczkiem mamusi i na coś się zdecydował. Na przykład na bycie z Joanną. Więc niech Joanna się dowie, że już się na to zdecydował. Jest gotowy zostawić matkę i rozpocząć nowe życie z kobietą, którą kocha od tak dawna.

I właśnie kupuje bilet w kasie na dworcu. Niedługo odchodzi pociąg Intercity do Warszawy. Przyjedzie i ma nadzieję, że Joanna mu otworzy. Jest pewien, że ukochana jest w domu i rozpacza, ponieważ wydaje jej się, że straciła kogoś wyjątkowego. A wcale tak nie jest. To on jest tym wyjątkowym. Tunio. Choć Joanna nie lubi tego zdrobnienia. Pełnego imienia też nie lubi, nawet bardziej. „Wojciech - co za obciach! Okropne imię. Jedno z tych paskudnych polskich imion, z którymi nie wiadomo, co począć. Nikt z obcokrajowców nie potrafi poprawnie ich wymówić. Recepcjoniści w hotelach nie wiedzą, co jest

imieniem, a co nazwiskiem. Name und Vrname? Bitte. Was? Kapusta und Kwas. Wojciech to może być równie dobrze nazwisko. Przezwisko? Pośmiewisko".

Zakochany profesor. Stary, łysy dziad. Kawaler w dodatku. Kawalerem został starym, bo się całe życie własnej matki bał. Dlaczego się jej tak bał, że aż zabrakło mu odwagi, żeby się ożenić, chociaż przecież bardzo chciał? Chciał mieć żonę i móc się kochać z nią rano i wieczorem, jak pan Bóg przykazał, a nie rozładowywać napięcie pod prysznicem. Ale matka przecież nie mogła mieć w domu rywalki. Ten dom miał ustaloną od lat, klasztorną regułę, która najzwyczajniej w świecie nie przewidywała miejsca dla żony i dzieci. Zresztą po co Tuniowi żona, skoro ma matkę? Wszystko wiedzącą i wszystko rozumiejącą w dodatku. Tunio też tak myślał do czasu sprawy z Joanną. To matka ją spłoszyła tą gadką o swoich chorobach. O bloku serca, który w każdej chwili może się zakończyć śmiertelną blokadą. O nadczynności tarczycy. I o nerkowych niedomaganiach. Jaga Chłopicka, ten chodzący anioł I ideał synowej, zawsze chętnie pochylała się nad cierpieniami pani Zuni. Widocznie rozumiała, że hipochondria też jest ciężką chorobą. Nawet bardzo. Ale Joanna H. była nieczuła na utyskiwania swej niedoszłej teściowej, nie okazywała ani współczucia, ani nawet szacunku.

- I ty kogoś takiego pod rodzicielski dach sprowadzasz?! Żenić się chcesz? Z nią? Nie wiesz synu, co robisz. Ona ci nawet szklanki wody nie poda. Że o herbacie nie wspomnę. Bo przecież ona nawet herbaty nie

umie zaparzyć. W czajniczku. W niczym ci nie pomoże ta kobieta, a tylko przeszkadzać będzie. Wspomnisz moje słowa, synu!

No i Tunio właśnie je wspomina, jadąc pociągiem relacji Kraków-Warszawa. I myśląc o tym, że o mało co nie stracił swojej Joanny. Tylko dlaczego ona nie podnosi słuchawki? Tunio postanowił, że zadzwoni do Moniki, żeby jak najszybciej pojechała na Żelazną i dowiedziała się, co się dzieje z Joanną.

- Ależ panie Wojciechu. Oczywiście. Oczywiście, że tam pojedę znowu. Bo tak dalej nie może być! Nie wolno nam do takiej demoralizacji dopuścić. Pan jako dobry Polak i katolik. Katolik przede wszystkim. Przyglądać się temu spokojnie nie może. Zareagować trzeba i do porządku przywołać zbłąkaną owcę. Bo ja panu wszystko jak księdzu na spowiedzi mówię. Chociaż księdza też w tej sprawie radziłam się. Na okoliczność Joanny i tego jej gacha do spowiedzi poszłam. Tak właściwie to nie do spowiedzi, tylko żeby naszemu proboszczowi Antoniemu Królikiewiczowi opowiedzieć wszystko i do Panienki Najświętszej pomodlić się. Bo to był pierwszy piątek miesiąca. A ja zawsze do kościoła chodzę w pierwszy piątek. Żeby się wyspowiadać. Za siebie i za Szczepana. Znaczy się za męża mojego i za synów dwóch także, bo oni również od kościoła z dała się trzymają. Po pierwszej komunii przestali chodzić na religię i do spowiedzi, i na mszę. A ja przecież tak ich prosiłam, błagałam, żeby do bierzmowania dotrwali. Bo to jest też

poważny sakrament, a i kościelnego ślubu bez tego dostać nie można. Więc ich prosiłam, żeby do bierzmowania na religię chodzili, tym bardziej, że teraz w szkole religia jest, nie to co za moich czasów - w ciemnej salce katechetycznej, wieczorem. Ale oni uparli się, że na religię nie i do kościoła też nie, a do spowiedzi to już ABSOLUTNIE nie.

- Ale ja i tak co miesiąc przypominam im, tym moim chłopakom-bezbożnikom, że pierwszy piątek jest i do spowiedzi iść trzeba. Bo ksiądz powiedział, że ja za nich to nie mogę, że oni muszą sami i że mam im przypominać. Toż mówię im, że do spowiedzi i do komunii za nich nie przystąpię. Szklankę do zmywarki włożę, pozamiatam, odkurzę, ale do sakramentów przystąpić nie mogę. I jeszcze przypominam im, że ludzie widzą, że oni do kościoła nie chodzą. A Bóg to widzi tym bardziej. I że właśnie dlatego Szczepan robotę stracił, a nie przez Balcerowicza. Robota dobra była, na zakładach przy telewizorach mój chłop robił. Ale potem te telewizory komuś przeszkadzać zaczęły i mój mąż też. Ale ja wiem, że to nikt inny nie był winien, tylko Szczepan, bo do kościoła nie chodził i nadal chodzić nie chce. Jak ta Joanna zupełnie. I jej matka, szwagierka, znaczą się. Żadna z nich nie modli się i w ogóle nie praktykuje. Ani w piątek, ani w poście, ani nawet w adwencie. Tylko ja jedna chodzę i się spowiadam, i wiarę naszą katolicką w rodzinie podtrzymuję.

- Ale pan dobrze wie, panie Wojciechu, że to nie wystarczy. Do zbawienia aż dziesięciu sprawiedliwych potrzeba. Jedna Monika nie wystarczy. I ja tu sama nic nie mogę, choćbym się jak nie wiem co starała.

- Pan na Żelazną przyjechać musi i sprawę załatwić. Nie tylko z tym gachem, ale i z Joanną naszą. Bo ją ratować trzeba. Całą rodzinę ratować musimy. Bo oni wszyscy tak na oślep w przepaść lecą, na zatracenie. Jeśli pan już jedzie, to ja też siatkę biorę i różaniec i do autobusu pędzę. Bo od nas z Górczewskiej do centrum to spory kawałek, a autobusy w korkach stoją i może się okazać, że pan z Krakowa szybciej niż ja autobusem na Żelazną dojedzie.

Taka wiadomość. Mała, nieistotna zdawałoby się karteczka pozostawiona na poduszce może wyrządzić wiele złego, krzywdę zrobić, a nawet zabić. Tak jest, zabić też może.

Czy warto zaprzątać sobie głowę tym nic niewartym życiem? Czy warto wstawać z tego łóżka i robić cokolwiek?

I po co ten człowiek wydzwania?! Nie mają o czym rozmawiać. Niech on się tłumaczy, bo tylko winni się tłumaczą. Wtrącił się w nie swoje sprawy i pozbawił ją szczęścia. Ale on i tak nie zrozumie, że ten wstręty, cyniczny podrywacz dawał jej szczęście. Wpuścił odrobinę świeżego powietrza do jej dusznej świata. Po raz pierwszy w życiu było jej naprawdę dobrze, więc należało to jak najszybciej zniszczyć. Tunio pospieszył się. Teraz nic nie zostało. Nie miała po co żyć. Za oknem coś pada. Czyżby zima się zaczęła? Jeszcze trochę za wcześnie. A sprzed jej bloku, sprzed tego obrzydliwego mrówkowca, odjechał rano dżip. Z niemiecką rejestracją. Już jest daleko, niedługo przekroczy granicę. I nigdy tu nie wróci. Bo i po co?

Można nie prać tej pościeli, można nie wstawać z łóżka. Ale jak długo można tak żyć? Niech Tunio nie dzwoni, nie ma u niej żadnych szans. I niech jej nie straszy Monika. Jeśli nawet tu przyjdzie, to Joanna jej nie otworzy, jemu też nie otworzy. Nie ma mowy. Nie chce z nikim rozmawiać po tym, co zrobili. Xawery wszystko jej napisał na tej karteczce i ona wie, komu zawdzięcza zniknięcie kochanka.

Naprawdę nie interesuje jej to, czy on jest hazardzistą, czy może seryjnym mordercą. Kubą Rozpruwaczem, Si-nobrodym, albo jednym i drugim. Niech sobie będzie. Dla niej liczyło się tylko to, ile jeszcze dni będą razem, ile godzin. I każda była cenna. Naprawdę nie rozumie, dlaczego Tunio wsiadł w ten pociąg i jedzie do Warszawy, do niej - nie odebrała telefonu, więc poinformował ją o tym, wysyłając SMS-a. Po co to wszystko robi?

Joanna wstała z łóżka i stanęła przed lustrem, przyglądając się swoim włosom ufarbowanym na platynowy blond. Wygląda prawie jak Marilyn Monroe. Tunio nie poznałby jej. Joanna już nie boi się patrzeć na siebie. Jest rozebrana, a w oknach nie ma zasłon ani rolet, więc sąsiedzi z naprzeciwka mają ciekawe widoki. Nic jej to nie obchodzi, sąsiedzi, i Tunio, i ta cholerna Monika, i nawet jej nieszczęsna matka. Chociaż matki jest jej naprawdę żal. Popatrzy sobie jeszcze w lustro. Ładnie wygląda, prawda? Cały czas działają endorfiny szczęścia, bo chyba jeszcze nie dotarło do jej biednej głowy, że wszystkie dobre rzeczy właśnie się skończyły. A to co pozostało, nie jest warte tego, żeby wstawać z łóżka i się trudzić.

Na szczęście w jej sekretarzyku jest coś na smutki i nie tylko na to. Remedium na całe zło leży sobie tam, nienaruszone. I właśnie jest dobry moment, żeby wykorzystać ten ważny zasób. Do tego trzeba trochę odwagi albo nie-trzeźwości. Xawery zostawił tu dość okazałą kolekcję butelek. Nie zdążył ich biedak opróżnić. Widać, że planował dłuższy postój. Może nawet do Nowego Roku chciał zostać? Może. Tego już i tak nikt się nie dowie, bo Xawery opuścił kawalerkę przy Żelaznej ostatecznie i definitywnie.

Ale alkohol może się przydać. Whisky - straszne paskudztwo, ale powinna szybko zadziałać. Żeby przestać się bać i przystąpić do dzieła. Czas najwyższy, jeśli chce zdążyć przed Tuńkiem, który pewnie wsiadł do pociągu w Krakowie i za trzy godziny tu przybędzie. Przybiegnie zdyszany, może nawet drzwi wyważy, a tu - dupa zimna. Pozostanie mu spędzić resztę życia w uroczym towarzystwie pani Zuni. Mamuśki kochanej. Cudownej pani hrabiny von Dupenszturchen. A może w przypływie rozpaczy Tunio hajtnie się jednak z tą wąsatą baronówną, która cały czas żywi nadzieję, że się jej pan hrabia w końcu oświadczy. W każdym razie Tuńkowi wszystko się jakoś ułoży. Kto wie, może nawet doczeka się potomka? Przecież to, że kobieta ma wąsy, wcale nie oznacza, że nie może wydać na świat zdrowego, wrzeszczącego bachorzątką.

Monika też nie będzie narzekać, bo za opiekę nad matką pewnie przejmie jej mieszkanie, wraz z całą galerią duchów i zjaw. Ale przecież Monika nie zwraca uwagi na takie szczegóły! Prawdę mówiąc na żadne szczegóły Monika uwagi nie zwraca. Problem może być z kawalerką

Starego H. Swoje roszczenia zapewne zgłosi ostatni z rodu H. po mieczu - Ignac. I powinien to zrobić. Wspaniała, piękna kawalerka pełna karaluchów i złych wspomnień. Nie można też wykluczyć, że Waldemar Słodki uzna, iż kawalerka jemu się należy jako rekompensata za krzywdy, jakich doznała jego zmarła matka od rodziny H.

Więc do dzieła! Gdzie jest ten skarb największy, pakiet ratunkowy na czarną godzinę, która właśnie nadeszła? Są, niezawodne. Różowiutki jak niemowlaczki. Do tego łyskacz. Wspaniała mieszanka. Z pewnością podziąka należycie.

Czy warto się ubrać na taką okazję? Jakoś tak odpowiednio. Pewnie, że warto. Chociaż potem i tak rozbiorą, i brzuch rozprują, a zaszyją byle jak. Grubymi nićmi to będzie szyte i niedokładnie. Ale kto by się tam dla trupa starał? Więc może jednak należy jakąś kiecuszkę założyć? Może tę łączkę na ramiączkach albo małą czarną? Niech przynajmniej Tuniek się za Joannę nie wstydzi. Będzie zadowolony, że sanitariusze, sprzątając ciało z podłogi, nie będą oglądać jej dojrzałych wdzięków. No dobrze, dla Tuńka warto się postarać.

Może jeszcze zajrzy do wirtualnej skrzynki pocztowej. Przecież nie można wykluczyć, że tam jakaś jednak wiadomość czeka, od ważnej osoby. Może pewien wspaniały mężczyzna jednak ma do powiedzenia coś więcej niż ta sentencja nabazgrana na małej karteczce? No więc jak panie Xawery? Jak to z nimi jest? Wyjaśnisz, dlaczego uciekłeś tak prawie bez słowa? NIE MASZ ŻADNYCH

NOWYCH WIADOMOŚCI. Jasne, po co jej nowe wiadomości, skoro stare są wystarczająco jasne i oczywiste.

Tunio wysiadł na Dworcu Centralnym i od razu pobiegł na postój taksówek.

- Na Żelazną poproszę - powiedział zdyszany.

I taksówkarz od razu odpalił taksometr i silnik. Ruszyli. Taksówką szarpało raz po raz. Wiadomo - korki. Do Joanny nie było daleko od dworca, ale niewygodnie przez te wszystkie skrzyżowała, krótkie cykle świateł. „Koszmarne jest ta Warszawa” - pomyślał Tunio. Jak można żyć w tym chaosie kompletnym. Jak ona może wytrzymać w tym tłoku, jazgocie. Mój Boże, co za straszne miejsce! A ten blok! Tu się przecież nie da oddychać. Ludzkie mrowisko. Termitiera. Porusza się w rytm oddechów i dźwięków wydawanych przez mieszkańców. A ściany? Z papieru. Po prostu z papieru, z dykty. I te korytarze. Winda uszkodzona. Nie działa. Jak zwykle. Bagażowa też nie działa. Nic nie działa.

- Pani Moniko, gdzie pani jest? W autobusie. Aha. Rozumiem. Ja już po schodach wchodzę.

Czy Joanna otworzy drzwi? Czy będzie ją musiał prosić, zaklinać? Przecież nie będzie naciskał na dzwonek czterdzieści pięć razy, tyle ile ma lat. Denerwuje się, to prawda, ale nie jest jakimś narwańcem. Więc niech ona otworzy, po prostu. Naprawdę muszą porozmawiać. Joanna zaparzy herbatę i Tunio usiądzie w tym angielskim fotelu obitym zieloną skórą, popękaną i starą, ale przez to szlachetną.

Joanna kiedyś opowiadała mu o tym fotelu bardzo ciekawie historie. Podoba mu się ten mebel, chociaż w sumie nie przepada za zagraconą kawalerką, w której ona mieszka. Był u niej tylko raz, w dodatku bardzo krótko, ale pamięta każdy szczegół tamtej wizyty i jej mieszkania. To robactwo w łazience i w przedpokoju, na dzień dobry i na do widzenia. Koszmar! Trzeba przyznać, że bardzo szybko biegają po podłodze te robaki. Karaluchy obrzydliwe. Tunio nie rozumie, jak ona może mieszkać w takim towarzystwie?! To miasto też jakieś takie liszajowate i robaczywe jest. Stare kamienice, na których można jeszcze dopatrzeć się śladów po szyldach sprzed pierwszej wojny. Cyrylicą. Coś pięknego, ale nikt tego nie szanuje. Ani starych napisów, ani starych kamienic. Stawiają za to jakieś apartamentowce. Dla nowobogackich, bez ładu i składu, byle szybciej, byle jak najwięcej zarobić.

A ten blok, w którym ona mieszka, budzi jego przerażenie. Winda, długie korytarze, sąsiedzi. Jak można mieszkać wśród tych golemów, co mają kwadratowe czaszki i spodnie w kroku zwisające do kolan. I ten kaczy chód. Hałaśliwość i agresja. Przecież ona nie znosi tego podobnie jak on. Więc dlaczego się upiera, żeby tu mieszkać? Na Pędzichowie miałyby ciszę i spokój. No i o wiele więcej miejsca. Dostałaby ten piękny pokój od południowego zachodu. Słoneczny. A tutaj szaro, buro, ponuro. Trudno nie wpaść w depresję. Rozmowa naprawdę może pomóc. Przecież Tunio jest jej przyjacielem. Muszą spokojnie porozmawiać. Tunio ma propozycję. Dobrą propozycję. Chce jej pomóc. I to bez żadnych podtekstów.

I wtedy drzwi się otworzyły, a w drzwiach stanęła jakaś inna kobieta. Podobna do Joanny, ale zupełnie inna niż ta, którą znał z dawnych czasów. Kobieta stojąca przed nim była chuda, mizerna, miała tlenione na blond włosy. Było widać, że jest w kiepskiej formie.

Ale mimo wszystko to była ona. I ciągle jeszcze nie była mu obojętna. Nawet w tym opłakanym stanie. W powyciąganym swetrze i w dziurawych rajstopach. Jak można się tak zaniedbać? W dodatku zupełnie bez powodu. Rzeczywiście ta kawalerka nie jest najsympatyczniejszym miejscem na świecie. Ale nawet tutaj można żyć. Wystarczy sprzątnąć, pomalować. Ale przede wszystkim trzeba się pozbyć tego robactwa. To wszystko nie jest trudne. Wymaga tylko zakasania rękawów i pracy, ciężkiej fizycznej pracy. Takiej, która przynosi ulgę i spokój. I nie warto rozpaczać z powodu jakiegoś pomyłka!

Jasne - praca organiczna. Praca u podstaw. U samych podstaw. Zacząć od łazienki. To oczywiste. Lustro. Najważniejsze jest lustro. Lustro do łazienki trzeba kupić, robaki wytruć. No i trzeba pracować, pracować. To jest najważniejsze. Żeby pracować. Nie przestawać. Nie rezygnować.

Choć przecież nie o lustro tu chodzi, tylko o nią, o Joannę. Żeby kolor włosów zmieniła na swój. I przestała wzdychać za kimś, kogo tak naprawdę nie ma. Nie ma go przy niej, bo jest mu obojętna. Całkowicie obojętna. Bawił się nią. W jakiegoś Pigmaliona się zabawiał. Więc wreszcie trzeba zapomnieć. Zapomnieć wszystko.

Rozdział dwunasty

MASZYNOPIŚ

Matka siedzi przy sekretarzyku. Wyjęła starą maszynę do pisania. Tego Remingtona kupiła okazji za pierwszą gażę. Stuk, stuk. Taśmę trzeba wymienić, bo zużyta. Ale skąd wziąć taką taśmę, przecież nikt już na maszynie nie pisze? A matka i tak pisać będzie. Bo oni mówią do niej codziennie w ten sposób - zapomnisz, zapomnisz wszystko! A ona wie, że ciągle jeszcze pamięta i niczego nie zapomniała. Czasem tylko udaje, że straciła pamięć. Albo że postradała zmysły. Ale przecież tak trzeba, inaczej oni by się zorientowali i przyszli po nią. No właśnie. Na klatce schodowej wciąż słyszeć jakieś kroki. Ciężkich, męskich butów. Ktoś powoli wchodzi po schodach. Nie spieszy się, bo ma dużo czasu. Tamci w podkutych butach zawsze wbiegali po schodach, a te kroki są niespiesznie. Więc jeszcze bardziej złowrogie. Stuk, stuk. Maszyna działa, a przecież powinna rozsypać się ze starości. W drebiezgi. Bo ta maszyna jest świadkiem matki życia. Całego życia, które już tylko matka pamięta. I teraz ta maszyna wszystko wystuka, czarno na białym, żeby nie zapomnieć.

Na przekór tym wszystkim, którzy chcieliby zatrzeć ślady Jej istnienia. Tego, co było. Czasu zaprzeszczonego. *Plusquamperfectum*.

A więc podkute buty. Od tego właśnie należy zacząć. Ciężkie, żołnierskie buciory uderzają o kamienne schody. Nie, to nie tak. Tamte schody nie były kamienne. Były drewniane. W kamienicy na Pańskiej schody były drewniane, przynajmniej w oficynie. Na pewno były drewniane. Przecież skrzypiały. I nie wolno było zjeżdżać po drewnianej poręczy w dół. To znaczy nie każdemu było wolno. Dzieciarnia robiła to niezliczoną ilość razy, ale mała dziewczynka, która mieszkała wraz ze swoją mamą na ostatnim piętrze, a właściwie na strychu, nie mogła nawet podchodzić do drzwi zamkniętych na kłódkę.

Więc może jednak trzeba zacząć od początku. Ale nikt nie wie, co było na początku. Mieszkały we dwie na tym strychu, aż do powstania. Na Pańskiej, pod setnym numerem. Tak właśnie. Numer sto. Okrągła setka. Pamiętacie taki autobus? Setką jeździło się na Okólnik. Pamiętacie? Nikt już nie pamięta. Monika nie pamięta, bo pochodzi z Wyszkowa. Joanna nie pamięta, bo jest za młoda. Stary H. też nie pamięta, bo leży na cmentarzu. A przecież nie sposób tego zapomnieć. Podobnie jak innych rzeczy. Na przykład tego, że to Marysia Wichura przynosiła im jedzenie. To znaczy od czasu do czasu coś do zjedzenia przynosiła. A jak nie przynosiła, to się ssało. Cokolwiek. Kawałek cukru, spleśniały chleb, kość. Żeby wytrzymać głód, żeby zasnąć i żeby minął jeszcze jeden dzień życia.

Najgorsze jednak były noce. Wtedy przed kamienicą na Pańskiej zatrzymywały się auta. Właściwie to nie żadne

tam auta, tylko budy. Czy oni wędzą, co to były budy? Nieważne. Kogo to dzisiaj obchodzi. No więc z tych bud podkute buty wysypywały się. I wtedy była chwila oczekiwania - krótka, a czasem długa. Po kogo przyjechały tym razem? Czy wejdą na strych? Rozczochrana kobieta w podartej sukience kładła swoje małe dziecko pod wielką cynową balią, przewróconą do góry dnem. I tak trwały w bezruchu - matka, córka i balia. Związane ze sobą na śmierć i życie, do końca.

I wybuchło powstanie. I już nikt nic nie przynosił na strych. Wszyscy siedzieli w piwnicy. A w starej balii stała woda. Brudna i śmierdząca. I wtedy ta kobieta w podartej sukience postanowiła zejść na dół. Po świeżą wodę.

Wtedy to się stało. Niemcy to byli albo Ukraińcy. A może kula zabłąkana jej się trafiła jakaś? Przecież to pan Bóg kule nosi. Ludzie tylko strzelają. Potem można było zobaczyć trupa na ulicy. Przed domem. Klęczała, jakby prosząc o darowanie win. I o życie dla córki. A jej głowa dotykała bruku. A nad głową muchy latały. Wielkie żarłoczne muchy. Aż się lepiły od krwi. W takiej pozycji zastygła. Obok ciała stało wiadro. Jeszcze jak Niemcy pędzili mieszkańców spod setki, było widać klęczącą kobietę. Zastygła w śmiertelnym błaganu. Klęczała, bezbronna, pokryta pyłem. Szczury po niej łąziły. I Marysia Wichura kazała małej odwrócić się. Że niby tam na ulicy to nie ona, nie matka. Że to tylko trup, a dusza jest w czyścicu i się oczyszcza. A potem trafi do nieba, bo gdzieżby indziej?

Dziewczynka patrzyła zachłannie, jak szczury zjadały trupa. Taki jej w oczach obraz pozostał, na całe życie.

I trzeba to zapisać, na maszynie do pisania. Będzie czarno na białym. I oni tego nie zabiorą, bo zaraz przyjdzie Monika i weźmie zapisane strony. Nie, to nieprawda, że Monika jest z nimi w zмовie! Monika nie należy do spisku. Ona jedna nie współpracuje z nimi. Przychodzi tu bezinteresownie i jedzenie matce przynosi, jak kiedyś Marysia Wichura. Zupełnie tak samo. Złota dziewczyna z tej Moniki. I nie boi się podkutyh butów. Ani samochodów, które zatrzymują się przed blokiem. A przecież z tych samochodów oni wysiadają i tak wchodzą po schodach, żeby było słyhać. Tak jak wtedy, zupełnie tak samo. Żeby wiedziała, że się zbliżają, że są tuż-tuż, że zaraz wejdą. Bo przecież mają klucze do wszystkich siedmiu zamków, które matka kazała zamontować w dwóch parach drzwi. Majątek to kosztowało, ale nic nie pomogło, bo oni zawsze dorabiali sobie nowy klucz.

Teraz jednak ich nie ma. Widocznie mają przerwę. Obiadową. Więc matka będzie mogła oddać Monice wszystko, co napisała. O swojej matce. O życiu na strychu i o balii z brudną wodą. Tyle tylko pozostało. W pamięci. To błaganie o życie dla dziecka. I trzeba to upamiętnić, bo nawet Joanna w to nie wierzy. Stary H. też nie wierzył. Ale on był ateistą. Niedowiarkiem. Sierotą. Nikt nie wie, skąd przyszedł i dokąd odszedł po śmierci. I jeszcze to zdjęcie, które przechowała Marysia, i indeks z uniwerku. Wykaz wykładów i ćwiczeń. *Index lectionum*. Numer albumu. Zdjęcie i podpis. Lewicka. Amalia Lewicka. Dwudziesty szósty października, tysiąc dziewięćset dwudziesty czwarty rok. A na górze zdjęcie młodej dziewczyny w drucianych

okularach. A nad zdjęciem stempelek: miejsce w ławkach nieparzystych. Marysia Wichura ukryła indeks pod podłogą, tam na strychu, na Pańskiej. Schowała również kilka zdjęć i listów. I jeszcze obligacje rządowe. Pewnie myślała, że po wojnie to będzie coś warte.

Mieszkanie jest w oficynie, na samej górze. Jeszcze dziś wystarczy wejść tam po stromych, drewnianych schodach. Chyba nigdzie nie ma tak zaniedbanej klatki schodowej. Ściany pokryte łuszczącą się zielonkawą farbą, niczym egzema, są jak twarz ciężko chorego, starego człowieka. Pewnie nie malowali tu co najmniej od czasów Stalina. Dwuskrzydłowe drzwi oszpecono kilkoma warstwami brunatnej farby, przywodzącej na myśl brunatne dzieciństwo matki. Mundury w niezapomnianym kolorze Feldgrau, jasnowłosych nordyckich chłopaczków, opalonych na różowo tamtego lata.

Matka postanowiła jednak zacząć inaczej. Wyjęła kartkę papieru i napisała:

Mieszkałyśmy z moją mamą u Marysi Wichury aż do powstania. Na Pańskiej, pod setnym numerem. Na samej górze, prawie na strychu. Marysia była śliczna, jasnowłosa. Była córką rzeźnika Grzeli, co się bimbrem zapił na śmierć. Marysia umieściła nas na tym strychu, bo tam było najbezpieczniej i dawała nam jedzenie. I wodę. I wiadra po nas wynosiła, jak nikt nie widział. Marysia była naprawdę dobra. Była aniołem. Nikomu nie umiała odmówić pomocy.

A potem wybuchło powstanie. I już nikt nam nic nie przynosił. Bo wszyscy siedzieli w piwnicy. Pamiętam, że

w starej balii stała woda. Brudna i śmierdząca. Nigdy nie zapomnę tej wody i tego, jak ona śmierdziała. I że chciało mi się pić do tego stopnia, że usiłowałam się napić tej wody, ale mama mi nie pozwalała. Nie dawała mi się napić, chociaż obie umierałyśmy z pragnienia. I z głodu też umierałyśmy. Marzyłam, żeby zjeść pieczonego kartofla, albo nawet surowego, albo miskę ciepłej zupy.

I wtedy mama zeszła na dół po świeżą wodę. I ją zastrzelili. I nie byli to Niemcy ani Ukraińcy. Dzisiaj jestem pewna, że to ONI ją zastrzelili. Ci, których kroki słyszę na schodach. Bo oni ciągle tu są. Zawsze byli i będą. To nie jakaś kula zabłąkana ją zabiła, tylko oni. Są tylko oni. Boga nie ma ani nic świętego. Oni chcą zabrać mi to, co mam najcenniejszego - pamięć. Codziennie powtarzają mi do ucha: zapomnisz, zapomnisz wszystko. A ja niczego nie zapomniałam, mimo rozmaitych sztuczek, jakie oni bez przerwy stosują. Zabierają mi wszystko.

Córkę mi zabrali. To jest oczywiście najbardziej bolesne. To dziecko nigdy nie było tak do końca moje. Zawsze mi przypominało Starego H. Też taka ryża zawsze była i zamknięta w sobie. Trudno było dociec, co myśli i czuje. A jeszcze trudniej się z nią porozumieć. Od lat nie przychodzi do mojego mieszkania. Zupełnie jak jej ojciec, który po rozwodzie zaszył się w tej swojej kawalerce z dala od świata, od życia. Ciekawe, czy oni tam też przychodzą? Przecież mają swoje samochody, a poza tym wszystko wiedzą. Wiec pewnie na Żelazną też przychodzą.

Próbowałam kiedyś zapytać Starego H. czy oni tam są. Czy się czają pod drzwiami, czy wykradają dokumenty

i inne pamiątki pod jego nieobecność? Ale H. udawał, że nie rozumie, o co mi chodzi. Pytał ciągle, kim są oni. Jakby to nie było oczywiste. Kim oni są? Mój Boże, przecież tego nie można powiedzieć. Oni są i już. Gdyby można było ich nazwać tak wprost i bez ogródek, to przecież nie byłiby groźni. Nie o wszystkim można głośno mówić. Kto jak kto, ale Stary H. powinien o tym wiedzieć. I nie uważać mnie za wariatkę. Jak wszyscy pozostali. Jak Monika, Joanna i Szczepan. Wszyscy oni pewnie pukają się w czoło, gdy rozmawiają o mnie. Uważają, że jestem niespełna rozumu i trzeba mnie umieścić w zakładzie zamkniętym. A przecież ja jestem całkiem normalna. Tylko świat jest nienormalny. Ten prawdziwy, realny. Oczywiście można zamykać oczy na wszystko. Nie widzieć i nie słyszeć. Przecież większość ludzi tak robi i są szczęśliwi. Nic im nie przeszkadza, nic ich nie uwiera. Jedzą i śpią spokojnie. Ale to wcale nie znaczy, że jest tak jak się wszystkim zdaje, jak im się podoba. Bo niestety tak nie jest.

I nie miał racji Stary H., że się tak zaszył w tej kawalerce. Że nie chciał ze mną rozmawiać, wysłuchać mnie nie chciał i zrozumieć. Dlaczego? Bo się bał. Bał się wszystkiego. Chodził z teczuszką do tej swojej pracy. Coś tam wyliczał przez cały dzień. Do nikogo się nie odzywał. Bo przecież nie lubił ludzi. Nikt mu nie był tak naprawdę potrzebny - ani żona, ani córka. Po powrocie do domu siedział cały wieczór odwrócony plecami do wszystkich. Do tych bliższych i dalszych. Do świata. Coś tam sobie wyliczał, nie wiadomo co. Albo czytał. Ale z nikim nie rozmawiał. Nawet jak się go o coś usilnie pytało, odpowiadał

monosylabami. Ten facet chyba nigdy nie wypowiedział zdania złożonego. Taki był oszczędny. W słowach i nie tylko w słowach był oszczędny, żeby nie powiedzieć wprost i bez ogródek, że był skąpy. Skąpił na wszystko. Na wiosenne pantofle na obcasiku na przykład.

Wiele lat temu wypatrzyłam takie czarne z delikatną kokardką. Śliczne i eleganckie. Byłam wtedy jeszcze dość młoda. A w każdym razie wiosenne pantofle były mi potrzebne. Ale Stary H. wyśmiał mnie i zaczął wyjmować z szafy w przedpokoju wszystkie pary z poprzednich lat. Zupełnie niemodne i nieładne. Skąpiec, stary sknera. Dzisiaj już nie obchodzą mnie pantofle, bo sama jestem stara i jest mi wszystko jedno. Ale młoda kobieta powinna mieć czasem kaprysy i ktoś powinien ją rozpieszczać. Od tego jest mąż. Ale nie Stary H. On nikogo nie rozpieszczał.

No tak, ale trzeba skończyć tamto, o powstaniu. Matka westchnęła głęboko i zaczęła pisać dalej:

Najgorszy okazał się moment, gdy już można było wyjść z piwnicy. I zobaczyć trupa na ulicy. W znajomej sukience. Całkiem już pozbawionej koloru. Bo wszystko pokryte było pyłem.

- Więc jak mogłaś widzieć jej krew, skoro wszystko przykrywał ten pył? - pytał mnie Stary H., gdy próbowałam mu opowiadać o tym, jak zapamiętałam ciało własnej matki. Zdradzone i porzucone. Wydane na żer tłustym muchom i ptakom. Chociaż ptaków chyba wtedy nie było w Warszawie. Ale były szczury. Spasione i groźne. Atakowały

wszędzie: w piwnicach i na ulicy. Jak Niemcy. Jak Ukraińcy. Jak oni.

I jeszcze jedno zdjęcie. Również dar od Marysi. Zrobione u fotografa. Chyba na samym początku okupacji. A na nim jakaś kobieta trzyma opasłe niemowlę na kolanach. Kobieta wygląda na młodą dziewczynę, taką, co nosi granatową sukienkę w białe groszki i umawia się na randki w cukierni na dziewiątą, jak w sentymentalnej przedwojennej piosence, ale jednocześnie pragnie być kimś więcej niż tylko matką, dużo czyta i myśli. Świadczą o tym drucziane okulary i poważna mina. To nie jakaś trzpiotka, która tylko umawia się na randki z byle kim, ale także przyszła intelektualistka, posiadaczka indeksu, w którym wpisano: miejsce w ławkach nieparzystych.

Ta dziewczyna na zdjęciu z całą pewnością była z tych nieparzystych. Nikogo nie miała. Tylko to dziecko, ale czy to naprawdę było jej dziecko? W każdym razie dobrze się stało, że Marysia ukryła ten indeks pod podłogą. I inne cenne pamiątki też tam schowała - przetrwały do wyzwolenia. Ale niestety już ich nie ma, przepadło całe dziedzictwo, na które składały się papiery, zdjęcia i indeks. Podobno były jeszcze jakieś pierścionki z brylantami i złote obrączki, ale Marysia musiała je sprzedać po wojnie, żeby było na jedzenie. Na słoninę i na cebulę. Na masło, na jajka i na bułki kajzerki. Wszyscy bardzo lubili kajzerki z masłem. I jajka na miękko. To było też moje ulubione śniadanie. A do tego herbata z cytryną. Ale bez cukru. Wtedy, po wojnie, i tak nie było cukru, tylko sacharyna. O cytrynach nikt nawet nie marzył.

Siedziałam tak na wysokim stołku, machałam swoimi za długimi zawsze nogami i piłam herbatę. Dawno temu. U Marysi Wichury. Jeszcze zanim nastał pan Stefan. To musiało być tuż po wojnie, zanim urodził się Szczepan. Całymi godzinami przesiadywałam na tym stołku. Bez ruchu. Patrząc przed siebie. I wsłuchując się w ciszę.

Czwartek, 6 stycznia

ALL GOOD THINGS MUST COME TO AN END.
Głupie, beznadziejnie głupie jest to anglosaskie porzekadło. Jak można nie dawać znaku życia? Już od półtora miesiąca. Prawie dwa. Nie odpowiadać na prośby i groźby. I mieć telefon komórkowy wyłączony. *Please, leave a message... The number you are trying to reach is currently unavailable...* I takie tam dyrdymały. I nie wiadomo, gdzie szukać takiego kogoś. Ale za to wiadomo, że to już koniec jest. I że szukać nie należy i nie warto, bo decyzja została podjęta nieodwołalnie. Koniec romansu, koniec historii.

Dobre rzeczy się skończyły. To *se ne vrati ladies and gentleman*. Co było nie wróci *drogije druzja*. Trzeba mężnie podejść do sprawy. Wstać z wyra, łzy obetrzeć, poszukać dobrych stron. Całego w dziurze. Przecież nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Albo raczej dobrego, co by się w gówno nie obróciło. Ale przecież spoko, spoko - wyjdzie na dobre, jasne, że wyjdzie. Będzie dobrze, wspaniale jeszcze będzie i pięknie, chociaż serce zaraz pęknie. Tylko to smutne **TERAZ, W TEJ CHWILI**, trzeba jakoś przetrwać, przetrwać koniecznie. Jak najmniejsze straty ponieść i żadnych

złudzeń na przyszłość bliższą, dalszą i najdalszą nie mieć. Jest dobrze, a będzie lepiej. W każdym razie dużo, dużo lepiej niż w tej chwili. Czyli będzie okropnie, jak zawsze.

Więc może jednak lepiej nie wstawać z tego łóżka? Przecież te poduszki kiedyś pachniały jego potem. I nie tylko potem. Całym Xawerym pachniały. Napocił się tu trochę, to fakt. Żeby uspić jej czujność, żeby się nie spodziewała nagłego odwrotu. Więc jeszcze można побыć ze wspomnieniem jego zapachu w łóżku. Chociaż na krótko, na moment zapomnieć, że odszedł. I przez ten moment nie cierpieć, nie odczuwać bólu. Albo przynajmniej udawać, że się nie cierpi. Złapać oddech, jak podczas bólów nowotworowych, które odpuszczają tylko na chwilę okupioną coraz większą dawką morfiny. Zanurzenie buzi w poduszkach nic nie kosztuje. A może przynieść ulgę. Chwilową rzecz jasna, ale zawsze. A co potem?

Telefon dzwoni. Chrzanić cholerny telefon. Zaraz go wyłączy. Kto to może dzwonić? Matka, Monika, a może Tunio, bo przecież nie Xawery! On już dość dawno temu zostawił tę swoją głupią karteczkę na poduszce. Nie szukaj mnie, zapomnij, to była kolejna pomyłka, związek kilkudniowy, rzecz dla mężczyzny normalna. Przelotny romans, bez przyszłości. Do pierwszego kochania albo do dwudziestego pierwszego. Co za różnica. W każdym razie o takim związku zapomina się od razu. To znaczy facet zapomina, bo kobieta niekoniecznie. Ile to trwało? Kilka dni, dokładnie chyba z dziesięć dni i tyleż nocy. Zapał wygasł, bo zawsze tak z zapałem jest, że wygasa. Od tego jest zapał, żeby wygasał.

A że kobieta potem zgaśnie? Kogo to obchodzi?! Zupełnie nieistotna kwestia. Pozbawiona jakiegokolwiek znaczenia. Kogo obchodzić może jakaś samotna kobieta? Bo przecież to nie człowiek. Kobieta to tylko naczynie Pana Boga. Służy do przenoszenia życia. I do niczego innego. Jeśli jest nieprzydatne albo zużyte, albo po prostu dziurawe, należy je wyrzucić. Pozbyć się go jak najszybciej.

A więc to było zwykłe nieporozumienie. „To, co się między nami wydarzyło, to było tylko NIEPOROZUMIENIE. Coś zupełnie nieistotnego. Było naprawdę super fajnie, ale teraz chciałbym ograniczyć kontakty. Więc nie będę do Ciebie pisał i proszę nie zostawiaj mi wiadomości na poczcie głosowej. Coś się wypaliło. Sama rozumiesz. Takie nieporozumienie...”.

Jednak poduszki nie pomagają, nic nie pomaga. A jeśli jego już nie ma? A może po prostu umarł, zginął w wypadku. Przecież zawsze uprzedzał, jak go miało nie być, nawet przez jakiś czas. A potem wynurzał się z niebytu z triumfalnym okrzykiem: „Jestem z powrotem”. Ale to już prawie dwa miesiące minęły, odkąd przestał się odzywać. A może jednak coś mu się stało. Coś złego. Może miał wypadek. Albo zaginął na morzu. Zginął śmiercią żeglarza. *Lost at sea*. I już go nie ma. A co gorsza nie ma jego ciała. Bo ono albo się rozkłada, albo właśnie zjadają je rekiny. Albo wszystko odbyło się z kulturą i smakiem. Spopielono go w miejskim krematorium i już rzeczywiście nie ma po nim śladu. Kupka popiołu została i może ktoś ją gdzieś rozsypał. Chociaż to przecież lepsze niż poszczególne fazy rozkładu.

Może powinna rozpocząć poszukiwania. Najpierw w sieci. Poszukiwanie zaawansowane, guglowanie. Nazwisko i imię. Może miał jakieś drugie imię? Nie wiadomo, może miał. Ale Joanna nic o nim nie wie i dlatego nie znajdzie go w tym gąszczu. Więc znowu wstukuje: Xawery, STADNICKI. I nic. Żadnego punktu zaczepienia. Xawery STADNICKI po raz nie wiadomo który. Enty, przeklęty. I jeszcze miasto NY. Znowu nic. Pustka, chaos. Jego totalna nieobecność. Nie zna nawet jego adresu, nie wie, gdzie pracował. Nic, zupełnie nic, jednego szczegółu. Zdjęć także nie ma w sieci. NIGDZIE GO NIE MA. Jednak musiało się coś stać. Coś naprawdę strasznego. Przecież nawet najgorsze przypuszczenia mogą się sprawdzić. A właściwie nic się nie sprawdzi, bo takie rzeczy są niesprawdzalne. Pozostaną tylko domysły i zdjęcia. I rozpacz. Xawery nie znosił łez. Całego tego bycia patetyczną. A może zadzwonić do Tunia, może on przez swoje kontakty... Nie, lepiej go w te sprawy nie mieszać.

Dość gadania bzdur. I mazania się. I zalegania w wyrze. Przecież o mało co nie utraciła posady w archiwum. Na szczęście zadzwoniła jej szefowa - Niewiadomska Katarzyna - i jakoś udało jej się przywołać Joannę do porządku. Zmarnowałyaby ostatnią szansę na bycie normalną kobietą. Pracującą, a nie zalegającą. I rozpaczającą po kimś, kogo tak na dobrą sprawę wcale nie było. Wymyśliła go sobie od początku do końca. Tego pana i władcę. Możliwą władcę. Spodobało jej się jego nazwisko. Przecież takie samo nosi Tuniek. Facet, którego nie chce.

Nigdy go nie chciała. Bo jej się nie podobał, chociaż jest przystojniejszy od tego całego Njujorkera. I nie musi

zażywać viagry, żeby jej dogodzić. A w dodatku ją kocha. I nie zapada się pod ziemię. Wiadomo, gdzie go szukać. Ma adres, numer buta, grupę krwi. I nawet drugie imię ma. Wojciech Jerzy Stadnicki. Prawda, że ładnie? Choć szkoda, że nie odwrotnie. Bo Jerzy to całkiem fajne imię. Ale najważniejsze, że Tunio jest z tych Stadnickich. Z hrabiowskiej linii. A jego dziadek - wprowadzie ten pokądzieli, a więc nie Stadnicki - podobno zaćwiczył batem na śmierć chłopą, gdzieś tam w swoim majątku na Ukrainie. Bo to był prawdziwy pan, a nie jakiś przybłęda.

Więc dlaczego Joanna, stara panna, nie chce skorzystać z jedynej szansy, jaką jej los podsuwa, i zostać panią profesorową Stadnicką? W dodatku gdyby jej jednak wpadło do łba, żeby porzucić pracę, to powinna pamiętać, że innej nie znajdzie. I znowu nie będzie miała na czynsz. Zlicytują ją któregoś dnia i wyrzucą na ulicę. A do tego czasu będzie leżeć w łóżku i wachać dawno niezmieniane powłoczki na poduszkach. One już tylko jej zapach mają. Pachną jej potem i nieświeżością.

Dość już opłakiwania internetowego mężczyzny, który najwyraźniej już jej nie potrzebuje. Bo mu się znudziła. Zmęczyła go tą swoją patetycznością. Widzeniem wszystkich spraw czarno-biało. I brakiem rozsądku go zmęczyła. Tym, że nie potrafi podjąć decyzji. Pogodzić się z koniecznością zamieszkania z panią Zunią w roli teściowej. Koszmarnej teściowej, ma się rozumieć. Ale przecież teściowa nie może być inna.

Jednak oprócz teściowej będzie miała do dyspozycji własny pokój i oczywiście wspólną z mężem sypialnię.

I tylko na obiad będzie musiała przychodzić do stołowego. Ale przecież zawsze będzie się mogła wykręcić migreną albo inną kobiecą przypadłością. Kto wie, może nawet zajdzie w ciążę i wtedy będzie jej przysługiwała bezwzględna taryfa ulgowa, którą nawet pani Zunia uszanuje. Tak czy inaczej, pani Teczka będzie jej podsuwała pod nos same smakołyki. Poza tym mieszkanie na Pędzichowie ma ze sto pięćdziesiąt metrów, albo i więcej, i naprawdę nie będzie większego problemu, żeby znaleźć tam kąt dla siebie.

W dodatku nie będzie słyszała sąsiadów, każdego ich wypróżnienia w toalecie, ani też tego jak słuchają wiadomości albo Radia Maryja, co ją przecież irytuje. Nieprawdaż? Pani Zunia też czasem słucha radia. Nawet mszy niedzielnej słucha, jak nie może powędrować do kościółka w niedzielę, bo ją kolano rwie albo inna część ciała. I nie można zapomnieć o karaluchach, wszechobecnych na osiedlu Za Żelazną Bramą, których Joanna po prostu się boi, bo jest zwyczajnym tchórzem i mięczakiem. A poza tym leniuchem, i gdyby nie Żaneta Boska i jej nieocenione porady, Joanna pewnie nigdy nie pofatygowałaby się do specjalistycznego sklepu po skuteczną truczkę na te obrzydliwe insekty.

W każdym razie cały czas ma do zrobienia świetną partię. Tak się dawniej mówiło. W tamtych odległych czasach, gdy Bronka z tamtą drugą, tą na literę „h”, chodziły do gimnazjum. Gdzieś tutaj niedaleko, na Woli. W kiepskiej dzielnicy. Pewnie każda z nich po cichu, zasypiając w skromnej i niekoniecznie wytapetowanej na różowo panińskiej sypialni, marzyła o takiej partii. O mężczyźnie

na stanowisku i z dobrym nazwiskiem, i jeszcze w dodatku wolnym, bez szczególnych zobowiązań, bez dzieci. Ale im, takie szczęście się nie zdarzyło.

Warto jeszcze pomyśleć o matce. O jej chorej matce, jak mówi Monika. Porzuciła chorą matkę, nawet jej nie odwiedza. To czyn zasługujący na potępienie. Mało którą córkę byłoby stać na taką podłość wobec własnej matki. Jeśli jednak przestanie wreszcie surfować po Internecie, daremnie poszukując mężczyzny, któremu jest najwyraźniej obojętna, skoro ją porzucił bez słowa, jeśli wstanie z łóżka i umyje te tłuste strąki, które na szczęście zdążyła już przefarbować na swój naturalny kolor, a potem ubierze się w czyste ciuchy i trochę tu ogarnie i wreszcie zadzwoni do kogoś, kto w napięciu czeka na ten jeden telefon od niej właśnie, wtedy może coś się zmieni w życiu naprawdę.

Argument, że Tunio jej się nie podoba, że nie ma ochoty akurat z nim, to nie jest żaden argument, zwłaszcza w jej sytuacji. Tunio zajmie się nią i jej matką też. Umieści ją gdzie trzeba albo zapewni jej stałą opiekę, żeby nie wysadziła w powietrze siebie i innych, Bogu ducha winnych ludzi.

Więc dość marudzenia i wspomnienia tej rzekomej idylli z internetowym mężczyzną. Przecież to był jakiś stary dziad. I pewnie niezrównoważony psychicznie, tak jak ona. I nic w tym dziwnego, że uciekł od niej.

Czas odsłonić wreszcie to lustro i przejrzeć się. Tak jest, w całej okazałości, bez ubrania i z tymi tłustymi włosami. Byłby całkiem fajny portret, a właściwie akt przedstawiający nie najmłodsza już kobietę. Raczej szczupłą, z piersiami

ciężkimi, ale jeszcze nieopadającymi ku ziemi w geście kapitulacji. To się podoba facetom. Te piersi i ta figura podlotka. Tak się kiedyś mówiło o młodych dziewczynach. Nie dupa, nie laska i nie dżaga, ale podlotek. Prawda, że ładnie? Ale jeśli się nie pospieszy, niedługo zaczniesz przypominać swoją matkę - chudą jak szczapa, z obwisłymi krągłościami, pozbawioną wszelkiego wdzięku. Będzie samotną, starą kobietą. Tak jak ona, i może też zaczniesz słyszeć głosy i widzieć to, czego nie ma, a nie dostrzegać tego, co jest. Będzie tak nieszczęśliwa i samotna; w dodatku bez emerytury ani nawet bez renty. Więc na co jeszcze czeka?!

Na nic nie czeka, ani na nikogo. Już nic jej się nie przydarzy. Ani dobrego, ani złego, ani nawet byle jakiego. Nie ma siły wstać. Nie ma siły spojrzeć w lustro. Bo kogo tam może zobaczyć. Własną matkę. O kilkadziesiąt lat młodszą. Tylko że jej matka tak nie wyglądała, jak była w wieku Joanny.

Matka w okolicach czterdziestki była koszmarnie gruba. I chodziła w czarnym, skórzanym płaszczu i w zamuszowym kapeluszu, który dostała z darów. W kościele. Poszła do kościoła po dary. Po solone masło i ser w kolorze pomarańczowym. I przyniosła ten kapelusz, który zupełnie nie pasował do skózanego płaszcza. Do niczego nie pasował. Nadawał się tylko na śmietnik. Podobnie jak ten czarny, skórzany płaszcz, który opinał jej się na brzuchu. A brzuch miała ogromny. Jakby w ciąży była. A przecież nie była. Urodziła tylko jedno dziecko. Późno i z komplikacjami. To był poród kleszczowy. Koszmarny,

bolesny. Wśród przekleństw prostackiej położnej i krwi, którą można było zbierać wiadrami, tak chlustało z jej łona. Krew zamiast dziecka. A jak się w końcu to dziecko pokazało, jak je kleszczami wyciągnęli, to się okazało, że małe jest i anemiczne, a do tego dziewczynka.

Więc ona wtedy, w stanie wojennym, wszędzie w tym płaszczu chodziła skórzanym. Po zakupy do warzywniaka i po papierosy. I do kościoła po dary też chodziła. Przyносиła do domu stopy cuchnących, wytartych ubrań, które kazała zakładać swojej córce do szkoły.

A dzieci się śmiały z za dużych butów Joanny. Też zamiszowych, jak kapelusz jej matki. Łatwo się na nich robiły zacieki. I okropnie to wyglądało. Podobnie jak sfilcowany malinowy sweterek z beżowymi latami na łokciach. Też z zamisu były te łaty. Pasowały do kapelusza i do sznurowanych zamiszowych trzewików z zaciekami. Joannie nic nie pomagały perswazje, że przecież Ania z Zielonego Wzgórza też miała za duże trzewiki, podobnie jak Pippi Langstrumpf. Wszystkie szanujące się bohaterki powieści dla młodych panien cierpiały w dzieciństwie z powodu starych butów i sfilcowanych sweterków. Z darów kościelnych lub świeckich. Co za różnica?

Ale matka w tym paskudnym płaszczu i kapeluszu, spiesząca, żeby odebrać córeczkę ze szkolnej świetlicy, to było największe upokorzenie. Niedające się z niczym porównać. Nie tylko dzieciaki się z niej śmiały. Nauczycielki i świetliczanki też.

Matka z wielkim oddaniem wypełniała swoją misję rodzicielską wobec jedynej córki. Nie pozwalała jedynaczce

samej wracać ze szkoły. Bo to niebezpieczne. Napaść mogą albo jeszcze coś gorszego zrobić dziecku. Już matka wiedziała, co mogą zrobić nieznośni, źli chłopcy. Bo chłopcy właśnie tacy są - nieznośni i podli. I wszystkiego najgorszego można się po nich spodziewać, i dlatego Joanna musiała siedzieć w świetlicy i czekać na matkę. A ta, jak zwykle odziana w swój skórzany płaszcz i zamszowy kapelusz w kolorze jasnobeżowym, ochoczo ruszała córce z odsieczą, żeby biedactwo nie siedziało tam samo. Matka domyślała się, że mała Joasia już pewnie pochlipywała, siedząc sama w opustoszałej szkolnej świetlicy i czekając na mamę, jak na zbawienie. Tak właśnie było. Dziewczynka czekała, a mama nie przychodziła. Zapomniała o swojej małej córeczce. To był ostatni dzień szkoły przed feriami. Wszystkie dzieci dawno już poszły do domu. Została tylko ta mała i pani świetliczanka, która co chwila nerwowo zerkała na zegarek. Już trzecia dochodziła. Jak można się tak spóźniać, ta pani chyba zapomniała, że ma dziecko!

Za oknem było już ciemnawo, smutna grudniowa szarówka. Matka szybkim krokiem zmierzała w kierunku szkoły. Co za pech, złamał się jej obcas! Nie szkodzi, jakoś dojdzie do tej szkoły, uwolni małą, ucałuje, pocieszy. Przecież naprawdę nie mogła przyjść wcześniej, po prostu nie mogła. Już zauważyła, że tylko na dole w świetlicy coś się świeciło, reszta budynku była ciemna.

- No już jestem kochanie, nie płacz. Już idziemy do domku. Ugotowałam dla ciebie zupkę pomidorową, z mięskiem, taką jak lubisz. Najesz się, a potem odprowadzę cię na plastykę do Pałacu Młodzieży. Dlaczego nie chcesz iść,

przecież to dopiero o szóstej? Zdażysz odpocząć. No tak, złamał mi się obcas, ale to były stare buty. Z darów. Nawet nie będą ich do szewca dawać, tylko wrzucę do śmietnika.

A teraz ona jest sama. Jej matka. I Joanna też jest sama. Stoi przed lustrem nago. I nie wie, co ma zrobić. Może powinna być patetyczna. Właśnie taka, jakiej nie życzył sobie Xawery. Bo go to nie ruszało, a raczej nie kręciło. Bo Xawery to facet, którym można zakręcić od czasu do czasu. Na krótką chwilę. Bardzo krótką, niestety. Ale ponieważ ta jej chwila minęła i nie wróci, to teraz wreszcie Joanna może zdobyć się na patos. Piękna śmierć. Zamiast podłego życia. W sekretarzyku wciąż jeszcze ma pakiecik, jej ratunkowy niezbędnik. Żeby móc odejść bezboleśnie, no może niezupełnie bezboleśnie, ale w każdym razie bez wielkiego bólu, bez upokorzenia, bez trwania w samotności. Albo w szaleństwie, jak matka.

Więc może już przyszedł ten czas i wreszcie ułoży je w szeregu, żeby poprowadziły ją w ostatnią podróż. I za chwilę będzie się unosić nad tym monstualnym mrówkowcem, gdzie jeszcze niedawno, dosłownie przed chwilą, cieszyła się pełnią życia, i gdzie jej ojciec spędził tyle samotnych i nikomu niepotrzebnych lat w towarzystwie starego czajnika i karaluchów.

No właśnie, Tuniek powinien pamiętać, że Joanna nie cierpi robactwa, miejmy nadzieję, że o tym wie, i że każe ją spalić. Tylko, na Boga, bez żadnych religijnych obrzędów! I nie do ziemi. Do jasnej cholery, byle nie do ziemi! Niech jej to będzie oszczędzone! Niech ją rozsypie gdzieś, może być nawet na osiedlu Za Żelazną Bramą. W końcu to

ładna nazwa jest. Chociaż tyle dla niej niech Tunio zrobi. To nie jest wielki wysiłek i koszt też niezbyt wygórowany. Da radę. Na wszelki wypadek napisze mu co i jak, bo się jeszcze pogubi. Joanna wie, że wszystko, co pachnie praktyką, jest Tuniowi głęboko obce. Że go to przerasta.

Byle nie do ziemi! Niech nie chowają jej w ziemi. Bo ona się Matki Ziemi boi. Jak każdej matki zresztą. Tuniowej i swojej też. Więc niech on pamięta o tym. To jest ważne. Mimo wszystko. Przecież Joannie żadnego kwiatka doniczkowego nigdy nie udało się wyhodować. Zawsze jej wszystko padało. A się starała, nawet bardzo. Ale nie odbiegajmy od głównego wątku. Tu na ulicy Żelaznej będzie krążyć bardzo długo i patrzeć na Tunia z góry. Jak się miota i cierpi. Zupełnie niepotrzebnie. Zamiast się mazgać, powinien wszystkiego dopilnować, żeby było jak należy. A Joanna ruszy z ostatnią misją na Anielewicza, a poza tym chciałaby zobaczyć tę kamienicę na Pańskiej, która pewnie niedługo pójdzie do rozbiórki. Nie wie, co ją tak ciągnie do matki. Przecież zawsze od niej uciekała! Ale poleci w jej stronę, na chwilę. Chce to wszystko zobaczyć. Bo te miejsca są jej drogie. Właśnie tak - nie ludzie, lecz miejsca.

A potem poszybuj w stronę ponurego gmaszyska sądów i Alei Solidarności, tu - choć wyczerpana - nie zwolni tempa i dalej będzie unosić się nad Żelazną, aż zaczną ją opuszczać siły, i wreszcie na rogu Chłodnej, przypomniawszy sobie, że zawsze traciła tu nadzieję, znajdzie swoje wrota.

Pięknie, doskonale, patetycznie. Ale dlaczego ciągle siedzi na łóżku? I nie wie, co ma zrobić. Spogląda na ekran

laptopa. Klika raz po raz. I ciągle ta sama wiadomość, że NIE MA ŻADNYCH NOWYCH WIADOMOŚCI. Przecież taka wiadomość może mieć wiele znaczeń. Po pierwsze i wcale nie ostatnie, może ona oznaczać, że po prostu nadawca przestał nadawać, gdyż nie żyje. Umarł w kwiecie wieku. No może już nieco nadwiędły był ten kwiat, ale przecież tym ciekawszy miał zapach. Odurzający. Jeszcze dziś jej się wydaje, że czuje jego zapach, jego obecność. Ale przecież to nie musiało się stać. Nic złego się nie stało ani nic dobrego. Brak wiadomości to zazwyczaj dobra wiadomość. Njujorker siedzi sobie teraz w Nju Jorku, popija jakiś winko, albo coś innego. Może po prostu wodę popija. Bo tak zdrowiej. I może robi jeszcze inne przyjemne rzeczy. Z kimś innym rzecz jasna.

Więc jeszcze raz napisze do niego. Żeby się nie wygłupiał. I wreszcie odpowiedział. Dał znak życia. Xawery. Kropka. Stadnicki. Małpa. Hotmail. Com. To już będzie ostatni raz. Jeśli nie odpowie... No właśnie, co ona zrobi, jeśli Xawery nie odpowie? Sama nie wie. Przecież musi się do niej odezwać. Xawery.

I oto jest odpowiedź:

Oh nie przesadzaj... troszkę mnie wkurwiłaś... może nawet więcej niż troszkę...

Więc jednak żyje, tylko się przestał odzywać. Jeśli tak, to jeszcze nie wszystko stracone. Może nie trzeba będzie iść za głosem rozsądku. W każdym razie teraz można wstać z łóżka. I wyjrzeć przez okno. Zimno na dworze,

ale śniegu jakby trochę mniej. Dzisiaj mamy stare nowe święto - dzień Trzech Króli. Właściwie niedługo będzie już wieczór.

Ich związek to modelowa relacja ery cyfrowej. Kontakt z kimś interesującym, ale bez żadnych zobowiązań, bez traumy dzielenia łazienki i innych rzeczy. W każdej chwili można się rozłączyć, a potem połączyć na nowo, gdy się ma ochotę. Zero wysiłku. Można się tak łączyć i rozłączać kilkanaście razy dziennie. Bez żadnych konsekwencji. Można też zniknąć na wiele tygodni i nie dawać żadnego znaku życia. I nie wiadomo, gdzie kogoś takiego szukać. Czy żyje. Była pewna, że coś mu się stało. Że jego jacht zatonął gdzieś na dużych falach. Razem z nim. I zastanawiała się, co się dzieje z jego ciałem. Czy jeszcze jest, czy może już został zjedzony przez rekiny lub inne morskie potwory. A może po prostu umarł. Tak właśnie myślała, że umarł. Zawału dostał, albo wypadek samochodowy miał. *Serious car crash*. Czołowe zderzenie. Takie, z którego nie wychodzi się cało. Szukała w Internecie informacji o takich wypadkach, ale nic nie znalazła. W każdym razie nic takiego, co by do niego pasowało. Przez moment jej ulżyło, ale potem znowu zaczęła sobie wyobrażać, że coś mu się stało. I zawsze to najgorsze - że już go nie ma. Ta nieznośna myśl wracała i wracała. Nie mogła się od niej opędzić.

A tu się okazało, że jednak jest. I chyba dobrze się miała. Tylko po prostu nie miał ochoty na rozmowy z nią, bo go „wkurwiła”. Pewnie dobrze się bawił przez cały czas. I zapewne nie sam, tylko z jakąś długonogą blondynką. Przecież wie, że on lubi takie laleczki Barbie. Ją

też usiłował zamienić w Marylin Monroe. Ale mu się nie udało. Blond włosy do niej nie pasują ani ona do nich. Więc już nie jest blondynką. Mówi to na wypadek, gdyby chciał się z nią spotkać w celu wiadomym. Nie jest blondynką, nie ma twarzy anioła ani nóg do pasa. Jest nie w jego guście. Nosi okulary, chociaż doradzał jej szkła kontaktowe. Ale te oprawki, które jej zafundował, są lepsze od jej starych, rogowych. Więc je nosi. Lepiej wygląda niż poprzednio, chociaż oczywiście nie tak seksownie jak w wersji blond. Ale Tunio się przestraszył, gdy ją zobaczył z ufarbowanymi włosami. „Zrób z tym coś. Tak nie może być. Wyglądasz nienaturalnie”. Skoro ją tak prosił, poszła do fryzjerki, która zrobiła jej porządek na głowie. Wygląda jak dawniej. No może trochę lepiej. Ale jest sobą. I nawet w lustro może spojrzeć od czasu do czasu. Pozbyła się kompleksów szarej myszki. Chyba jednak dzięki Njujorkerowi. Pomógł jej i dlatego bardzo się cieszy, że on żyje, nawet jeśli jest na nią wściekły z jakiegoś niewiadomego powodu.

Wkurwiła go, to prawda, ale właściwie to czym go wkurwiła? Może była zbyt uległa wobec niego, a może to nie ona tylko jej bliscy go wkurwili. Monika. To z pewnością jej robota. Ona to potrafi. Jest nachalna, strasznie nachalna. Zawsze pcha nos w nie swoje sprawy i nie można się od niej uwolnić. Im ktoś bardziej próbuje pozbyć się Moniki ze swojego życia, tym bardziej zajadle ona atakuje. A wszystko to dla większej chwały bożej. Żeby mieć o czym księdzu opowiadać na spowiedzi. Bo przecież ona nie spowiada się z grzechów, tylko ze swoich czynów

heroicznych. Opowiada o tym, jak pomaga szwagierce. Jak się nią opiekuje, zakupy do domu przynosi i gotuje. I sprząta nawet, chociaż u matki Joanny w mieszkaniu sprzątać niepodobna. Pełno tam kurzu i okruchów. Odkurzacz nic tu nie pomoże, bo wystarczy się odwrócić, a szwagierka chwyci bułkę albo rogała i znowu zacznie jeść, krusząc przy tym niemiłośierne.

A te papierzyska? Wszędzie fruują. Po całym mieszkaniu. I nikt nad tym nie może zapanować. Bo przecież to nie tylko stare rachunki i kwity z pralni, ale także wycinki z gazet, recenzje ze spektakli, w których przed laty grała szwagierka Maria Jolanta Wichura. Nie można tego wyrzucić, ani nawet uporządkować, bo ona bardzo się denerwuje. Krzyczy, że jacyś oni jej rozkradają te wszystkie dokumenty, te cenne pamiątki. I chociaż jest to prawdę mówiąc kupa niepotrzebnych śmieci, trudno z tym walczyć. Nie da się nic z tym zrobić, bo szwagierka jest niespełna rozumu. Piątej klepki jej brak. Zawsze była dziwna. Jeszcze jak była młoda, zbiła w domu wszystkie lustra, z wyjątkiem jednego. Tego dużego, które należało do teściowej, do Marysi Wichury znaczy się.

A teściowa Moniki była piękna. Zupełnie jak Marlena Ditrich wyglądała. Chociaż nie chodziła w spodniach, a mogłaby, bo miała wspaniałe długie nogi. Szwagierka też ma nogi długie. Ale nie tak zgrabne jak Marysia. Daleko jej było do teściowej pod względem urody. Poza tym nerwowa jest i zawsze to było po niej widać. Z wiekiem coraz bardziej. No i na dziecko swoje krzyczała. Przerażliwie i bez najmniejszego powodu. Nic dziwnego, że Joaśka wołała

ojca, który dla odmiany prawie nic nie mówił. W każdym razie Monice nigdy nie udało się z nim porozmawiać. Odpowiadał jej monosylabami albo nie odpowiadał wcale. A szwagierka Maria Jolanta ostatnio to miała już nawet takie tiki nerwowe. Z daleka było widać, że chora na umyśle.

Ale Monika nie składała broni. Postanowiła widzieć w chorej Chrystusa zbolełego i cierpiącego i otoczyć opieką tę biedną, niespokojną duszę. No i jeszcze nawrócić jej córkę - grzesznicę, która matkę w biedzie porzuciła.

I nie ustawać w opiece nad Szczepanem, który od czasu gdy zwolnili go z ostatniej posady, wysiadywał całymi dniami przed telewizorem. Zaniedbany i brudny. W gaciach, to znaczy w spodniach od piżamy albo w kalesonach. Cały czas siedzi tak i pali papierosy, których nie wolno mu palić, bo ma nadciśnienie, i gapi się w sufit, jeśli telewizor jest zgaszony. To już lepiej, żeby oglądał te wszystkie teleturnieje i seriale, byle tylko był czymś zajęty. A Monika cały dom ma na głowie. Dobrze, że syn starszy pomaga, bo dobrą pracę ma w korporacji i stać go, żeby matce za czynsz zapłacić i za światło, i jeszcze zakupy raz w tygodniu przywieźć. Dzieci to prawdziwy skarb jest. Zwłaszcza synowie, bo z córkami to różnie bywa.

Ale to nie Monika rozeźliła Njujorkera. Chociaż wtedy jak się dobijała do mieszkania Joanny, gdy niemal byli w trakcie, to się wściekł. Ale nie na Monikę, tylko na Joannę, że komuś takiemu drzwi otworzyła. Takemu wścibskiemu, prymitywnemu babsku!

- Po coś otwierała te drzwi! - wrzeszczał potem, gdy już Monika sobie poszła.

A co miała zrobić. Przecież to rodzina. No prawie rodzina. Ale w przypadku Joanny była to najbliższa „prawie rodzina”. No i matką się opiekowała. Zwłaszcza to się liczyło, że była jedyną osobą, która regularnie pojawiała się u matki. Trzymała rękę na pulsie.

Więc, do cholery jasnej, kto był winien temu, że Xawery nabazgrał tę głupią kartkę i potem nie dawał znaku życia przez prawie dwa miesiące? A Joanna z żalu umierała. Winny mógł być tylko Tunio. To on rozmawiał z Xawerym przez telefon, już po wyjściu Moniki. Joanna dopiero teraz skojarzyła, że zaraz po tym, jak zatrzasnęły się drzwi za jej krewną, Xawery bardzo dziwnie rozmawiał z kimś przez telefon - do słuchawki odzywał się monosylabami: mhm, tak, nie, nie, nie. To właśnie wtedy musiał zadzwonić Tunio i coś mu powiedzieć. Coś bardzo nieprzyjemnego. I to coś zaważyło. Musiał mu wtedy nagadać tych wszystkich bzdur o Krakowie i o tym, co rzekomo łączyło Joannę z Tuniem. Chociaż prawdę mówiąc nic nie łączyło. Bo to, że z kimś się rozmawia, albo nawet się śpi, to jeszcze nic nie znaczy. Jak się za tym kimś nie tęskni, jak się nie wyczekuje na każde jego słowo, na każdą wiadomość, wtedy nie znaczy to nic. A raczej znaczy, że to nie to. Że to tylko znajomy. Osoba niezbyt ważna, pomimo całej sympatii i szacunku.

A jak się czeka na cokolwiek, na kiwniecie palcem, wtedy oznacza to, że jest źle, że to coś poważnego. Jakaś ważna i trudna sprawa. I nie da się tego lekceważyć ani zignorować, bo to jest po prostu niemożliwe.

Więc skoro do niej napisał po tak długim okresie kompletnego milczenia, to może nie wszystko stracone.

A w każdym razie jest o co walczyć. Ale tak naprawdę to warto by się dowiedzieć, co ten Tunio zrobił. I co wie o Xawerym? Czy Xawery naprawdę jest hazardzistą, którego lada moment zlicytują i pójdzie z torbami? Tak twierdzi Tunio, stateczny pan profesor, któremu nie grożą wierzyciele ani żadna inna życiowa klęska. I to właśnie Tunio go spłoszył. Gdyby nie on, pewnie by wtedy nie uciekł. Bo Tunio wie o nim za dużo. Wie, że wcale mu się tak dobrze nie wiedzie. W każdym razie ostatnio. Bo może się jeszcze karta odwróci. Skoro Xawery jest hazardzistą, to może chce postawić wszystko na jedną kartę? Joanna miała ochotę to zrobić. Pociągnąć za cyngiel. Rach-ciach i po sprawie. Chyba oboje pamiętają te maile o pociąganiu za cyngiel. O tym, że Xawery nie chciałby być starym mężczyzną, i że jak zobaczy w lustrze, że oto jest już starcem, który nic nie może, że jest samą tylko niemocą i słabością, wtedy nie zawaha się. Wyciągnie pistolet i przestrzeli sobie czaszkę. Na wylot, żeby odejść z fasonem. Bo młodość to fason i moc. Oto co jest w życiu naprawdę ważne, co się liczy. I to jest wielka pokusa, żeby to wszystko mieć, aż do końca. Żeby nie pozwolić obwisnąć policzkom i opaść pierśiom. I żeby w oku był błysk, a w portfelu złota karta kredytowa. To jest naprawdę wyzwanie. Jedno z największych. Bo w ten sposób można unieważnić ten wyrok, z którym przychodzimy na świat. I który zwłaszcza dziś, w dobie wielkich sukcesów medycyny, wydaje się straszniejszy niż kiedyś. Każdego czeka długa nikomu niepotrzebna starość. I na dodatek każdy może sfiksować jak matka Joanny. I opowiadać jakieś żałosne dyrdymały.

A ludzie dookoła będą się uśmiechać z politowaniem i przechodzić obok nas obojętnie. Życie z takim wyrokiem to prawdziwy koszmar. I tego najbardziej się boimy.

I chociaż, myśląc o tym wszystkim, ma się ochotę pociągnąć za spust, to jednak wtedy, w listopadzie, jak ją zostawił z tymi słowami, że dobre rzeczy muszą się skończyć, zrozumiała, że nie warto tego robić. Że szkoda życia. To banalne, ale tak właśnie jest. I nie warto rzucać wszystkiego i kończyć przedwcześnie. I że wkrótce obroni ten doktorat i dalej będzie pracować w archiwum. Przygotowywać prezentacje dla swojej szefowej. Po angielsku. I przekładać papiery całymi godzinami. I wysłuchiwać potoku słów, które wypływają z ust Marzeny Myk i Żanety Boskiej, jej koleżanek z biura. Nieznośnych, męczących, złośliwych, gderliwych kobiet.

Ale może kiedyś wróci na uczelnię. Nie, nie do Krakowa. Gdzieś bliżej. Dostała nawet propozycję z prywatnej szkoły. Praca w weekendy, więc da się pogodzić z archiwum. I zawsze jakiś zastrzyk finansowy. No i Tunio załatwił jej tłumaczenia, więc niedługo zacznie dorabiać. I może nawet wyremontuje to mieszkanie. Póki co uporała się z karaluchami. Co za ulga! Ten preparat, który poleciła jej Boska, okazał się skuteczny. Nawet bardzo. I może już bez lęku zapalać światło w łazience. Nawet lustro powiesiła. Od razu przyjemniej się zrobiło.

Pewnie Xawery byłby zawiedziony, że po tym jak przefarbowała włosy na swój kolor, już nie przypomina Marylin Monroe. Ale dobrze, że chociaż przez chwilę mu się podobała. Bardzo krótką chwilę, ale zawsze. Te

oprawki, które jej kupił, kosztowały majątek, ale wygląda w nich naprawdę lepiej. O niebo lepiej. Sama sobie się podoba. Pewniej się czuje. Chyba naprawdę ubyło jej parę lat. Ale szkielek kontaktowych nie będzie nosić. Woli okulary. Może się za nimi ukryć. Chyba Xawery to rozumie. Przecież sam nosi okulary.

Więc co go tak zirytowało? Jej bliscy? Przecież mówiła mu, że nikogo nie ma. A on już w Dreźnie powtarzał, że Tunio ją kocha, i że on, Xawery, nie chce wpływać na ich relacje. Bo przecież nie ma żadnego powodu, żeby to robił. Nie ma żadnego powodu, bo oni są tylko znajomymi w gruncie rzeczy. Nic ich nie łączy. A poza tym to ona wszystkiemu jest winna. Bo ciągle psuła nastrój. Przecież jest mistrzynią w psuciu nastroju. Zawsze coś takiego zrobi lub powie, że nastrój siada. To coś między nimi, co było od pierwszej chwili. Od jego pierwszego maila, w którym poinformował ją, że jest o osiem godzin lotu stąd. Więc to jej wina, to ona wszystko zaprzepaściła. Bo się odzywała nie w porę i mówiła nie to, co trzeba. I ciągle ktoś im przeszkadzał. Do tego Tunio przecież przyznał się jej, że wygarnął Xaweremu - nieważne słusznie czy niesłusznie - że jest starym lowelasem, który skacze z kwiatka na kwiatek, i że z pewnością ją unieszczęśliwi. Ciekawe co go tak zirytowało? To, że nazwał go starym lowelasem, co brzmi archaicznie i idiotycznie? Ale Tunio już taki jest, po prostu z innej epoki i używa określeń, które nie pasują do naszych czasów. A może jednak nie o sformułowania tutaj chodzi, ale o to, że Tunio trafił w sedno, sugerując, że Njujorker nie traktuje jej poważnie. Bo przecież od początku

traktował ją z przymrużeniem oka. Pół żartem i ani trochę serio.

A poza tym nie znosi tego, że bywa patetyczna, a to przecież go nie kręci. Nie rusza go to zupełnie, że ona przeżywa ten ich „związek” na serio. Ale przecież to właśnie on zaczął mówić o związku między nimi. Więc naprawdę trudno zrozumieć, co tak naprawdę zirytowało Xawerego, i dlaczego wyjechał bez pożegnania. I przestał się do niej odzywać. Czy to rozmowa telefoniczna z Tuniem zaważyła, czy może jednak Monika była główną winowajczynią? A teraz nagle znowu przysłał wiadomość. Czy to znaczy, że dalej mogą być znajomymi? Że czasem napisze do niej maila? Albo porozmawiają przez Skype'a. I tak nic z tego nie będzie. A już z pewnością nie będzie miała ani jego, ani jego dziecka. A przecież o to właśnie jej chodziło. O dziecko, którego niestety z nim nie będzie miała. Przecież po nocach marzyła, że tak się stanie. Że to będzie syn. I będzie miał taki sam uśmiech jak on. I oczy zielone. Jak Stary H. I jak Xawery.

Joanna poczuła, że jest głodna. Od trzech dni nie jadła. A w lodówce pewnie nic nie ma. Portfel też pusty. Może jakaś zupa z torebki? Gdzieś powinna być. W kuchennej szafce, na samej górze. Jest! *Minestrone*. Kupiona kilka lat temu we Francji. Joanna była tam na kongresie. Prawdę mówiąc był to taki mały kongresik. Całkiem zabawny. Zupa-wspomnienie. Pyszna będzie, nawet jeśli jest już przeterminowana. Wszak Joanna też jest *spinster*. Oczywiście, Joanna H. jest starą panną. I do tego przeterminowaną. Nieprzydatną do spożycia jak ta zupa.

I właśnie dlatego przyrządzi z tego proszku najsmaczniej-
sza zupę na świecie. Jarzynową, wioską. A do tego grzanki
ze starej bułki, którą znalazła w chlebaku. Pyszności!

Znowu dzwoni telefon. Ten stacjonarny. Niedługo
przestanie dzwonić, bo rachunek znowu niezapłacony. Ale
telefon dzwoni. Zaraz włączy się automat. *The numbers you
are trying to reach is currently unavailable...* Stara śpiewka.
Nagrała to dla żartu. Bo ona - Joanna H. jest teraz rzeczy-
wiście niedostępna. Przecież właśnie gotuje zupę z toreb-
ki. W Wieczór Trzech Króli. Cudowny, magiczny wieczór.
On żyje i wszystko nadal jest możliwe. Miłość, szczęście,
spełnienie.

To Monika dzwoni. Szwagierka Monika. Jest u matki.
Ale matki nie ma w mieszkaniu. Gdzieś wyszła. A prze-
cież ona od dawna już z mieszkania nie wychodziła. Przy-
najmniej sama bała się wychodzić, nawet po papierosy. To
wszystko. Monika się rozłączyła.

Joanna powinna płakać. Czuć żal. Powinna rozpaczać.
Bo matkę ma się jedną. I matka jest najważniejsza. A mat-
ka właśnie zaginęła. Coś się z nią stało. Ale Joanna nie
czuła nic. Może tylko ulgę. I spokój. Jadła zupę minestro-
ne z grzankami. Przeterminowaną. Ale bardzo smaczną.

I właśnie wtedy dzwonek zadzwonił do drzwi. Monika?
Nie, zdaje się, że to ktoś inny tam stoi, za tymi drzwiami.
Jakaś kobieta. Obca kobieta za drzwiami stoi. Może le-
piej nie otwierać. Przecież to może być jakaś żebraczka,
albo nawet jej własna matka to może być. Matka? Matka
zaginęła i już jej nie ma. Czasem tak jest, że ktoś znika.

A znikają najczęściej małe dzieci i starzy ludzie. A matka jest stara. Więc mogła gdzieś zaginać. Normalna sprawa.

Jednak nie zaginęła. Przyszła, żeby wręczyć coś córce. Maszynopis. Matka zawsze pisała. Na swojej maszynie. Joanna pamiętała to z dzieciństwa. Stuk puk, stuk puk. Całymi nocami pisała. Coś niezwykle ważnego. I paliła papierosy „Mocne”. Całe mieszkanie nasycone było mocną wonią tych tanich papierosów. Ale najgorsze było to stuk puk.

Sąsiedzi często tracili cierpliwość. Raz nawet przyjechała policja i wylegitymowała matkę. To było dawno. Może to jeszcze była milicja, a nie policja. Joanna pamięta, że wyrwał ją ze snu dźwięk dzwonka. I podniesiony głos matki. Zawsze bała się tego tonu. Bo zwiastował kłopoty. Zatykała uszy, żeby nie słyszeć, żeby być jak najdalej od tego głosu, od stukania, od dymu papierosowego. Jak najdalej. Ale przecież nie da się całe życie uciekać. Trzymać się na dystans. Nie przychodzić. Nie telefonować. Nie otwierać listów. Nie rozmawiać. Nie słuchać. Nie widzieć.

Ale tym razem to matka przyszła do córki. I już nie można od tego uciec. Matka przyszła sama. Znalazła gdzieś w swoich notatkach numer mieszkania i zapamiętała go, chociaż nigdy nie miała pamięci do liczb. Zawsze jej się cyferki przestawiały. Dlatego jej szuflady pełne były niezapłaconych w porę rachunków oraz ponagleń i upomnień z tego tytułu. Ostatnio to Monika przeczesywała te szuflady. Chodziła do spółdzielni, wyjaśniała, płaciła.

Sporo czasu zajęło matce szukanie tego bloku, a potem mieszkania. Ale poradziła sobie. Trzeba wykorzystać tę wyjątkową okazję, żeby przekazać maszynopis Joannie.

Wreszcie taka możliwość się nadarzyła, bo chwilowo nikt nie stał pod drzwiami mieszkania na Anielewicza. I można było wyjść i znaleźć to drugie mieszkanie, to w którym mieszkała Joanna. Żeby jej wręczyć to, co było takie ważne. Wszystkie notatki i rzecz najcenniejszą - maszynopis. Dzięki temu ocaleje prawda. Nikt jej nie zabierze, nie wywrwie jak złotych koron zębowych albo dziecka z brzucha.

Maszynopis pozostanie w rodzinie. Bo jeden egzemplarz dostanie Joanna, a drugi Monika. Bo Wichury to przecież też rodzina. Może trochę przyszywana, ale się zrosła. Oczywiście, że matka wolałaby mieć inne nazwisko. Po byłym mężu jest H., ale to było na przyczepkę i się nie zrosło. Tylko te rachunki i umowy zawsze są na podwójne nazwisko. A ona jest tylko Wichura, nie żadna H.! I na nagrobku tak właśnie ma być. I jeszcze koniecznie muszą dodać: „artystka teatralna i filmowa”. To nie szkodzi, że to tylko jedna scena była i zaledwie kilka filmów, ale po prostu w liczbie mnogiej brzmi to lepiej.

Przecież ONI zabrali nawet obrączkę! Ale tak naprawdę chodziło im o rękopis i o to, żeby nikt nie widział, jak przez ścianę w mieszkaniu matki przechodzi kobieta. Znajoma kobieta w poszarpanej sukience i bez lewego oka, bo jej ptaszyska jakieś to oko wydziobały. Przechodzi przez mur. To znaczy przez ścianę w mieszkaniu na Anielewicza i nawet na ścianie ślady krwi po niej zostały. Bo ona jest zakrwawiona. Cała we krwi. Nie tylko z powodu tego oka. Zakrwawiona jest, bo płacze krwawymi łzami. Jak Matka Boska, co się na wieży kościoła świętego Augustyna ukazywała. Kobieta płacze i przechodzi przez

mur. Czasem nie ma jej tygodniami. Zwłaszcza wtedy, gdy oni po mieszkaniu buszują. Ale jak matka zostaje sama, to ona też wraca, ale nic nie mówi. Tylko przechodzi przez ścianę. Właśnie tak. Bez słowa. Ale jest obecna. Czuwa. Zawsze musiała czuwać, tylko nikt tego nie widział.

Całkiem niedawno matka otrzymała wielki dar - zdolność widzenia TEGO WSZYSTKIEGO, co naprawdę się dzieje. Z nami i wokół nas. I tylko ona jedna z całej rodziny posiada ten wyjątkowy talent. To prawda, że możliwość zobaczenia wszystkiego wiąże się z ryzykiem postradania zmysłów. Joanna, Monika, a może nawet ta kobieta, co przechodzi przez ścianę, wszystkie one myślą, że ta tajemnicza zdolność widzenia wynika z szaleństwa, w które matka rzekomo miała popaść. Że schizofrenii. Ale jaka to schizofrenia? Przecież matka czytała „Schizofrenię” Kępińskiego i dobrze wie, na czym ta choroba polega. Ci wszyscy chorzy widzą to, czego nie ma, a nie to, co jest. Mają halucynacje, omamy jakieś, słyszą głosy. A ona przecież widzi najprawdziwszą prawdę. To co najistotniejsze widzi.

Bo Monika oczywiście nic nie widzi. Ślepa jest i głucha. Mądra też nie jest. Po prostu. Przecież nigdy nie była zbyt lotna. Ani ona, ani Szczepan. Za to Marysia była. Lotna. I ona by to umiała dostrzec. Ale ona nie żyje. Niestety. Od wielu lat. Umarła przedwcześnie.

A Joanna nie chce widzieć. Zamyka oczy na wszystko. I oczy, i uszy. Zupełnie tak jak jej ojciec. Też udawał, że nic nie widzi, nic nie słyszy. Bo tak mu było najwygodniej. Zamykać oczy i o niczym nie pamiętać, a przecież

to właśnie oni powtarzają jak mantrę: „Zapomnisz, zapomnisz wszystko”. Chcieliby, żeby matka brała te proszki na otępienie. Żeby nic nie czuła, nie rozumiała, nie pamiętała, no i żeby zatraciła swoją zdolność widzenia.

Joanna musi przyjąć z rąk matki ten pakunek. Bo wszystko tam jest. Wszystko, wszystko. Maszynopis i zdjęcia. Nawet indeks się znalazł. I też jest w środku. Teraz wszystko powinno być u niej. To znaczy u Joanny. Ktoś przecież musi pamiętać. Bo jeśli się nie chce widzieć i słyszeć, trzeba przynajmniej pamiętać. Joanna chociaż miała dobrą pamięć, nie chciała słuchać ani pamiętać. Zawsze odwracała głowę i udawała, że nie słyszy. Że nic nie wie i że to jej nie dotyczy. Zupełnie tak samo jak Stary H. On też zmieniał temat albo nic nie odpowiadał. Uciekał wzrokiem. Ale Joanna nie może uciekać przed tym. Bo teraz, gdy maszynopis jest ukończony, będzie u niej. I ona będzie musiała to przeczytać i wziąć na siebie. Nie może dalej uciekać. Musi pochylić się nad maszynopisem. Bo tam wszystko znajdzie. Znajdzie to, co musi pamiętać. Nawet jeśli nie ma na to ochoty.

Dlatego właśnie matka do niej przyszła. Żeby wręczyć córce maszynopis. W szarej kopercie. Jak ją otworzysz, Joanno, wysypią się zdjęcia. Te spod podłogi. Pogięte, zniszczone. Na jednym zdjęciu młody kawaler prowadzi pod rękę dwie dziewczyny. Jedną z nich jest Marysia Wichurzanka. Po wojnie Wichura. I tak jest znacznie lepiej. Przynajmniej lepiej brzmi. O niebo lepiej. A druga dziewczyna? Czy to ważne? Za dużo też nie trzeba mówić. A zdjęcie jest sprzed wojny. I chyba na Nowym

Świecie zrobione. Oprócz zdjęć i indeksu będzie jeszcze metryka chrztu pewnej dziewczynki. I pamiątka Pierwszej Komunii. No i wypadną jeszcze luźne, pożółkłe kartki. To jest właśnie maszynopis, w którym jest wszystko opisane. I trzeba go przeczytać. Nie pomijając niczego. O kobiecie, która przechodzi przez mur też trzeba przeczytać. Tego fragmentu nie można pomijać w żadnym wypadku.

Siedziały obie przy starym cepeliowskim stole, który kiedyś przytaszczył do mieszkania na Anielewicza Stary H. To było bardzo dawno. Że trzydzieści lat temu, albo i więcej. Stół był rozkładany. I bardzo dobrze się sprawdzał w małym metrażu. Składany stół i składane krzesła. To były znakomite patenty na tamte czasy. Ale dzisiaj? Dzisiaj modne są rzeczy solidne i nowoczesne. I wcale nie ma potrzeby, żeby się składały. Joanna przykryła stół zieloną serwetą. Dzięki temu wyglądał odświeżenie. Zupa minestrone z torebki była wyśmienita. Matka nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Tak dobrej zupy nie jadła nigdy w życiu. Po kolacji Joanna ułożyła matkę we własnym łóżku.

A potem usiadła przy sekretarzyku, żeby zabrać się do maszynopisu, żeby zacząć go czytać. Przynajmniej pierwszą z kilkudziesięciu gęsto zapisanych stron. Nie mogąc się skupić, poruszyła myszką od laptopa. Na ekranie wyświetlił się komunikat: masz 3 nowe wiadomości.

Przecież jesteśmy sobie bliscy. Chyba nie warto udawać, że nic się nie stało między nami.

Xawery